

Wspomnienia z martwego domu



FIODOR DOSTOJEWSKI

Wspomnienia z martwego domu¹

TŁUM. JÓZEF TRETIAK

I. MARTWY DOM

Nasz dom więzienny stał na krawędzi fortecy, tuż pod wałem fortecznym. Popatrzysz, bywało, przez szczeliny ostrokołu na świat boży, czy nie zobaczysz tam czegośkolwiek, i widzisz tylko skrawek nieba i wysoki wał ziemny, porosły burzanem², a po tym wale tam i na powrót, dniem i nocą, chodzi straż wojskowa, i zaraz pomyślisz, że przejdą całe lata, a ty tak samo będziesz podchodził do częstokołu i zobaczysz ten sam wał, taką samą straż na wale i ten sam małański skrawek nieba, nie tego nieba, które nad więzieniem, ale innego, dalekiego, wolnego nieba. Wyobraźcie sobie wielki dziedziniec, dwieście kroków długi, a półtorej setki szeroki, dziedziniec w kształcie nieregularnego sześciokąta, cały otoczony częstokołem z wysokich pali, mocno i głęboko w ziemię wbitych, szczelnie przystających do siebie krawędziami, utwierdzonych poprzecznymi belkami i z góry zastrzonych: oto zewnętrzna rama więzienna. W jednej ze stron tej zagrody jest mocna brama, zawsze zamknięta, dniem i nocą strzeżona: otwierano ją tylko, aby puścić więźniów na roboty. Za tą bramą był jasny, wolny świat, tam żyli ludzie, jak wszędzie. Ale po tej stronie ostrokołu ów świat wydawał się marzeniem fantastycznym. Tutaj był świat osobny, do żadnego innego niepodobny, tu były swoje odrębne prawa, swoje stroje, zwyczaje, obyczaje: dom żywcem pogrzebanych, życie, jakiego nigdzie się nie znajdzie, i ludzie szczególni. Ten to osobliwy zakątek zamierzam opisać.

Wchodząc do ogrodzenia, widzicie w jego wnętrzu kilka budynków. Po obu stronach wewnętrznego dziedzińca ciągną się dwa długie domy; to są „kazarmy”, czyli koszary. Tu mieszkają aresztanci, rozmieszczeni według tego, do jakiego rzędu przestępców należą. Dalej w głębi dziedzińca jeszcze jeden budynek drewniany: to kuchnia podzielona na dwa oddziały. Dalej jeszcze budynek, gdzie pod wspólnym dachem mieszczą się piwnice, spichrze i szopy. Środek dziedzińca niezabudowany, tworzy równy i dość wielki plac. Tu szykują się aresztanci, tu następuje ich wywoływanie i sprawdzanie rano, w południe i wieczór, a niekiedy i częściej, co zależy od podejrzliwości strażników i ich umiejętności liczenia. Wkoło, pomiędzy budynkami a ostrokołem, zostaje jeszcze dość wolnej przestrzeni. Tutaj pod tylnymi ścianami budynków niektórzy więźniowie, posępniejsi i więcej stroniący od ludzi, lubią chodzić w czas nieroboczy, zakryci od oczu ludzkich, i przemyśliwać. Spotykając się z nimi podczas takich przechadzek, lubiłem wpatrywać się w ich ponure, piętnowane twarze i zgadywać, o czym oni tak dumają. Był jeden z zesłanych, którego ulubionym zajęciem w czasie wolnym było liczenie pali. Wszystkich pali było półtora tysiąca, wszystkie liczył i miał na uwadze. Każdy pał w jego rachunku oznaczał dzień; każdy dzień odliczał po jednym pału i tym sposobem po ilości niedoliczonych pali mógł wiedzieć, jak długo mu jeszcze potrzeba zostawać w katordze. Wiele lat wypadało mu jeszcze czekać, ale w więzieniu było dość czasu na nauczenie się cierpliwości. Widziałem raz, jak się żegnał z towarzyszami aresztant, który przebył dwadzieścia lat w katordze i na koniec wychodził na wolność. Byli tacy, którzy pamiętali, jak wchodził do więzienia

Więzienie

Więzienie

Zesłaniec, Więzień

¹ *Wspomnienia z martwego domu* — tytuł dzieła *Занúckу us Мёртвoгo дóма* Fiodora Dostojewskiego tłumaczono na polski także jako: *Wspomnienia z domu umarłych* czy *Zapiski z martwego domu*. [przypis edytorski]

² *burzan* — kępa stepowej roślinności, zwykle łopianów i ostów. [przypis edytorski]

młody, o nic się nietroszczący, niemyślący ani o swojej zbrodni, ani o karze. Wychodził siwy starzec, z twarzą ponurą i smutną. Milcząc, obchodził wszystkie nasze koszary, modlił się przed obrazami, a potem nisko, zginając się w pół, kłaniał się swoim towarzyszom i prosił, aby go źle nie wspominali. Pamiętam także, jak pewnego aresztanta, który był przedtem zamożnym właścicielem sybirskim, wezwano raz pod wieczór do bramy. Pół roku przedtem otrzymał wiadomość, że jego żona wyszła za mąż i mocno to odczuł. Teraz ta żona właśnie podjechała do bramy, wywołała go i dała mu jałmużnę. Pomówili ze sobą ze dwie minuty, zapłakali i pożegnali się na wieki. Widziałem twarz jego, kiedy wracał do kazarmy... Tak, tutaj można było nauczyć się cierpliwości.

Zesłaniec, Więzień, Żona

Gdy zmierzch zapadał, wprowadzano wszystkich nas do kazarmów i zamykano na całą noc. Ciężko mi było zawsze wracać z dziedzińca do naszej kazarmy. Była to długa, niska, duszna sala, mdło oświetlona łojuwkami³, z ciężkim, zabijającym zapachem. Nie pojmuję teraz, jak w niej przeżyłem lat dziesięć. Do spania na tak zwanych „narach”⁴ miałem tylko trzy deski: to było całe moje miejsce. Na tych narach w naszej tylko izbie mieściło się trzydziestu ludzi. W zimie zamykano nas wcześniej; trzeba było ze cztery godziny czekać, dopóki wszyscy zasną. A do tego gwar, hałas, śmiechy, przekleństwa, dźwięk łańcuchów, śwąd i kopczenie, golone głowy, piętnowane twarze, łatane ubiory — wszystko napiętnowane, zbezczeszczone. Tak, człowiek może dużo wytrzymać. Człowiek jest istotą do wszystkiego przywykającą, i myślę, że to najlepsze jego określenie.

Więzień

Mieściło się nas w ostrogu⁵ prawie stale około dwie i pół setki ludzi. Jedni przybywali, drudzy kończyli karę, inni umierali. I kogo tu nie było! Myślę, że każda część, każda gubernia Rosji miała swoich przedstawicieli. Byli innoplemieńcy, było między skazańcami nawet kilku kaukaskich górali. Podzieleni byli według stopnia przestępstw, a więc według liczby lat kary naznaczonych za przestępstwo. Trzeba przypuścić, że nie było takiego przestępstwa, które by tam nie miało swego przedstawiciela. Podstawę całej ludności więziennej stanowili cywilni przestępcy (*silno katorżni* — zamiast *zsilno katorżni* — jak się sami naiwnie nazywali). Byli to przestępcy zupełnie pozbawieni wszelkich praw, odcięte od społeczeństwa strzępy, z twarzą napiętnowaną, na wieczne świadectwo, że są wyrzutkami społecznymi. Przesyłano ich do ciężkich robót na osiem do dwunastu lat, a potem rozsyłano gdziekolwiek po wsiach sybirskich, jako *posiłańców*. Byli i przestępcy wojskowi, niepozbawieni praw swego stanu, jak w ogóle w rosyjskich rotach⁶ aresztanckich. Przesyłano ich nie na długo, a kiedy termin kary nadszedł, odsyłano tam, skąd przyszli, do sybirskich, liniowych batalionów, jako żołnierzy. Wielu z nich wnet powracało do ostrogu za powtórne poważne przestępstwa, ale już nie na krótko, tylko na lat dwadzieścia. Ten oddział nazywał się „wiecznym” (po rosyjsku *wsięgdasznim*). Ale i „wieczni” nie byli jeszcze zupełnie pozbawieni praw stanu. Na koniec był jeszcze jeden oddział najstraszniejszych przestępców, przeważnie wojskowych, oddział dość liczny. Nazywał się „osobnym oddziałem”. Przesyłano tu przestępców z całej Rosji. Oni sami uważali siebie za wiecznych i nie wiedzieli, czy jest jakiś termin ich kary. Podług kary powinni byli dwa lub trzy razy pracować więcej niż inni. Trzymano ich w ostrogu, dopóki nie zostaną otwarte na Syberii najcięższe roboty katorżne. „Wam do terminu, a nam wzdłuż po katordze” — mówili oni do innych uwięzionych. Słyszałem potem, że oddział ten został zniesiony. Prócz tego zniesiony został w naszej fortecy i cywilny porządek i urządzona została jedna powszechna wojskowo-aresztancka rota. Rozumie się, że razem z tym zmienił się zarząd. Opisuję tu zatem rzeczy minione, dawniejsze...

Kondycja ludzka

Więzień

Dawno to już było. Wszystko to teraz przedstawia mi się jak we śnie. Pamiętam, kiedy wszedłem do ostrogu. Było to już wieczorem, w styczniu. Zmierzchało się; lud więzienny wracał z robót. Gotowano się do sprawdzania. Wąsaty podoficer otworzył na koniec przede mną drzwi do tego dziwnego domu, w którym miałem przeżyć tyle lat, przenieść tyle ciężkich wrażeń. O tych wrazeniach, nie doznawszy ich w rzeczywistości, nie mógłbym mieć nawet dalekiego i niejasnego pojęcia. Na przykład, w żaden sposób nie

³łojuwka — świeca z łoju. [przypis edytorski]

⁴nara — drewniany pomost do spania pod ścianami. [przypis tłumacza]

⁵ostrog — zwykła nazwa podobnych więzień w Rosji. [przypis tłumacza]

⁶rota (daw., ros.) — kompania (pododdział wojska). [przypis edytorski]

⁷wzdłuż po katordze — ros. *вдоль по каторге*, oznaczające katorgę bezterminową, dożywotnią. [przypis edytorski]

mógłbym sobie tego wyobrazić: co jest strasznego, męczącego w tej okoliczności, że przez całe dziesięć lat mojej katorgi nie będę ani przez chwilę sam jeden. Na robocie zawsze pod konwojem, w domu z dwustu towarzyszami i ani razu, ani razu sam. Zresztą, czy do tego tylko miałem się jeszcze przyzwyczaić!

Byli tu zabójcy przypadkowi i zabójcy z zawodu, rozbójnicy i hersztowie rozbójników. Byli prości rzeźmieszkowie i włóczęgi, tacy, co przywłaszczali sobie pieniądze znalezione, i tacy, co się do nich dobierali. Byli i tacy, o których trudno było coś powiedzieć, za co też mogli się tu dostać. A tymczasem każdy z nich miał swoją powieść, mętną i ciężką, jak głowa po wczorajszej pijatyce. W ogóle o swojej przeszłości mówili mało, nie lubili opowiadać i widocznie starali się zapomnieć o tym, co było. Znałem wśród nich zabójców do tego stopnia wesołych, tak nigdy niezamyślających się, że można było iść o zakład, że nigdy sumienie nie robiło im żadnego wyrzutu. Ale byli i posępne twarze, prawie zawsze milczące. W ogóle o życiu swoim rzadko kto opowiadał, a i ciekawość nie była w modzie, w zwyczaju, nie była rzeczą przyjętą. Tak chyba czasem ktoś z braku zajęcia rozgada się, a drugi obojętnie i pochmurnie słucha. Nikt tu nikogo nie mógł swoim opowiadaniem zadziwić. „My naród piśmienny”, mawiali często z jakimś dziwnym zadowoleniem z siebie. Pamiętam, jak raz jeden zbój pijany (w katordze można się było czasem upić), zaczął opowiadać, jak zarznął pięcioletniego chłopczyka, jak go zwabił naprzód jakąś zabawką, zaprowadził potem do pustej szopy i jak go tam zarznął. Cała kazarma, która śmiała się dotychczas z jego żartów, zakrzyczała jak jeden człowiek i zbój musiał zamilknąć. Ale kazarma zakrzyczała nie z oburzenia, ale dlatego, że *nie trzeba* mówić o tym, że o tym mówić nie wypada. Winienem dodać, że to byli rzeczywiście ludzie piśmienni, i to nie w przenośnym, ale w zwykłym znaczeniu słowa. Z pewnością więcej niż połowa z nich umiała czytać i pisać. W jakimkolwiek innym miejscu, gdzie lud rosyjski zbiera się w większych masach, oddzielcie gromadę z 250 ludzi; znajdzie się tam połowa piśmiennych? Słyszałem potem, jak z podobnych objawów wnioskowano, że piśmienność prowadzi lud do zguby. Jest to błąd; zupełnie inne działają tu przyczyny, chociaż nie można się na to nie zgodzić, że piśmienność rozwija w ludzie ufność w swoje siły. Ale to przecież nie jest wada.

Morderstwo

Rosja, Lud, Słowo, Szkoła

Oddziały odróżniały się ubiorem. Jedni mieli kurty w połowie ciemnobure, w połowie szare i spodnie tak samo: jedna noga szara, druga bura. Pewnego razu na robocie mała dziewczyna, sprzedająca kołacz⁸, podszedłszy do aresztantów, długo się wpatrywała we mnie i potem nagle zaśmiała się „Fe, jak nieładnie — zawołała — i szarego sukna nie starczyło i czarnego sukna nie starczyło.” Byli i tacy, u których cała kurtka była szara, tylko rękawy ciemne. Głowy golono także w różny sposób; jedni mieli pół głowy ogolonej wzdłuż czaszki, inni w poprzek.

Za pierwszym rzutem oka można było zauważyć w tej dziwnej, więziennej rodzinie pewien wybitny, wspólny charakter. Nawet najbardziej samodzielne, oryginalne osobowości, mimo woli panujące nad innymi, i te starały się zastosować do powszechnego tonu, jaki panował w ostrogu. W ogóle trzeba wiedzieć, że wszystek ten lud więzienny — wyjąwszy niewielu ludzi nieustannie wesołych, na których za to ciążyła powszechna pogarda — był to lud ponury, zawistny, straszliwie próżny, chępliwy, obraźliwy i do najwyższego stopnia przywiązany do formy. Zdolność, by niczemu się nie dziwić, uchodziła za największą cnotę. Wszystkim nieskończenie wiele chodziło o to, jak się pokazać w oczach innych. Ale nieraz największy zuchwalec z bystrością błyskawicy zmieniał się w największego tchórza. Było kilku istotnych siłaczy; ci byli prości i nie stroili min. Ale rzecz dziwna, i między tymi siłaczami byli ludzie niesłychanie, niemal chorobliwie próżni. W ogóle próżność, dbałość o pozór, były na pierwszym planie. Większość była zepsuta i strasznie spodlona. Plotki i obmowy nie ustawały: było to piekło, otchłań gehenny. Ale przeciwko wewnętrznym ustawom i powszechnie przyjętym zwyczajom ostrogu nikt nie śmiał powstawać; wszyscy im ulegali.

Więzień

Zdarzały się charaktery silnie wybitne, z trudnością ulegające, ale i te ulegały. Przychodzili do ostrogu i tacy, którzy już zbyt wiele pozwalali sobie na świecie, zbyt nadużyli wolności rąk, tak że pod koniec popełniali przestępstwa jakby bez celu, jakby w gorączce, w szaleństwie, często z ambicji, do najwyższego stopnia rozbudzonej. Ale choć tacy nie-

⁸kołacz — rodzaj pszennego pieczywa (chleba lub ciasta) w kształcie koła (stąd nazwa). [przypis edytorski]

raz bywali postrachem i grozą dla całych okolic, u nas ich prędko osadzono na miejscu. Oglądając się wokoło, nowicjusz prędko spostrzegł, że tu inaczej niż gdzie indziej, że tu nie ma kogo zadziwiać i nieznacznie⁹ pokorniał i stosował się do ogólnego tonu.

Ten ton ogólny stanowiło na zewnątrz jakieś poczucie własnej, odrębnej godności, którym przejęty był nieomal każdy mieszkaniec ostrogu. Rzekłbyś, że stanowisko takiego skazańca katorżnego było jakimś stopniem urzędowym, i to zaszczytnym. Ani śladu wstydu i skruchy. Prawda, było pewne zewnętrzne korzenie się, urzędowe, spokojne rezonowanie: „My ludzie zgubieni!” — mawiali — „Nie umieli żyć wolni, teraz kop zieloną ulicę”. — „Nie słuchał ojca i matki, posłuchaj teraz skóry na bębnie”. — „Nie chciałeś szyc złotem, teraz bij kamienie młotem”. Wszystko to powtarzało się często w rodzaju nauki moralnej, w rodzaju zwykłych przysłów, nigdy na serio. Były to tylko słowa. Bodaj czy choć jeden z nich przyznawał się w duszy do bezprawia. Niech no kto z niekatorżnych spróbuje wytknąć aresztantowi przestępstwo, zgromić go za to (choć zresztą robić wyrzuty przestępcy nie zgadza się z charakterem Rosjanina) — obelgom nie będzie końca. A byli mistrzami w obelgach. Łajali się subtelnie, kunsztownie. Lżenie było podniesione do stopnia nauki: starali się dociąć nie tyle krzywdzącym słowem, ile krzywdzącym znaczeniem, duchem, ideą, a to czyniło obelgę subtelniejszą, jadowitszą. Nieustannie kłótnie sprzyjały rozwojowi tej nauki. Wszystek ten lud pracował pod kijem, więc był próżniaczki i psuł się coraz bardziej; kto niezepsuty przybywał do katorgi, to się musiał zepsuć. Wszyscy się tu zebrali nie z własnej woli; wszyscy byli obcy sobie.

— „Czart trzy pary łapci¹⁰ znosił, nim zebrał nas w jedną kupę” — mówili o sobie; a stąd plotki, intrygi, babskie namowy, zawiść, swary, złość były zawsze na pierwszym planie w tym życiu czyścowym. Żadna baba nie zdołała być taką babą, jaką bywali niektórzy z tych zbójów. Powtarzam, byli wśród nich ludzie silni, charaktery przywykłe przez całe życie łamać i rozkazywać, zahartowane, nieznające strachu. Tych mimo woli szanowano. Oni zaś ze swej strony, chociaż czuli byli na swoją sławę, ale w ogóle starali się nie dokuczać innym, nie wdawali się w obelżywe kłótnie, zachowywali się z niezwykłą godnością, postępowali rozsądnie i prawie zawsze byli posłuszni władzy — nie dla zasady posłuszeństwa, nie z poczucia obowiązku, ale jakby na podstawie jakiegoś kontraktu, jakby wskutek zrozumienia wzajemnych korzyści. Zresztą i władza z nimi obchodziła się ostrożnie. Pamiętam, jak jednego z takich aresztantów, człowieka nieustraszonego i stanowczego, znanego naczelnikom ze zwierzęcego usposobienia, wezwano raz dla ukarania za jakieś wykroczenie. Dzień był letni, czas nieroboczy. Sztabsoficer¹¹, najbliższy, bezpośredni zwierzchnik ostrogu, przyjechał sam do kordegardy¹², ażeby być obecnym przy egzekucji. Ten major był fatalną dla aresztantów istotą; doprowadził ich do tego, że trzęśli się przed nim. Srogi był do okrucieństwa, „rzucił się na ludzi” — mówili katorżnicy. Najbardziej lękali się jego przenikliwego, rysiego wzroku, przed którym nie można było nic ukryć. Zdawało się, że widział, nie patrząc. Wchodząc do ostrogu, już wiedział, co się dzieje na drugim końcu. Aresztanci nazywali go ośmiookim. System jego był fałszywy. Swoim wściekłym, złym postępowaniem budził tylko jeszcze większą złość w ludziach i tak pełnych złości, i gdyby nie miał nad sobą komendanta, człowieka szlachetnego i rozsądnego, łagodzącego niekiedy jego dzikie wybryki, to jego rządy sprowadziłyby wiele nieszczęść. Nie rozumiem, jak mógł zakończyć służbę szczęśliwie; wystąpił z wojska, jest żywy, chociaż zresztą był pod sąd oddany.

Aresztant pobladł, kiedy go wezwano. Zwykle milcząc, bez wahania kładł się pod różgi, w milczeniu znosił karę, a po egzekucji wstawał, jakby się nic nie stało, obojętnie i filozoficznie zapatrując się na złą przygodę. Z nim zresztą postępowano zawsze ostrożnie. Tym razem jednak, nie wiem dlaczego, uważał, że słuszność po jego stronie. Pobladł i ukradkiem, tak że nikt z konwoju nie widział, zdołał wsunąć w rękaw szewski nóż, ostry, angielski. Noży i wszelkich ostrych narzędzi nie wolno było mieć w ostrogu pod straszną

⁹nieznacznie — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]

¹⁰łapcie — buty plecione z łyka lub skóry. [przypis edytorski]

¹¹sztabsoficer (daw.) — oficer dowodzący w armii rosyjskiej. W dawnym wojsku nazwy stopni wojskowych były jednocześnie określeniami pełnionych funkcji: wyższe funkcje obejmowali oficerowie będący formalnie dowódcami oddziałów, podczas gdy faktyczne dowództwo sprawowali jako ich zastępcy tzw. sztabsoficierowie. [przypis edytorski]

¹²kordegarda — wartownia, pomieszczenie dla strażników wojskowych. [przypis edytorski]

odpowiedzialnością. Rewizje były częste, niespodziane i nie na żarty, ale że trudno znaleźć u złodzieja coś, co on bardzo pragnie ukryć, i że noże i inne narzędzia były ciągle potrzebne w ostrogu, to ich nigdy nie brakło. A jeśli znaleziono i odebrano, to natychmiast zjawiały się nowe. Cała katorga rzuciła się ku ostrokołowi i z przyspieszonym tętnem serc patrzyła przez szczeliny między palami. Wszyscy wiedzieli, że Pietrow tym razem nie zechce poddać się różgom i że major zginie. Ale w rozstrzygającej chwili nasz major siadł do dorożki i odjechał, poruczywszy egzekucję innemu oficerowi. „Sam Bóg go ocalił” — mówili potem aresztanci. Co się tyczy Pietrowa, to najspokojniej zniósł karę. Jego gniew zniknął z odjazdem majora. Aresztant jest posłuszny i spokojny do pewnego stopnia, ale jest granica, której nie należy przekraczać. Nawiasem dodam, że nie ma nic ciekawszego od tych strasznych wybuchów zniecierpliwienia i zuchwalstwa. Niejeden znosi cierpliwie przez kilka lat najsrozsze kary, okazuje pokorę i naraz wybucha przy jakiejś drobnostce, prawie bez powodu. Można by to nazwać szaleństwem, a jednak tak się dzieje.

Powiedziałem już, że w ciągu kilku lat nie dostrzegłem w tych ludziach najmniejszej oznaki skruchy, ani śladu żalu za zbrodnie i że większa ich część w głębi duszy czuła się zupełnie niewinna. Jest to fakt. Niewątpliwie próżność, złe przykłady, zuchowatość, fałszywy wstyd wiele się przyczyniają do tego. Z drugiej strony może ktoś powiedzieć, że sięgnął do głębi tych serc zatrutych i odczytał w nich to, co tam się przed światem ukrywa! Ale jednak przez tyle lat można by było choć cokolwiek zauważyć, uchwycić, dostrzec w tych sercach choćby jeden rys, który by świadczył o trosce wewnętrznej, o cierpieniu. Ale nie było tam tego, stanowczo nie było. Tak, zbrodnia nie może być pojmwana z gotowych, ze góry oznaczonych punktów widzenia i filozofia zbrodni jest nieco zawilsza, niż ludzie sądzą. Naturalnie wspólne więzienia i system robót przymusowych nie poprawiają przestępców; są tylko karą i zabezpieczają społeczeństwo przed dalszymi zamachami złooczyńcy na jego spokój. W przestępcy zaś ostróg i najcięższa praca katorżna rozbudza tylko nienawiść, pragnienie wzbronionych przyjemności i niesłychaną lekkomyślność. Ale mam silne przekonanie, że sławny system więzienia w osobnych celach osiąga tylko złudne, pozorne rezultaty. Wysysa on żywotne soki z człowieka, denerwuje, osłabia duszę, czyni ją wylęknłą i potem tę moralnie wysuszoną mumię, półobląkańca, przedstawia jako wzór poprawy i skruchy.

Niewątpliwie przestępca, który powstał przeciw społeczeństwu, nienawidzi go i prawie zawsze upatruje słuszość po swojej stronie, a winę po stronie społeczeństwa. Przy tym już doznał od niego kary, a wskutek tego zdaje mu się, że się oczyścił, że się skwitował. Na koniec można na rzecz patrzeć z takiego stanowiska, że omal nie wypadnie usprawiedliwiać zbrodniarza. Ale jakiegokolwiek mogą być punkty widzenia, każdy zgodzi się na to, że są takie zbrodnie, które zawsze i wszędzie, według wszelkich praw, od początku świata uważane są za zbrodnie niezaprzeczane i będą za takie uważane, dopóki człowiek jest człowiekiem. Tylko w ostrogu słyszałem opowiadania o najstraszniejszych, najprzeciwiejszych naturze postępkach, o najpotworniejszych zabójstwach, opowiadania, którym towarzyszył niepowstrzymany, dzieciennie wesoły śmiech opowiadającego.

Szczególnie nie wychodzi mi z pamięci pewien ojcobójca. Pochodził on ze szlachty, mieszkał przy ojcu sześćdziesięcioletnim, wobec którego był czymś w rodzaju syna marnotrawnego. Prowadził się najgorzej, wplątał się w długi. Ojciec ograniczał go, napominał; ale ojciec miał dom, miał futor¹³, domyślano się, że ma pieniądze i — syn zabił ojca, pragnąc dziedzictwa¹⁴. Zbrodnię odkryto dopiero w miesiąc po jej spełnieniu. Sam zabójca doniósł policji, że jego ojciec nie wiadomo gdzie się podział. Cały ten miesiąc przeżył w najwyuzdańszej rozpuście. Na koniec pod jego nieobecność policja znalazła ciało zabitego. Na dziedzińcu, przez całą jego długość, był wykopany kanał do odprowadzania nieczystości, przykryty deskami. Ciało leżało w tym kanale. Trup był odziany, siwa głowa odcięta i przystawiona do tułowia, a pod głowę zabójca podłożył poduszkę. Syn nie przyznał się; pozbawiono go szlachectwa, rangi i zesłano na dwadzieścia lat do ciężkich robót. Przez cały czas mojego z nim pożycia był w najdoskonalszym, najwesełszym usposobieniu. Był to rozpuszczony, lekkomyślny, w wysokim stopniu nierozsądny człowiek, chociaż wcale nie głupiec. Nie dostrzegłem w nim nigdy jakiegokolwiek skłon-

¹³futor a. chutor (z ukr.) — pojedyncze gospodarstwo, oddalone od wsi; przysiółek. [przypis edytorski]

¹⁴syn zabił ojca, pragnąc dziedzictwa — w dalszym ciągu jest sprostowanie tego faktu. Skazaniec, jak się potem pokazało, nie był zabójcą. [przypis tłumacza]

Więzienie, Kara

Morderstwo

ności do okrucieństwa. Aresztanci gardzili nim, nie z powodu zbrodni, o której nawet nie wspominali, ale za lekkomyślność, za to, że nie umiał zachować przyzwoitych pozorów. W rozmowach wspominał czasem o swoim ojcu. Raz, mówiąc ze mną o tym, że w jego rodzinie zdrowy organizm był dziedziczny, dodał: „Oto mój ojciec do samej śmierci nie skarżył się na żadną dolegliwość”. Taka zwierzęca nieczułość jest naturalnie niemożliwa. Tu jest coś fenomenalnego, jakiś błąd organiczny, jakaś cielesna i moralna potworność, jeszcze nieznaną nauce, niezwykłą zbrodnią. Ja też nie wierzyłem w tę zbrodnię. Ale ludzie z jego rodzinnego miasta, którzy powinni byli znać wszystkie szczegóły tej historii, opowiadali mi całą sprawę. Fakty były tak jasne, że trudno było nie wierzyć. Aresztanci słyszeli raz, jak on krzyczał w nocy we śnie: „Trzymaj go, trzymaj! W głowę tnij, w głowę, w głowę!”.

Prawie wszyscy aresztanci mówili i bredzili nocą. Obelgi, złodziejskie terminy, noże, topory słychać było w tym nocnym bredzeniu. „My naród bity — mawiali — u nas wewnątrz odbite i dlatego krzyczymy po nocach”.

Rządowa katorżna robota forteczna nie była zajęciem, ale obowiązkiem. Aresztant odbierał nakazaną pracę dzienną albo spędzał na robocie oznaczone prawem godziny i szedł do ostrogu. Na robotę spoglądano z nienawiścią. Bez swego własnego, osobnego zajęcia, któremu by się można było oddać całą duszą, z całym wyrachowaniem, człowiek w ostrogu żyć by nie mógł. Bo i jakim sposobem wszyscy ci ludzie, rozwinięci, którzy mocno życia użyli i mocno żyć pragnęli, przemocą zgonieni w jedną gromadę, przemocą oderwani od społeczeństwa i życia moralnego, jak inaczej mogliby się oni zżyć ze sobą, z własnej woli i ochoty? Z samego próżniactwa rozwinęłyby się tutaj takie zbrodnicze popędy, o których przedtem niejedynemu nie miał pojęcia. Bez pracy, bez prawem uznanej własności człowiek nie może żyć, rozpuszcza się, przemienia się w zwierzę. I dlatego to każdy w ostrogu, wskutek naturalnej potrzeby i jakiegoś instynktu samozachowawczego, miał swoje rzemiosło i zajęcie. Długi dzień letni cały był zapełniony robotą przymusową, krótka noc ledwie dawała czas do wyspania się. Ale zimą aresztant podług przepisów, jak tylko zmrok zaczyna zapadać, powinien być zamknięty w ostrogu. Cóż robić w długie, nudne godziny zimowego wieczora? I dlatego prawie każda kazarma, nie zważając na zakaz, zamieniała się w wielki warsztat. Właściwie praca, zajęcie nie było wzbronione, ale surowo wzbroniano mieć przy sobie narzędzia, a bez nich praca niemożliwa. Ale praca odbywała się w największej ciszy i zdaje się, że władza w niektórych razach patrzyła na to przez palce.

Wielu aresztantów przybywało do ostrogu, nic nie umiejąc, ale uczyli się tu od drugich i potem, wyszedłszy z więzienia, byli dobrymi majstrami. Znaleźć tu można było szewców, robiących buty i trzewiki, krawców, stolarzy, ślusarzy, rytowników, złotników. Był jeden Żyd, Izaak Bumsztejn, jubiler, a zarazem lichwiarz. Wszyscy oni pracowali i zarabiali grosz jakiś. Zamówienia otrzymywano z miasta¹⁵. Pieniądz jest brzęcząca swobodą, a stąd dla człowieka zupełnie pozbawionego wolności dziesięć razy droższy. Niech mu brzęczy w kieszeni, on już w połowie zadowolony, choćby go nie mógł tracić. Ale pieniądze można zawsze i wszędzie wydawać, tym bardziej, że owoc zakazany jest podwójnie słodki. A w katorżce można było mieć nawet wódkę. Fajki były najsurowiej zabronione, ale wszyscy palili. Pieniądze, tytoń ratowały od szkorbutu i innych chorób. Praca zaś ratowała od zbrodni; bez pracy aresztanci pojedliby się wzajem jak pająki w szklance. Pomimo tego i praca, i pieniądze były zabronione, a choć pieniądze były starannie ukryte, wpadały jednak czasem w ręce poszukujących. Oto po części dlaczego ich nie oszczędzano, a prędko przepijano; oto dlaczego sprowadzano wódkę do ostrogu. Po każdej rewizji winny nie tylko tracił wszystko, co u niego znalezione, ale zwykle bywał boleśnie ukarany. Ale natychmiast po każdej rewizji na miejsce utraconych sprowadzano nowe rzeczy i wszystko szło po dawnemu. I władza wiedziała o tym, i aresztanci nie narzekali na kary, chociaż takie życie podobne było do życia ludzi mieszkających na Wezuwiuszu.

Kto nie miał zawodu, wynajdował sobie inne zajęcie przynoszące dochód. Bywały sposoby dość oryginalne. Niektórzy na przykład trudnili się handlarstwem jako przepuknie, a sprzedawały się niekiedy takie rzeczy, których za ostrokołem więziennym nie tylko nie przyszłoby nikomu do głowy sprzedawać i kupować, ale nawet uważać tego za

¹⁵z miasta — miastem, gdzie Dostojewski przesiedział 4 lata w katorżce, jest Omsk. [przypis tłumacza]

rzeczy. Ale katorga była bardzo biedna i nadzwyczajnie przemyślna. Ostatni strzępek miał jakąś wartość i mógł się na coś przydać. Wskutek ubóstwa i pieniądze w katordze miały zupełnie inną cenę niż na wolności. Za dużą i skomplikowaną pracę płacono groszami. Niektórzy z powodzeniem uprawiali lichwiarstwo. Aresztant, który się zadłużył i nie miał ani grosza, niósł ostatnie swoje rzeczy do lichwiarza i otrzymywał od niego kilka miedziaków na szalony procent. Jeśli nie wykupił tych rzeczy w terminie, lichwiarz sprzedawał je niezwłocznie, na nic nie mając względu. Lichwiarstwo tak się rozwinęło, że przyjmowano w zastaw nawet rządowe rzeczy, np. bieliznę, obuwie itp., potrzebne aresztantowi w każdej chwili. Ale przy takich zastawach sprawa brała czasem inny obrót: ten, który dał zastaw i otrzymał pieniądze, natychmiast szedł do starszego podoficera, najbliższego zwierzchnika więziennego, donosił o zastawie rządowych rzeczy i wnet odbierano je od lichwiarza, nie odnosząc się nawet do wyższej władzy. Rzecz ciekawa, że nieraz nie było nawet z tego powodu kłótni; lichwiarz w ponurym milczeniu oddawał, czego żądano, i zdawało się, że sam spodziewał się takiego rozwiązania. Być może, iż czuł w duchu, że nie inaczej by postąpił na miejscu zastawiającego. I dlatego, jeżeli lżył niekiedy potem, to bez gniewu, a tylko jakby dla spełnienia obowiązku.

W ogóle wszyscy kradli wzajem u siebie straszliwie. Prawie każdy miał swój kufer z zamkiem dla schowania rządowych rzeczy. Pozwalano na to; ale kufry nie ratowały. Myślę, że czytelnik łatwo sobie wyobrazi, jacy zręczni byli tam złodzieje. U mnie jeden aresztant, człowiek szczerze mi oddany (mówię to bez przesady) ukradł Biblię, jedyną książkę, którą wolno było mieć w katordze; tegoż dnia przyznał mi się do złodziejstwa, ale nie przez skruchę, tylko z żalu nade mną, gdy widział, jak długo jej szukałem. Byli tacy, którzy handlowali wódką i prędko się wzbogacali. O tej sprzedaży powiem kiedyś osobno, bo jest godna uwagi. W ostrogu było wielu kontrabandzistów, więc nic dziwnego, że wódka pomimo rewizji i konwojów dostawała się do ostrogu. A kontrabanda jest szczególnego rodzaju przestępstwem. Czy łatwo to na przykład zrozumieć, że u niektórych kontrabandzistów pieniądze, zyski, grają rolę podrzędną, stoją na drugim planie? A tymczasem tak właśnie bywa. Kontrabandzista oddaje się swemu zajęciu z namiętności, z powołania. Jest w nim po części poeta. On wszystko stawia na kartę, wystawia się na groźne niebezpieczeństwo, używa podstępów, tworzy pomysły, wyplątuje się z najtrudniejszych sytuacji; czasem nawet działa jakby pod wpływem natchnienia. Jest to namiętność równie silna jak karciarstwo. Znałem w ostrogu pewnego aresztanta, człowieka olbrzymiej postawy, ale tak dobrego, cichego, pokornego, że trudno było zrozumieć, skąd on wziął się w ostrogu. Tak mało w nim było złości, tak był uprzejmy, że przez cały czas pobytu w katordze z nikim się nie pokłócił. Ale pochodził z zachodniej granicy, zesłany był do katorgi za kontrabandę i naturalnie nie mógł się oprzeć pokusie i przenosił wódkę. Ileż razy karano go za to i jak się on bał różeg! A i zysk przenoszenia wódki był bardzo nędzny; handel wódką wzbogacał tylko przedsiębiorcę. Ale dziwny ten człowieczysko kochał sztukę dla sztuki. Płaksiwy był jak baba i ileż razy bywało, zaklinał się i zarzekał nie nosić kontrabandy. Mężnie pokonywał pokusy nieraz przez cały miesiąc, ale w końcu nie mógł się oprzeć... Dzięki takim to osobistościom nigdy nie brakło w ostrogu wódki.

Na koniec było jeszcze jedno źródło dochodu, które nie wzbogacało wprawdzie aresztantów, ale było stałe i dobroczynne. Mówię o jałmużnie. Wyższa warstwa naszego społeczeństwa nie ma wyobrażenia o tym, jak się opiekują „nieszczęśliwymi” kupcy, mieszczanie i cały nasz lud prosty. Jałmużna jest prawie nieustanna i prawie zawsze w postaci chleba, tak zwanych sajek¹⁶ i kołaczy, daleko rzadziej pieniędzy. Bez tej jałmużny w wielu miejscach byłoby bardzo ciężko aresztantom, szczególnie tym, co jeszcze byli pod sądem i których daleko ściślej trzymają niż skazanych. Jałmużnę z religijną skrupulatnością dzieli się między aresztantów na równe części. Jeśli na przykład liczba kołaczy nie odpowiada liczbie aresztantów, to kołacze kraja się na równe części, czasem nawet na sześć części i każdy więzień musi otrzymać swoją częśćkę.

Pamiętam, jak pierwszy raz otrzymałem jałmużnę pieniężną. Było to wkrótce po moim przybyciu do ostrogu. Powracałem z rannej roboty, sam jeden z żołnierzem konwojowym. Na drodze spotkałem idące naprzeciwko mnie matkę i córkę, dziewczynkę lat

¹⁶sajki — bułki pszenne z gęsto zamieszanego ciasta. [przypis tłumacza]

dziesięciu, piękną jak aniołek. Widziałem już je raz przedtem. Matka była wdową po żołnierzu. Jej mąż, młody żołnierz był pod sądem i umarł w szpitalu aresztanckim, kiedy i ja tam leżałem chory. Żona i córka przychodziły pożegnać się z nim; obie gorzko płakały. Zobaczywszy mnie, dziewczyna zarumieniła się i poszeptala coś do matki. Matka zatrzymała się, odszukała w węzélku ćwierć kopiejki¹⁷ i dała ją dziewczynie. Ta rzuciła się w pogoń za mną. — „Masz, nieszczęśliwy, weź w imię Chrystusa” — wołała, zabiegając mi drogę i wtykając w rękę grosik. Wziąłem go i dziewczynka wróciła do matki zupełnie zadowolona. Ten grosik długo chowałem.

II. PIERWSZE WRAŻENIA

Pierwszy miesiąc i w ogóle początek mego życia w ostrogu żywo mi staje w wyobraźni. Daleko niewyraźniej majaczą mi we wspomnieniach późniejsze lata tego życia. Niektóre, zda się, zupełnie zacierają się, zlewają się jedne z drugimi, zostawiając po sobie jedno ogólne wyobrażenie: chwil ciężkich, jednostajnych, duszących.

Ale wszystko, com przeżył w pierwszych dniach katorgi, przedstawia mi się jak coś, co się wczoraj zdarzyło. Rzecz to naturalna.

Pamiętam wyraźnie, że przy samym wstąpieniu w to życie uderzyło mnie to, że nic w nim jakoby nie znalazłem rażącego, nadzwyczajnego, albo właściwiej mówiąc, niespodziewanego. Wszystko to, na co patrzałem, już przedtem jakby migало w mojej wyobraźni, gdy idąc na Syberię, starałem się odgadnąć moje przyszłe losy. Ale niebawem mnóstwo najdziwniejszych niespodzianek, najpotworniejszych faktów prawie na każdym kroku zaczęło mnie uderzać, i dopiero później, po dłuższym pobycie w ostrogu, zrozumiałem w pełni całą wyjątkowość, całą niespodziewaność tego życia i coraz więcej mu się dziwiłem. Muszę się przyznać, że to zadziwienie towarzyszyło mi przez cały czas katorgi; nie mogłem się z nią nigdy pogodzić.

Pierwsze moje wrażenie przy wejściu do ostrogu było w ogóle najprzykrzejsze, najwstrętniejsze; pomimo tego jednak — rzecz dziwna — wydało mi się, że w ostrogu daleko łatwiej żyć, niżelim to sobie w drodze na Syberię wyobrażał. Aresztanci, chociaż w kajdanach, chodzili jednak swobodnie po całym ostrogu, łajali się, śpiewali pieśni, pracowali dla siebie, palili fajki, nawet pili wódkę (choć takich było niewielu), a niektórzy w nocy uprawiali karciarstwo. Sama robota wydała mi się nie tak ciężka, katorżna i dopiero dobrze później poznałem, że jej ciężar, jej katorżność polega nie na tym, że jest trudna i ciągła, ale na tym, że to praca przymusowa, obowiązkowa, pod kijem. Chłop wolny pracuje nieraz nierównie więcej, czasem i nocami, szczególnie latem; ale pracuje dla siebie, pracuje w rozumnym celu, i jemu nierównie lżej niż katorżnemu robotnikowi w pracy przymusowej i nieprzynoszącej mu żadnej korzyści. Przyszło mi raz na myśl, że gdyby chodziło o to, aby człowieka zupełnie przygnębić, unicestwić, ukarać go najstraszliwiej, tak żeby najgorszy zbój wzdrygał się przed tą karą i z góry drżał przed nią, to należałoby tylko nadać jej charakter zupełnej nieużyteczności i niedorzeczności. Jakkolwiek terazniejsze roboty katorżne nie są dla więźniów interesujące, są dla nich nudne, to jednak same w sobie mają rozumny cel. Aresztant robi cegły, kopie ziemię, tynkuje, buduje; w tej pracy jest jakiś sens i cel. Ale gdyby go na przykład zmusić do przelewania wody z jednego cebra w drugi, a z drugiego w pierwszy, tłuc piasek, przenosić kupę ziemi z jednego miejsca w drugie i odwrotnie — to myślę, że aresztant po kilku dniach udusiłby się albo tak nabroił, żeby już choć umrzeć i w ten sposób wydobyć się z tego poniżenia, wstydu i męki. Rozumie się, że taka kara zamieniłaby się w torturę i byłaby niedorzeczna, ponieważ nie osiągnęłaby żadnego celu. Ale że pewna doza takiej tortury, niedorzeczności, poniżenia i wstydu jest bezwzględnie w każdej pracy wymuszonej, to i katorżna praca jest nierównie bardziej męcząca od każdej wolnej, dlatego mianowicie, że jest wymuszona.

Zresztą ja wstąpiłem do ostrogu w zimie, w styczniu, i nie miałem jeszcze pojęcia o letniej pracy, piéćkroć cięższej. W zimie zaś w naszej fortecy rządowych robót było w ogóle mało. Aresztanci chodzili nad Irtysz¹⁸, rozrywać stare rządowe barki, pracowa-

Praca, Kara

¹⁷kopiejka — drobna moneta rosyjska, 100 kopiejek składa się na rubel. [przypis edytorski]

¹⁸Irtysz — rzeka w azjatyckiej części Rosji, lewy dopływ Obu. [przypis edytorski]

li w warsztatach, odrzucali od rządowych budynków śnieg, nawiany buranami¹⁹, palili, tłukli alabaster²⁰ itd. Dzień zimowy był krótki; praca kończyła się prędko i cały nasz lud wracał wcześniej do ostrogu, gdzie nie miałby całkiem nic do roboty, gdyby mu się nie zdarzało mieć jakiej własnej roboty. Ale własną pracą zajmowała się może tylko trzecia część aresztantów. Inni zbijali baki, włóczyli się po wszystkich kazarmach ostrogu, łajali się wzajem, snuli intrygi, wyprawiali historie, upijali się, jeżeli tylko skądkolwiek choć trochę nasunęło się pieniędzy. Po nocach zgrywali się do ostatniej koszuli, ale wszystko z nudy, z próżniactwa, dla zabicia czasu. Później poznałem, że w życiu katorżnym oprócz pozbawienia wolności i pracy przymusowej jest jeszcze jedna męka, bodaj czy nie cięższa od innych. Tą męką — „przymusowe wspólne pożycie”. Wspólne pożycie jest niewątpliwie i w innych miejscach, ale do ostrogu dostają się ludzie, z którymi nie każdemu chciałoby się zżywać i jestem pewny, że każdy katorżnik odczuwał tę mękę, chociaż może po większej części nieświadomie.

Więziń

I strawa z początku wydała mi się dość znośna. Aresztanci zapewniali, że tak dobrej nie ma w aresztanckich rotach Rosji europejskiej. Nie będę o tym wyrokował, bom tam nie był. Wielu przy tym mogło mieć własną żywność. Za wołowinę płaciło się u nas za funt²¹ po groszu²², latem trzy kopiejki. Ale własny wikt mieli tylko ci, u których ciągle były pieniądze; większość katorgi jadła strawę rządową. Zresztą aresztanci, chwając się swoim wiktem, stosowali te pochwały tylko do chleba i błogosławili ten zwyczaj, że u nas chleb wspólny i nie wydaje się na wagę. Ta waga ich przerażała: przy wydawaniu na wagę trzecią część więźniów byłaby głodna; przy wspólnym zaś chlebie wszystkim wystarczało. Chleb nasz był szczególnie smaczny i słynął z tego w mieście; przypisywano to dobremu urządzeniu pieców w ostrogu. Co się tyczy kapuśniaku, ten był wcale niepokazny. Gotowano go w jednym wielkim kotle, zasypywano z lekka krupami i szczególnie w dni powszednie był cienki i chudy. Przerażało mnie wielkie mnóstwo tarakanów²³ w tej potrawie, ale aresztanci nie zwracali na to bynajmniej uwagi.

Pieniądz

Przez pierwsze trzy dni nie chodziłem na robotę; tak postępowano z każdym nowo przybyłym: pozwalano mu odpocząć po drodze. Ale nazajutrz po przybyciu musiałem wyjść z ostrogu, aby się dać przekuć. Kajdany, które dotychczas nosilem, były nie podług formy²⁴, łańcuchowe, *mielkozwon* (drobne ogniwo), jak je nazywali aresztanci. Noszono je zewnątrz, na ubraniu. Kajdany zaś przepisane dla ostrogu, a stosowane do robót katorżnych, składały się nie z ogniw krągłych, ale z czterech prętów żelaznych, prawie na palec grubych, połączonych ze sobą trzema pierścieniami. Trzeba je było zakładać pod spodnie. Do środkowego ogniwa przywiązywano rzemień, a ten z kolei był przymocowany do rzemieńnego pasa, którym opasana była koszula.

Więziń

Pamiętam pierwszy poranek w kazarmie. W kordegardzie u wrót ostrogu uderzono w bęben, jako hasło do wstawania, i w dziesięć minut potem podoficer straży więziennej zaczął otwierać kazarmy. Aresztanci zaczęli się budzić. Przy mdłym świetle lojówki podnosili się ze swoich nar, drżąc z zimna: wstawali ze snu, po większej części milcząc, z ponurym wejrzaniem, poziewali, przeciągali się, marszczyli piętnowane czoła. Niektórzy żegnali się, inni szukali już zaczepki.

Zesłaniec, Więziń

Zaduch był straszliwy. Świeże powietrze zimowe uderzyło we drzwi, jak tylko je otworzono, i w kazarmie zakłębiło się od pary. Przy wiadrach z wodą stał tłum aresztantów; po kolei brali dzban, nabierali wody w usta i tą wodą myli twarz i ręce. Woda przygotowana już była z wieczora, przez tak zwanego *parasznika*. W każdej kazarmie według przepisów był jeden aresztant, wybrany przez towarzyszy dla posług; nazywał się parasznik i nie chodził na robotę. Jego zajęcie polegało na utrzymywaniu czystości w kazarmie, na myciu i szorowaniu nar i podłogi, przynoszeniu i wynoszeniu nocnego cebra²⁵, na dostarczaniu świeżej wody po dwa wiadra, rano dla mycia się, w dzień dla picia.

Z powodu dzbana, który był tylko jeden, zaczęły się niezwłocznie spory.

¹⁹*buran* — silny i porywisty wiatr połączony ze śnieżycą, wiejący zimą na obszarze środkowej i południowej Syberii, Uralu i Powołża. [przypis edytorski]

²⁰*alabaster* — zbity, prześwitujący minerał będący drobnoziarnistą odmianą gipsu. [przypis edytorski]

²¹*funt* — dawna jednostka wagi; tu miara rosyjska, ok. 0,410 kg. [przypis edytorski]

²²*grosz* — w XIX w. groszem nazywano w Rosji monetę o wartości pół kopiejki. [przypis edytorski]

²³*tarakan* (reg.) — karakan, karaluch. [przypis edytorski]

²⁴*nie podług formy* (daw.) — nieformalne, nieprzepisowe. [przypis edytorski]

²⁵*ceber* — duże, drewniane naczynie wykonane z klepek. [przypis edytorski]

— Gdzie leziesz, rybia głowo! — burknął jakiś ponury, wysoki aresztant, chudy i ogorzwały, z dziwnymi wypukłościami na ogolonej czaszce, odpychając drugiego, grubego i przysadzistego z wesołą i rumianą twarzą: — *Pastoj* (poczekaj)!

— Po co wrzeszczysz! Za *pastoj* (kwaterunek) u nas trzeba płacić! Sam się przewalaj! Patrz go, wyciągnął się jak monument. To jest, widzicie, kamraci, nie ma w nim żadnej fortykultiapności.

„Fortykultiapność” wywołała pewien efekt: wielu zaśmiało się. Tęgo tylko potrzeba było wesołemu grubasowi, który widocznie był w kazarmie czymś w rodzaju dobrowolnego błazna. Wysoki aresztant popatrzył na niego z najgłębszą pogardą.

— Słomiana krowa! — powiedział jakby do siebie. — Odpasł się na aresztanckim czystiaku²⁶. Ciesz się, że na Wielkanoc dwanaście prosiąt będzie miał na stole.

Tłuścioch nareszcie rozgniewał się.

— Ale ty, cóżeś to za ptaszek? — zawołał, nagle poczerwieniawszy.

— A właśnie, że ptaszek.

— Jaki?

— Taki.

— Jakiż taki?

— Jednym słowem: taki.

— Ale jaki?

Wpili się oczyma w siebie. Tłuścioch czekał odpowiedzi i ścisnął kulaki²⁷, jakby gotów natychmiast rzucić się do bójki. Myślałem, że naprawdę nastąpi bójka. Wszystko to było dla mnie nowością i ciekawie patrzyłem na tę scenę. Później przekonałem się, że wszystkie podobne sceny były bardzo niewinne i odgrywały się, jak w komedii, dla uciechy publiczności; do bójki zaś prawie nigdy nie dochodziło.

Wysoki aresztant stał spokojnie i wspaniale: czuł, że na niego patrzą i czekają, czy się zblażni odpowiedzią, czy nie; czuł, że trzeba było utrzymać się przy swoim, dowieść, że jest rzeczywiście ptakiem i powiedzieć, jakim mianowicie ptakiem. Z niewypowiedzianą pogardą spojrzął z ukosa na swego przeciwnika, starając się na domiar obrazy popatrzeć na niego przez ramię, z góry na dół, jak na jakiegoś robaka, i wymówił powoli i wyraźnie:

— Kagan²⁸!

Znaczyło to, że on jest ptak kagan. Grzmiąca salwa śmiechu powitała pomysliwość aresztanta.

— Padlec ty, ale nie kagan! — zaryczał tłuścioch, poczuwszy, że został pobity na wszystkich punktach, i wpadłszy w ostateczną wściekłość. Ale jak tylko zwada stawała się groźna, zuchów natychmiast osadzono na miejscu.

— Co tam za wrzask podnieśli! — zawołała na nich cała kazarma.

— A wy już lepiej pobijcie się, niżeli tak drzeć gardło — krzyknął ktoś z kąta.

— Poczekaj, pobiją się! — zabrzmiała odpowiedź z tłumu. — U nas lud dzielny, zaczepny, siedmiu jednego nie boimy się...

— A i obaj są dobrzy! Jeden za funt chleba dostał się do ostrogu, drugi śmietaną babie z garnka wyjadł i oberwał za to knutem²⁹.

— No, no, no! Dosyć tego! — zawołał inwalida, który mieszkał w kazarmie dla utrzymywania porządku i sypiał w kącie na osobnym tapczanie.

— Woda, dzieci! Newalid Piotrowicz zbudził się! Newalidowi Piotrowiczowi, rodzonemu bratu!

— Brat... Co ja tobie za brat? Rublaśmy razem nie przepili, a brat! — mrucał inwalida, narzucając szynel³⁰ na ramiona.

Gotowano się do sprawdzenia; zaczęło świtać; w kuchni skupił się gęsty tłum aresztantów, przez który trudno się było przecisnąć. Aresztanci w swoich półkożuszkach i dwubarwnych czapkach gromadzili się koło chleba, który krajał im jeden z kaszowarów (ku-

²⁶ *czystiak* — chleb z czystej mąki, bez jakiegokolwiek domieszki. [przypis tłumacza]

²⁷ *kulak* — mocno zacisnięta dłoń; pięść. [przypis edytorski]

²⁸ *kagan* — w rosyjskich wierzeniach ludowych: ptak przynoszący szczęście, którego nie da się złapać i nie należy próbować szukać. [przypis edytorski]

²⁹ *knut* (z ros.) — bicz, zbudowany z kilku splecionych ze sobą rzemieni przymocowanych do drewnianej rękojeści. [przypis edytorski]

³⁰ *szynel* — mundurowy płaszcz wełniany, noszony przez wojskowych, policjantów oraz urzędników w Rosji w XIX i na pocz. XX w. [przypis edytorski]

charzy). Kaszowarów obierała spółka aresztancka, do każdej kuchni po dwóch. U nich też przechowywano nóż kuchenny do krajania chleba i mięsa, jedyny na całą kuchnię.

Po wszystkich kątach i za stołami rozsiedli się aresztanci w czapkach, półkożuszkach i podpasani, gotowi wyjść natychmiast na roboty. Przed niektórymi stały drewniane kubki z kwasem³¹. Do kwasu drobiono chleb i popijano z kubków. Gwar i hałas był nieznośny, ale niektórzy przyzwocie i z cicha rozmawiali po kątach.

— Staruszkowi Antonyczowi chleb i sól, jak się masz! — powiedział młody aresztant, sadowiac się obok zachmurzonego bezzębego aresztanta.

— No, jak się masz, jeżeli nie żartujesz — odpowiedział powitany, nie podnosząc oczu i usiłując zżuć chleb swoimi bezzębnymi szczękami.

— A ja, Antonycz, byłem pewny, żeś ty już umarł; doprawdy.

— Nie, ty naprzód umrzyj, a ja po tobie...

Usiadłem koło nich. Z prawej strony obok mnie rozmawiali dwaj poważni aresztanci, starając się widocznie jeden wobec drugiego zachować jak największą powagę.

— U mnie, nie bój się, nie ukradną — mówił jeden z nich. — Ja, bracie, sam boję się, żeby czego nie ukraść.

— No i mnie też gołą ręką nie bierz: oparzę!

— I po co masz parzyć. Taki sam *warnak*³², jak inni; innej nazwy nie mamy... obierze cię i nawet się nie ukloni. Tu, bracie, i moja kopiejka się umyła. Onegdaj sama przyszła. Gdzie się z nią podziać? Zacząłem prosić Fiedkę-oprawcę, tego, co to miał dom na przedmieściu, od Salomonki parszywego, od Żyda kupił, co się potem powiesił.

— Wiem. On u nas w trzecim roku był szynkarzem, a nazywa się Gruszka — ciemny szynk, znam go.

— A właśnie, że nie znasz; to drugi ciemny szynk.

— A jeżeli nie drugi! Ty już wszystko wiesz doskonale. A ja ci tyle świadków przywiodę...

— Przywiodzisz? Ty skąd, a ja czyj?

— Czyj! Bijąłem cię nieraz i nie chwałę się, a ty jeszcze: czyj!

— Ty biłeś! Kto mnie pobije, ten się jeszcze nie urodził, a kto bił, ten w ziemi leży.

— Dżuma benderska³³!

— Żeby cię zaraza sybirska!

— Żeby się z tobą szabla turecka rozmówiła!

I poczęły się sypać obelgi.

— No, no, no! Zaindyczyli się! — zakrzyczano dokoła. — Na woli³⁴ nie umieli żyć, a tu radzi, że się do czystego chleba dobrali...

Natychmiast rozejm. Łajac się, językiem rąbać wolno, stanowi to po części rozrywkę dla wszystkich. Ale do bójki nie zawsze dopuszczają, i chyba tylko w wyjątkowym razie przeciwnicy się pobijają. O bójce donoszą majorowi; zacznie się badanie, przyjdzie sam major — jednym słowem wszyscy na tym źle wyjdą, i dlatego do bójki aresztanci nie dopuszczają. Wreszcie i sami przeciwnicy łajac się bardziej dla rozrywki, dla ćwiczenia się w stylu. Nieraz sami siebie oszukują, zaczynają z najgorętszym gniewem, ze wściekłością i... patrząc na nich, myślisz: „Ot, rzucą się na siebie”; a tymczasem nic podobnego się nie dzieje; doprowadzą kłótnię do pewnego punktu i natychmiast się rozchodzą. Wszystko to mnie z początku niezmiernie dziwiło. Umyślnie przytoczyłem tu próbkę najzwyczajszych rozmów katorżnych. Nie mogłem z początku zrozumieć, jak można łajac się dla przyjemności i znajdować w tym zabawę. Zresztą, trzeba i to wziąć pod uwagę, że działała tu i próżność. Dialektyk, mistrz w obelgach cieszył się poważaniem; omal że nie oklaskiwano go jak aktora.

Jeszcze wczorajszego wieczora spostrzegłem, że na mnie patrzają krzywo. Pochwyciłem już kilka wrogich spojrzeń, rzuconych w moją stronę. Ale byli i tacy aresztanci, którzy

³¹*drewniane kubki z kwasem* — z kwasem chlebowym, typowym dla ludów słowiańskich napojem przyrządzonym ze sfermentowanego chleba. [przypis edytorski]

³²*warnak* — nazwa ludowa skazanego do katorgi. [przypis tłumacza]

³³*dżuma benderska* — epidemia dżumy, która wybuchła pod koniec XVIII w. w pobliżu miasta Bendery, we wsch. Mołdawii, i razem z rosyjskim wojskiem dotarła później aż do Moskwy, pustosząc prowincje imperium. [przypis edytorski]

³⁴*na woli* — tu żarg.: na wolności. [przypis edytorski]

skakali koło mnie, podejrzewając, że przyniosłem ze sobą pieniądze. Natychmiast zaczęli mi wyświadczać rozmaite przysługi: uczyli mnie, jak nosić nowe kajdany; dostali dla mnie, rozumie się za pieniądze, kuferek z zamkiem, ażebym miał gdzie schować rządowe rzeczy, które mi już wydano, i trochę bielizny, którą ze sobą przyniosłem. Nazajutrz ci sami ukradli go mnie i przepili. Jeden z nich później był mi zupełnie oddany, choć nie przestawał mnie okradać przy pierwszej nastroczającej się sposobności. Robił to bez żadnego wstydu, prawie nieświadomie, jakby z obowiązku, i niepodobna się było na niego gniewać.

Prócz innych rzeczy nauczyli mnie, że trzeba mieć swoją herbatę, że nieźle by było sprawić sobie imbryk do herbaty, a tymczasem wystarali się o cudzy i rekomendowali mi kucharza, mówiąc, że za trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi przyrządzał, co mi się podoba, jeżeli zechcę jeść osobno i kupować sobie żywność... Naturalnie pożyczyci u mnie pieniędzy i pierwszego dnia po trzy razy przychodzili do mnie z prośbą o pożyczkę.

W katordze na ludzi ze stanu szlacheckiego patrzę w ogóle niechętnie, a nawet wrogo.

Nie uważając na to, że ci pozbawieni są już wszelkich praw stanu i zupełnie zrównani z innymi aresztantami, aresztanci nie uznają ich nigdy za swoich towarzyszy. Dzieje się to nie wskutek jakiegoś wyraźnego, świadomego uprzedzenia, ale zupełnie nieświadomie, zupełnie szczerze. Oni sami uznawali nas za szlachtę, pomimo że lubili drażnić nas naszą degradacją.

— Nie, teraz już darmo, teraz inaczej. Bywało, Piotr przez Moskwę *priot* (pędzi), a teraz Piotr *wieriowki wjot* (sznury kręci) — i tym podobne spotykały nas dogadywania.

Z przyjemnością patrzali na nasze cierpienia, które staraliśmy się przed nimi ukrywać. Szczególnie dostawało się nam z początku przy robocie, za to, żeśmy nie mieli tyle siły, co oni, i żeśmy nie mogli im dorównać w robocie. Nie ma nic trudniejszego, jak pozyskać ufność ludu, i to takiego jeszcze ludu, i zjednać sobie jego miłość.

W katordze było dziesięciu ludzi ze szlachty. A naprzód pięciu Polaków. O nich powiem kiedyś osobno³⁵. Katorżnicy strasznie nie lubili Polaków, więcej nawet niżeli skazańców z rosyjskiej szlachty. Polacy (mówię tylko o politycznych przestępcach) byli względem nich jakoś dziwnie subtelnie, obrażająco grzeczni, zupełnie dla nich zamknięci i ani trochę nie mogli ukryć swego ku nim wstrętu, co aresztanci bardzo dobrze pojmowali i płacili im podobną monetą.

Ja musiałem przeszło dwa lata przeżyć w ostrogu, zanim udało mi się pozyskać przychylność niektórych katorżników. Ale w końcu większa ich część polubiła mnie i uznała za „dobrego” człowieka.

Z rosyjskiej szlachty oprócz mnie było czterech. Jeden — niski i dziwnie podle stworzenie, strasznie zepsute, szpieg i donosiciel z zawodu. Słyszałem o nim jeszcze przed dostaniem się do ostrogu i zaraz w pierwszych dniach zerwałem z nim wszelkie stosunki. Drugi — to ten ojcobójca, o którym już wyżej mówiłem. Trzecim był Akim Akimycz (Joachim Joachimowicz); bodaj czy widziałem kiedy takiego cudaka, jakim był Akim Akimycz. Postać jego silnie się zarysowuje w mojej pamięci. Był wysoki, chudy, tępego umysłu, niesłuchanie mało wykształcony, a lubiący rezonować³⁶, wreszcie akuraty³⁷ jak Niemiec. Katorżnicy śmieli się z niego, a niektórzy bali się nawet wchodzić z nim w stosunki, lękając się jego przyczepek i kłótności. Od razu zaczął być z nimi za pan brat, łąał się z nimi, nawet bił się. Uczciwy był fenomenalnie. Jak tylko zauważył jakąś niesprawiedliwość, natychmiast wdawał się w sprawę, chociaż go wcale nie dotyczyła. Naiwny do największego stopnia: na przykład, kłócąc się z aresztantami, wypominał im nieraz, że są złodzieje, i z całą powagą przekonywał, że nie powinni kraść. Służył na Kaukazie jako praporszczyk³⁸. Zaznajomiłem się z nim od pierwszego dnia i zaraz mi opowiedział swoją historię.

Zaczął służyć na Kaukazie w piechocie, jako junkier³⁹, długo czekał na awans; wresz-

Podstęp

³⁵pięciu Polaków. O nich powiem kiedyś osobno — przy końcu *Wspomnień* jest cały rozdział poświęcony prawie wyłącznie Polakom. [przypis tłumacza]

³⁶rezonować — wypowiadać się z dużą pewnością siebie; mądrzyć się. [przypis edytorski]

³⁷akuraty — dokładny, porządkowy, schludny. [przypis edytorski]

³⁸praporszczyk (ros.) — w wojsku rosyjskim najniższy stopień oficera, odpowiednik chorążego. [przypis edytorski]

cie mianowano go oficerem i wyprawiono do jakiegoś fortu jako komendanta. Pewne sąsiednie ksiąŜtka kaukaskie, zostając w pokojowych stosunkach z rządem rosyjskim, podpałiło jego fort i napadło na niego w nocy, ale napad się nie powiódł. Akim Akimycz chwycił się podstępny i udał, że nie wie, kto był sprawcą napadu. Winę zwałono na niepodległych Czerkiesów⁴⁰ i po miesiącu Akim Akimycz zaprosił do siebie po przyjacielsku owego księcia w goŝcinę. Zaproszony przyjechał, nic złego nie podejrzewając. Akim Akimycz uszykował swój oddział, publicznie wobec niego zgromił schwytanego goŝcia, dowodząc mu, że jest haniebną rzeczą podpałiĆ fortecę; następnie odczytał mu szczegółową instrukcję, jak się ma zachowywać na przyszłość jako sprzymierzeniec rządu, a na zakończenie kazał go rozstrzelać, o czym niezwłocznie doniósł swej władzy ze wszystkimi szczegółami. Za to wszystko oddano go pod sąd i skazano na śmierć, ale wyrok złagodzone i zesłano go na Syberię na lat dwanaście do katorgi drugiego rzędu w fortecach. On zupełnie zgadzał się na to, że postąpił nieprawidłowo, mówił mi, że wiedział o tym i przed rozstrzelaniem księcia, że pokojowego przestępcę naleŜało sądzić według zwykłych praw; ale jakkolwiek wiedział o tym, w ŝaden sposób nie mógł zrozumieć swojej winy.

— Ale proszę was! Przecież on podpałił moją fortecę? Cóż, czy miałem mu się za to pokłonić, czy co? — mówił mi, odpowiadając na moje zarzuty.

Ale areztanci, pomimo iż wyśmiewali głupkowatość Akima Akimycza, szanowali go jednak za jego akuratność i biegłość w rzeczach praktycznych.

Nie było rzemiosła, którego by nie znał Akim Akimycz. Był stolarzem, szewcem, malarzem, pozłotnikiem, ślusarzem i wszystkiego tego nauczył się w katordze. A wszystko robił jako samouk: spojrz raz na jakąś robotę i zaraz to samo zrobi. Robił skrzynki, koszyki, latarki, dziecinne zabawki i sprzedawał w mieście. Tym sposobem miał zawsze pieniądze i używał ich natychmiast na bieliznę dodatkową, na jakąś miększą od zwykłych poduszkę, zaopatrzył się w składany materac. Umieszczony był w jednej z mną kazarmie i wyświadczył mi wiele przysług w pierwszych dniach mojej katorgi.

Wychodząc z ostrogu na robotę, areztanci szykowali się przed kordegardą w dwa rzędy; przed nimi i za nimi stawali w szeregu konwojowi ŝołnierze z nabitą bronią. Zjawiali się tu: oficer inŜynierii, konduktor⁴¹ i kilku niŜszych urzędników inŜynierii, dozorców nad robotami. Konduktor rozdzielał areztantów na partie⁴² i posyłał gdzie potrzeba na robotę.

Razem z innymi udałem się do warsztatu inŜynierii. Był tu niziutki budynek z kamienia, stał na wielkim dziedzińcu, zawałonym różnymi materiałami. Była tu kuźnia, był warsztat ślusarski, stolarski, malarski i inne. Akim Akimycz chodził tu i pracował w malarni, warzył oliwę, robił farby i malował stoły i meble na kolor orzecha.

OCzekując przekucia, rozmawiałem z Akimem Akimyczem o pierwszych wrażeniach doznanych przeze mnie w ostrogu.

— Tak-s⁴³, szlachty oni nie lubią — zauwaŜył mój interlokutor⁴⁴ — szczególnie politycznych, zjeść by radzi. Nic dziwnego. Naprzód pan jesteŝ człowiek innego rodzaju, do nich niepodobnego, a po wtóre oni wszyscy przedtem byli albo pańscy poddani, albo z wojskowego stanu. Sam więc osądź, czy oni mogą pana polubić? Tutaj, ja panu powiem, żyć trudno. A w rosyjskich⁴⁵ areztanckich rotach jeszcze trudniej. Ot, u nas są ludzie stamtąd i nie mogą się nachwalić naszego ostrogu, rzekłbyś, z piekła dostali się do rajy. Nie w robocie nieszczęŝcie. Mówią, że tam w pierwszym oddziale zwierchnoŝć niezupełnie wojskowa, a przynajmniej w inny sposób niŜ u nas postępuje. Tam, mówią, zesłany moŜe żyć z rodziną. Ja tam nie byłem, ale tak mówią. Nie golą tam, w mundurach nie chodzą, chociaŜ zresztą to dobrze, że u nas i goleni, i w urzędowym stroju; zawsze

³⁹*junkier* — stopień podoficerski w dawnej armii rosyjskiej, nadawany mającym szlachcicom oraz słuchaczom szkół wojskowych, odpowiednik podchorążego w polskim wojsku. [przypis edytorski]

⁴⁰*Czerkiesi* — grupa etniczna z pln-zach. Kaukazu, od 1763 walczyli przeciwko Imperium Rosyjskiemu, usiłującemu podporządkować sobie Kaukaz; w 1864 pokonani, padli ofiarą czystek etnicznych i zostali przesiedleni ze swoich terenów, w większości deportowani do Turcji, część na inne tereny Rosji. [przypis edytorski]

⁴¹*konduktor* (łac.: przewodnik) — tu: podoficer w jednostce inŜynieryjnej dawnej armii rosyjskiej (*кондуктор инженерный*). [przypis edytorski]

⁴²*partia* — tu: zorganizowana grupa. [przypis edytorski]

⁴³*Tak-s* — dodawanie „s” na końcu wyrazu dla wiêkszej dobitnoŝci właściwe Rosjanom, szczególnie warstw mniej wykształconych. [przypis tłumacza]

⁴⁴*interlokutor* (z łac.) — rozmówca. [przypis edytorski]

⁴⁵*w rosyjskich* — to jest: w europejskich. [przypis tłumacza]

to więcej porządku i przyjemniej dla oka. A jednak im się to nie podoba. A proszę też popatrzeć, co to za zbieranina. Jeden z kantonistów⁴⁶, drugi z Czerkiesów, trzeci z raskolników⁴⁷, czwarty prawosławny *mużyczok* (chłopiec), rodzinę, dzieci ukochane zostawił we wsi rodzinnej, piąty Żyd, szósty Cygan, siódmy nie wiadomo kto, i wszyscy oni muszą bądź co bądź żyć się ze sobą, zgodzić się jeden z drugim, jeść z jednej misy, spać na jednych narach. A i wolność tu jaka: dodatkowy kąsek można zjeść tylko ukradkiem, każdy grosz trzeba chować w cholewę, i wszędzie i zawsze: ostróg i ostróg... Mimo woli w głowie się zawróci.

Ale ja już o tym wiedziałem. Przede wszystkim chciałem się rozpytać o naszego majora. Akim Akimycz nie robił tajemnicy i pamiętam, że wrażenie, które odniosłem z jego opowiadania, nie było zupełnie przyjemne.

Ale sądzono mi było jeszcze dwa lata przeżyć pod jego władzą. Wszystko, co mi o nim Akim Akimycz opowiadał, okazało się zupełnie prawdziwe, z tą różnicą, że wrażenie, które rzeczywistość wywiera, jest zawsze silniejsze od wrażenia, wywołanego prostym opowiadaniem. Straszny to był człowiek, a straszny dlatego, że był naczelnikiem z władzą prawie nieograniczoną nad dwustu duszami ludzkimi. Sam w sobie był to tylko nieporządny i zły człowiek, i nic więcej. Na aresztantów spoglądał jak na swoich przyrodzonych wrogów i to był pierwszy i główny jego błąd. Miał rzeczywiście pewne zdolności, ale wszystko, nawet to, co było w nim dobrego, przedstawiało się w jakiejś spaczonyj postaci. Niezdolny panować nad sobą, gniewny, wpadał do ostroga, czasem nawet w nocy, i jeśli spostrzegł, że aresztant śpi na lewym boku lub na wznak, karał go nazajutrz: „Pamiętaj, żebyś spał na prawym boku, jakem rozkazał”. W ostrogu nienawidzono go i bano się jak dżumy. Twarz miał purpurową, gniewną. Wszystkim wiadomo było, że był całkowicie zależny od swego dieńszczyka⁴⁸, Fiedki. Najwięcej ze wszystkiego kochał swego pudla Trezorkę i omal nie oszalał ze smutku, gdy Trezorka zachorował. Mówią, że beczał nad nim jak nad rodzonym synem; odpędził jednego weterynarza i swoim zwyczajem omal, że się z nim nie pobił, a usłyszawszy od Fiedki, że w ostrogu jest aresztant weterynarz-samouk, który leczy bardzo szczęśliwie, natychmiast przywołał go do siebie.

— Pomóż mi! Ozłocę cię, wylecz Trezorkę! — zawołał do aresztanta.

Był to chłop Sybirak, przebiegły, mądry, w istocie bardzo zręczny weterynarz, ale prawdziwy *mużyczok*.

— Patrzę ja na Trezorkę — opowiadał potem aresztantom, dość zresztą dawno po tej wizycie u majora, kiedy już cała sprawa była zapomniana: — patrzę: leży pies na kanapie, na białej poduszce; i widzę dobrze, że zapalenie, że trzeba by krwi puścić i pies by się wylizal, dalipan, że tak? Ale tuż myślę sobie: a co będzie, jak nie wyleczę, jak zdechnie? Nie, mówię, wasze wysokobłagorodie⁴⁹, późno mnie wezwali, gdyby tak wczoraj albo pozawczoraj, tobym psa wyleczył; a teraz nie mogę, nie wyleczę...

Tak więc zdechl Trezorka.

Opowiadano mi ze szczegółami o zamachu na majora. Był w ostrogu pewien aresztant, który już od kilku lat tu siedział i znany był z cichego zachowania się. Zauważono też, że prawie nigdy z nikim nie rozmawiał, i miano go za niespełna rozumu. Był to człowiek piśmienny i przez cały rok ostatni ciągle czytał Biblię, czytał dniem i nocą. Gdy wszyscy zasypiali, o północy wstawał, zapalał woskową, cerkiewną świecę, wlażył na piec, otwierał książkę i czytał do rana. Pewnego dnia poszedł do podoficera i oznajmił mu, że nie chce iść na robotę. Doniesiono majorowi; zakipiał cały i natychmiast sam przyleciał. Aresztant rzucił się na niego z przygotowaną zawczasu cegłą, ale nie trafił. Schwymano go, oddano

⁴⁶*kantonista* — chłopiec wychowywany w tzw. szkołach kantonistów do służby w Armii Imperium Rosyjskiego. Po ukończeniu szkoły kantonieści byli obowiązani do odsłużenia w wojsku, tak jak inni poborowi, 25 lat. Kantonistami były głównie sieroty, dzieci żołnierzy i pochodzące z ubogich rodzin, a także karnie odebrane rodzicom walczącym przeciw władzy, np. powstańcom. [przypis edytorski]

⁴⁷*raskolnicy* (z ros.) — dosł.: rozłamowcy; dawne, pejoratywne określenie staroobrzędowców, starowierców, wyznania powstałego wskutek rozłamu (cs. *raskol*) w Rosyjskim Kościele Prawosławnym, spowodowanego reformą liturgiczną patriarchy Nikona z lat 1652–1656. Starowiercy nie uznali reformy, zostali potępieni jako heretycy i pozbawieni praw obywatelskich, władze Rosji prowadziły ich masowe prześladowania; pełnię praw obywatelskich uzyskali dopiero w 1905. [przypis edytorski]

⁴⁸*dieńszczyk* (ros.) — w dawnym wojsku rosyjskim: ordynans, żołnierz przydzielony do obsługi oficera. [przypis edytorski]

⁴⁹*wasze wysokobłagorodie* (ros.) — wielmożny panie; tytuł stosowany w carskiej armii przy zwracaniu się do oficerów od kapitana do pułkownika włącznie. [przypis edytorski]

pod sąd i ukarano. Wszystko to odbyło się bardzo prędko. W trzy dni potem umarł w szpitalu. Umierając, mówił, że nie miał do nikogo złości, chciał tylko pocierpieć. Nie należał zresztą do żadnej sekty raskolników. W ostrogu wspomniano o nim z szacunkiem.

Na koniec zmieniono mi kajdany. Tymczasem w warsztacie zjawili się z kolei kilka przekupek sprzedających kołaczki, tak zwanych *kałasznicy*. Były między nimi małe dziewczątka. Chodziły one z kołaczami aż do wieku dojrzałego; matki piekły, a one sprzedawały. Dorosłszy, nie przestawały chodzić, ale już bez kołaczy; tak prawie zawsze bywało. Były tam i niedziewczęta. Za kołacz płaciło się grosz i prawie wszyscy aresztanci kupowali.

Zwróciłem uwagę na pewnego aresztanta, już siwego, ale rumianego, i z uśmiechem żartującego z *kałasznicami*. Przed samym ich przyjściem okręcił był dokoła szyi czerwoną perkalową chustkę. Jakaś gruba i ospowata kobiecina postawiła swój kram na jego stole roboczym. Między nimi zawiązała się rozmowa.

— Cóżście wczoraj tu nie przychodzili? — przemówił aresztant z uśmiechem zadowolona na twarzy.

— O tak, byłem tutaj, a was jak miotłą zmiotł — odpowiedziała rezolutnie kobiecina.

— Nas wezwali, a tobyśmy nieodmiennie byli na swoim miejscu... A do mnie onegdaj wszystkie wasze przychodziły.

— A któż taki?

— Mariaszka przychodziła, Chawroszka przychodziła, Czekunda przychodziła, Dwugroszowa przychodziła.....

— Cóż to znaczy? — spytałem Akima Akimycza. — Czyżby naprawdę?...

— Bywa to — odpowiedział, wstydliwie spuściwszy oczy, był to bowiem człowiek bardzo skromny.

Niewątpliwie zdarzało się to, ale nader rzadko, i połączone było z wielkimi trudnościami. W ogóle więcej było ochotników do wypicia niż do takich rzeczy, pomimo całej naturalnej uciążliwości zamkniętego życia.

Do kobiet trudno się było dostać. Potrzeba było wyszukiwać czas, miejsce, umawiać się, naznaczać schadzki, szukać samotności, co było rzeczą trudną, nakłaniać konwojowych, co było jeszcze trudniej, tracić — stosunkowo do więziennych środków — mnóstwo pieniędzy. A jednak udawało mi się potem być niekiedy świadkiem scen miłosnych. Pamiętam, pewnego razu latem byliśmy we trzech w jakiejś szopie na brzegu Irtyszu, żeby palić w piecu fabrycznym; konwojowi byli ludzie dobrzy. Na koniec zjawily się dwie „sufflery”, jak je nazywają aresztanci.

— No, co się tak zasiedziały? Pewno u Zwierkowych? — powitał ich tymi słowami aresztant, do którego przyszły, a który już dawno na nie oczekiwał.

— Ja zasiedziałam się? Sroka na kołku dłużej siedzi, niż ja u nich siedziałam — odpowiedziała wesoło dziewczica.

Była to najbrudniejsza dziewczica na świecie. Ją to zwano Czekundą. Z nią razem przysła Dwugroszowa. Tę trudno już nawet opisać.

— I z wami już dawno nie widziałem się — ciągnął dalej Don Juan⁵⁰ aresztantki, zwracając się do Dwugroszowej. — Cóż to tak wyglądacie, jakbyście schudli?

— A może być. Dawniej tom była gruba, a teraz jakbym igłę połknęła.

— Ciągłe z żołnierzkami?

— Nie, to już wam o nas źli ludzie napletli; a zresztą cóż? Przysłowie mówi: choćby bez zebra chodzić, a żołnierzka lubić.

— A wy ich rzućcie, a nas kochajcie; u nas są pieniądze...

Dla uzupełnienia obrazu trzeba sobie wyobrazić tego lowelasa⁵¹ ogolonego, w kajdanach, w łatanym stroju aresztanckim i pod konwojem.

Pożegnałem się z Alkimem Akimyczem i dowiedziawszy się, że mogę wrócić do ostrogu, wziąłem konwojowego i poszedłem do domu. Aresztanci już się schodzili. Naprzód wracali z roboty ci, co mieli zadaną na dzień robotę. Jedynym sposobem zmuszenia aresztanta do gorliwej pracy jest zadanie mu pracy dziennej. Rozmiar zadanej pracy był czasem ogromny, a jednak i w takim razie kończyli go aresztanci dwa razy prędzej, niż

⁵⁰Don Juan — legendarny uwodziciel, XVI-wieczny szlachcic hiszpański, bohater licznych oper i dramatów; pot.: uwodziciel, entuzjasta przygód miłosnych. [przypis edytorski]

⁵¹lowelas — uwodziciel; od imienia bohatera romansu Richardsona *Historia Clarissy Harlowe* (1748). [przypis edytorski]

Kobieta "upadła"

Więzień, Kobieta "upadła"

gdyby im kazano pracować zwykłym trybem do uderzenia w bęben. Skończywszy zadana robotę, aresztant bez przeszkody szedł do domu i nikt go już nie zatrzymywał.

Obiad jedzą nie razem, ale jak się zdarzy, zależnie od tego, kto wcześniej przyszedł, a i w kuchni nie zmieściliby się wszyscy. Pokosztowałem kapusty, ale nie przywykły do niej, nie mogłem jej jeść i zaparzyłem sobie herbaty. Siedliśmy przy końcu stołu. Ze mną był jeden towarzysz, również jak ja, ze szlachty.

Aresztanci przychodzili i wychodzili. Było zresztą dość miejsca; jeszcze się wszyscy nie zebrali. Gromadka złożona z pięciu ludzi usiadła oddzielnie za wielkim stołem. Kucharz nalał w dwie miski kapuśniaku i postawił przed nimi na stole cały rondel gliniany ze smażoną rybą. Obchodzili jakąś uroczystość i jedli swoje potrawy. Na nas spojrzeli z ukosa. Wszedł jeden z Polaków i usiadł przy nas.

— W domu nie byłem, a wiem wszystko — zawołał na cały głos jakiś aresztant, wchodząc do kuchni i ogarniając wzrokiem wszystkich obecnych.

Miał lat z pięćdziesiąt, był muskularny i chudy. Z twarzy przeświecała złośliwość i wesołość zarazem. Szczególnie zwracała na siebie uwagę jego dolna warga, gruba i obwisła i nadawała niezmiernie komiczny wyraz twarzy.

— No, zdrowo nocleg odbyli! Cóż nie pozdrawiacie? Naszym kurskim! — dodał, sadowiąc się obok obiadujących własnym kosztem: — Chleb i sól! Witajcież gościa!

— Ale my, brat, nie kurscy.

— Więc tambowskim.

— I nie tambowsy. Od nas, bracie, nic ci się nie dostanie. Ty idź do bogatego chłopca i tam proś.

— W brzuchu dziś u mnie, bracie, Iwan Obzartuch i Maria Głodomorówna; a gdzież ten bogaty chłop mieszka?

— A ot, Gazin, bogaty kmić; do niego ruszaj.

— Hula dziś, bracia, Gazin, pije bez pamięci; cały worek przepija.

— Dwadzieścia rubli ma w kieszeni — zauważył drugi. — Dobrze to, bracia, być szynkarzem.

— Cóż, nie przyjmiecie gościa? No, to będę rządowe połykał.

— Ty idź, poproś herbaty. Ot tam panowie piją.

— Jacy panowie? Tu nie ma panów; tacy sami teraz, jak my — wrogo odezwał się jakiś aresztant siedzący w kącie. Dotychczas nie przemówił ani słowa.

— Napiłbym się herbaty, ale wstyd mi prosić: my z ambicją! — powiedział aresztant z grubą wargą, dobrodusznie patrząc na nas.

— Jeżeli chcecie, to wam dam — zwróciłem się z zaproszeniem do aresztanta, który się przymawiał. — Cóż, macie ochotę?

— Czy mam ochotę? Ale i jaką jeszcze ochotę! — I podszedł do naszego stołu.

— Widzisz go, w domu łapiem kapuśniak łykał, a tu do herbaty się dobrał; pańskiego picia się zachciało — przemówił chmurny aresztant.

— A czyż tutaj nikt nie pije herbaty? — spytałem. Ale on nie raczył mi odpowiedzieć.

— Oto i kołaczki niosą. Uczęstujcież i kołaczykiem.

Wniesiono kołaczki. Młody aresztant niósł całą wiązkę i sprzedawał, obchodząc ostróg. Kałasznica ustąpiła mu dziesiąty kołacz i właśnie na ten zysk liczył.

— Kołaczki, kołaczki — wołał, wchodząc do kuchni — moskiewskie, gorące! Sam bym jadł, ale pieniędzy nie mam. No, dzieci, ostatni kołacz został: który z was miał matkę?

To odwołanie się do macierzyńskiej miłości rozśmieszyło wszystkich i wzięto u niego kilka kołaczy.

— A co, bracia — powiedział — wszak ten Gazin dohula się dzisiaj grzechu! I w porę hulać mu się zachciało. A nuż ośmiooki przyjedzie.

— Schowają. A co, mocno pijany?

— Ale gdzie! Zły, czepia się.

— No, to dohula się kułaków...

— O kim to oni mówią? — spytałem Polaka, który siedział obok mnie.

— To Gazin, aresztant. On tu handluje wódką. Jak tylko nabiera pieniędzy, natychmiast przepija. Zły jest i dziki; zresztą w trzeźwym stanie spokojny, ale gdy się upije, cały na wierzchu; na ludzi z nożem się rzuca. Wtedy go już uśmierzają.

— Jakże go uśmierzają?

— Rzuca się na niego z dziesięciu aresztantów i zaczynają bić straszliwie, i biją dopóty, dopóki nie straci przytomności, to jest prawie na śmierć. Wtedy kładą go na narach i przykrywają półkożuszkiem.

— Przecież w ten sposób mogą go zabić?

— Innego by zabili, ale nie jego. Jest niesłychanie silny, najsilniejszy w całym ostrogu, i dziwnie mocnej budowy ciała. Nazajutrz rano wstaje zupełnie zdrowy.

— Powiedź mi pan, proszę — rozpytywałem się dalej Polaka — wszak oni także jedzą swoje potrawy, a ja piję herbatę. A jednak patrzą na mnie jakby z zawiścią z powodu tej herbaty. Co to znaczy?

— To nie z powodu herbaty — odpowiedział Polak. — Oni źli są na pana, żeś szlachcic i do nich niepodobny. Wielu z nich chciałoby się przyczepić do pana, obrazić czymś, poniżyć. Jeszcze pan tu dozna wielu nieprzyjemności. Nam tu wszystkim niezmiernie ciężko, daleko ciężiej pod każdym względem aniżeli innym. Potrzeba dużo zimnej krwi, ażeby się z tym oswoić. Wiele jeszcze spotka pana nieprzyjemności i za herbatę, i za oddzielną żywność, pomimo że tu bardzo wielu i bardzo często spożywa swoje potrawy, a niektórzy stale piją herbatę. Im wolno, a panu się nie godzi.

Powiedziawszy to, wstał i odszedł od stołu. W kilka minut potem spełniły się jego słowa.

III. PIERWSZE WRAŻENIA

Tylko co wyszedł M-cki (ten Polak, który ze mną rozmawiał), gdy Gazin, zupełnie pijany, wwałił się do kuchni.

Pijany aresztant, w biały dzień, w dzień powszedni, kiedy wszyscy obowiązani byli wychodzić na robotę, przy srogim naczelniku, który każdej chwili mógł przyjechać do ostrogu, przy podoficerze, który miał nadzór nad katorżnymi i przebywał ciągle w ostrogu; przy *karaulnych* (tj. straży wojennej), przy inwalidach, jednym słowem, przy wszelkiej surowości więziennej — zupełnie splątywał wszelkie pojęcia o życiu aresztanckim, które zaczęły się wytwarzać w mojej głowie. I długo trzeba mi było pożyć w ostrogu, zanim wyjaśniły mi się te fakty, tak zagadkowe dla mnie w pierwszych dniach katorgi.

Powiedziałem już, że aresztanci mieli zwykle jakąś własną robotę i że to zajęcie było konieczną potrzebą życia w katordze; że oprócz tego aresztant namiętnie lubi pieniądze i ceni je nad wszystko, prawie na równi z wolnością, i że jest uszczęśliwiony, jeśli mu one brzęczą w kieszeni. Przeciwnie, gdy ich nie ma, ogarnia go smutek, niepokój, upada na duchu, jest w rozpaczliwym usposobieniu, i wtedy gotów jest kraść, gotów na wszystko, byle je dostać. Ale nie zważając na to, że pieniądze w ostrogu były tak wielkim skarbem, u szczęśliwca, który je posiadał, nigdy się nie zależały. Naprzód trudno je było tak ukryć, aby ich nie ukradziono lub nie odebrano. Jeżeli wpadła niespodziewana rewizja i major doszukał się pieniędzy, natychmiast je zabierał. Co z nimi robił? Czy używał ich do ulepszenia aresztanckiej żywności? To wiem przynajmniej, że mu je oddawano. Ale najczęściej kradziono pieniądze; nikomu nie można było zaufać. Później znalazł się i u nas zupełnie bezpieczny sposób przechowywania pieniędzy. Oddawano je na przechowanie pewnemu starcowi, starowiercowi, który przybył do nas ze słobód⁵² starodubowskich i należał do tak zwanych wietkowców⁵³... Ale nie mogę się oprzeć chęci powiedzenia o nim kilku słów, chociaż odrywam się od głównego toku opowiadania.

Był to staruszek sześćdziesięcioletni, maleńki, siwiutki. Postać jego od pierwszego wejrzenia silnie mnie uderzyła. Nie był ani trochę podobny do innych aresztantów. W jego wzroku było coś tak spokojnego i cichego, że pamiętam, że szczególną przyjemnością wpatrywałem się w jego jasne, pogodne oczy, otoczone drobnymi, w promienie układającymi się zmarszczkami. Często z nim rozmawiałem i rzadko kiedy w życiu spotykałem równie dobrą, szlachetną istotę. Przysłano go tu za nadzwyczaj ciężkie przestępstwo. Między starodubowskimi staroobrzędowcami zaczęli się pojawiać nawróceni. Rząd silnie ich protegował i dokładał wszelkich starań, aby i innych odstępców od wiary prawosławnej nawrócić. Starzec wraz z innymi fanatykami postanowił „stać za wiarę”, jak się sam wy-

Więzień, Pieniądz

Wiara, Władza

⁵²*słoboda* (hist.) — osada na Ukrainie lub w Rosji zamieszkiwana przez wolną ludność. [przypis edytorski]

⁵³*wietkowcy* — XVIII-wieczna wspólnota prawosławnych staroobrzędowców zamieszkująca lasy w regionie m. Starodub (w ob. obwodzie briańskim, graniczącym z Białorusią i Ukrainą). [przypis edytorski]

rażał. Zaczęto wówczas budować jedynowierną (tj. prawosławną) cerkiew i oni ją spalili. Starzec jako jeden z głównych sprawców zesłany został do katorgi. Był zamożnym mieszczaninem, trudnił się handlem; w domu zostawił żonę, dzieci; ale ze spokojem w duszy poszedł na ciężkie roboty, ponieważ w zaślepieniu swoim widział w nich „mękę za wiarę”.

Przeżywszy z nim czas jakiś, mimo woli trzeba było zadać sobie pytanie: jak ten pokorny, dobry jak dziecko człowiek mógł zostać buntownikiem? Kilka razy nawiązywałem z nim rozmowę „o wierze”. Starzec nic nie ustępował ze swoich przekonań; ale w jego odpowiedziach nie było nigdy ani cienia złości, ani śladu nienawiści. A jednak zburzył cerkiew i wcale się tego nie zapierał. Zdawałoby się, że ze swego stanowiska ten postępek i „męki”, które było jego następstwem, powinien by był uważać za wielki czyn. Ale jakkolwiek starałem się spojrzeć w głąb jego duszy, jakkolwiek go studiowałem, nie mogłem w nim znaleźć ani odrobiny próżności lub dumy. Mieliśmy w ostrogu i innych starowierców, po większej części Sybiraków. Byli to ludzie bardzo rozwinięci, chłopcy chytre, nadzwyczaj biegli w Piśmie Świętym, trzymający się litery i na swój sposób wielcy dialektycy⁵⁴; ludzie pyszni, zarozumiali, złośliwi i nietolerancyjni w najwyższym stopniu. Zupełnie inny był ów starzec. Oczytany w Piśmie Świętym więcej może od nich, usuwał się od sporów. Usposobienie miał nadzwyczaj towarzyskie. Był wesoły, często śmiał się, nie tym grubym, cynicznym śmiechem, jakim śmiali się katorżnicy, ale jasnym, cichym, w którym wiele było dziecinnej prostoty, który wybornie przystawał do siwych włosów. Może się myłę, ale zdaje mi się, że po śmiechu można poznać człowieka i jeśli przy pierwszym spotkaniu z człowiekiem zupełnie nieznanym jego śmiech sprawia przyjemne wrażenie, to śmiało można utrzymywać, że to dobry człowiek.

W całym ostrogu staruszek pozyskał powszechnie poważanie, którym bynajmniej się nie chelpił. Aresztanci nazywali go dziaduniem, *dieduszka*, i nigdy go nie krzywdzili. Zrozumiałem po części, jak mógł wpływać na swoich współwyznawców. Ale pod zewnętrznym spokojem, z jakim znosił życie katorżne, tkwił w nim głęboki, nieuleczony żal, który on starał się utaić przed wszystkimi. Mieszkałem razem z nim w jednej kazarmie. Pewnego razu o godzinie trzeciej w nocy zbudziłem się i usłyszałem cichy, powstrzymywany płacz. Starzec siedział na piecu (na tym samym, na którym przedtem siadywał ów modlący się nocami aresztant, który chciał zabić majora) i modlił się ze swojej pisanej książki. Płakał i słyszałem, jak chwilami mówił: „Panie, nie opuszczaj mnie! Panie, umocnij mnie! Dzieci moje małe, dzieci moje miłe, nigdy ja ich nie zobaczę!” . Nie umiem wypowiedzieć, jaki smutek ścisnął mi serce.

Otóż temu starcowi z czasem prawie wszyscy aresztanci zaczęli oddawać swoje pieniądze na przechowanie. W katordze prawie wszyscy byli złodziejami, ale naraz wszyscy nie wiadomo skąd nabrali przekonania, że starzec nie może nic ukraść. Wiedziano, że gdzieś ukrywał wręczone sobie pieniądze, ale w takim utajonym miejscu, że nikt nie potrafił ich znaleźć. Później kiedyś mnie i niektórym Polakom wyjawiał swoją tajemnicę. W jednym z palów był mały sęk, z pozoru mocno zrosnięty z drzewem. Ale sęk można było wyjąć, a pod nim ukazywało się wielkie zagłębienie. Tam to dziadunio chował pieniądze i zakładał sęk na powrót tak, że nikt nigdy nie mógł się domyśleć schowanych tam pieniędzy.

Ale oddaliłem się od opowiadania. Zatrzymałem się na tym, dlaczego pieniądze nie trzymały się kieszeni aresztanta. Oprócz trudności ukrycia ich trzeba pamiętać, że w ostrogu tak ciężko było żyć; aresztant zaś to z natury swojej istota tak pragnąca swobody, a z położenia społecznego tak lekkomyślna i nierządna, że go coś ciągnie wewnętrznie, aby pohulać na cztery wiatry, z szumem i muzyką, puścić cały kapitał i choć na chwilę zapomnieć o ucisku gniotącym serce. Dziwna to rzecz była, jak niejeden pracował, nie podnosząc karku nieraz całymi miesiącami, jedynie po to, ażeby potem jednego dnia puścić cały zarobek do ostatniego grosza, i znowu potem ugiął kark do roboty na kilka miesięcy — do nowej hulanki. Wielu z nich lubiło sprawiać sobie nowe ubranie, i to zawsze nieurzędowej formy: jakieś czarne spodnie, kaftany, sybirki⁵⁵. W wielkim użyciu były perkalowe koszule i pasy z miedzianymi blachami. Strojono się zwykle w święta

⁵⁴*dialektyk* — tu: biegły w sztuce dyskusowania. [przypis edytorski]

⁵⁵*sybirka* — część odzieży używanej na Syberii: niebieski lub czarny ocieplany dwurzędowy płaszcz z grubego materiału, krótki kaftan ze stójką albo czapka z nausznikami. [przypis edytorski]

i ustrojony przechodził zawsze przez wszystkie koszary, aby się pokazać światu. Zadowolenie z dobrego ubrania dochodziło do dziecinady; zresztą aresztanci pod wielu względami bardzo podobni byli do dzieci. Tymi jednak pięknymi rzeczami właściciel niedługo się cieszył; znikaly one nagle, czasem tego samego wieczora szły w zastaw, oddawane za bezcen.

Hulanka zresztą rozwijała się stopniowo. Odbywała się zwykle w dni świąteczne albo w dzień imienin hulającego. Aresztant solenizant, wstając rano, stawiał świeczkę przed obrazem i modlił się, potem wystrajał się i zamawiał dla siebie obiad. Kupowało się wółwinę, rybę, robiło się sybirskie pielmeni⁵⁶; solenizant najadał się jak wół, prawie zawsze sam, rzadko kiedy zapraszając towarzyszy do udziału w uczcie. Potem zjawiała się wódka: solenizant upijał się jak bela i nieodmiennie chodził po koszarach, zataczając się i potykając, i starał się pokazać wszystkim, że on pijany, że on „hula”, i w ten sposób zjednać sobie powszechne poważanie. Lud rosyjski w ogóle ma pewne współczucie dla pijanego; w ostrogu zaś do rozhulanego budził się pewien szacunek. W tym hulaniu aresztanckim był pewnego rodzaju arystokratyzm.

Podochociwszy sobie, aresztant najmował zaraz muzykę. Był w ostrogu jakiś Polak, dezerterski z wojska, bardzo nędznej postaci, który grał na skrzypcach i miał ze sobą instrument — jedyną swoją własność. Nie znał żadnego rzemiosła i zarabiał tylko w ten sposób, że najmował się hulakom do grania wesołych tańców. Czynność, do której się zobowiązywał, polegała na tym, żeby nieodłącznie ślad w ślad za swoim pijanym pryncypałem⁵⁷ chodzić z kazarmy do kazarmy i z całej mocy rzępolić na skrzypcach. Na twarzy jego często malowała się nuda i zmęczenie. Ale okrzyk: „Graj, pieniądze wziął!” zmuszał go, żeby znowu rzępolić i rzępolić.

Aresztant, zaczynając hulankę, mógł być pewny, że jeśli się bardzo upije, to niewątpliwie rozciągną nad nim opiekę, w czas spać ułożą, a gdyby się zjawiała zwierzchność, ukryją gdzieś, i to zupełnie bezinteresownie. Z drugiej strony podoficer i inwalidzi, mieszkający w ostrogu dla dozoru, mogli być zupełnie spokojni, że pijany nie przyczyni im kłopotu: nad nim czuwała cała kazarma i gdyby zaczął rozbijać, buntować się, natychmiast by go uśmiercono, a w razie potrzeby nawet związano. Dlatego niższe władze w ostrogu patrzyły na pijaństwo przez palce, nie chciały zwracać na nie uwagi. Wiedziały one bardzo dobrze, że gdyby wzbroniono wódki, byłoby jeszcze gorzej. Ale skąd się brała wódka?

Kupowano ją w samym ostrogu, u tak zwanych „całowalników”, tj. szynkarzy. Było ich kilku i handel swój prowadzili nieustannie i z powodzeniem, pomimo że pijących i „hulających” było w ogóle niewiele, ponieważ hulanie wymagało pieniędzy, a dla aresztantów pieniądze były niełatwe do zdobycia. Handel ten zaczynał się, rozwijał i kończył dość oryginalnym sposobem. Przypuśćmy, że jakiś aresztant nie ma rzemiosła i że mu się nie chce pracować (bywali tacy), ale chce mieć pieniądze, a przy tym człowiek niecierpliwy, chciałby jak najprędzej dorobić się. Ma trochę pieniędzy na początek i postanawia handlować trunkiem: przedsięwzięcie śmiałe i bardzo ryzykowne. Można było za to zapłacić grzbietem, a zarazem utracić towar i kapitał. Ale całowalnik ryzykuje. Pieniądzy z początku niewiele i dlatego pierwszy raz sam przenosi wódkę do ostrogu i, rozumie się, sprzedaje ją korzystnie. Tę próbę ponawia po raz drugi i trzeci i jeżeli nie wpadnie w ręce straży, to prędko się dorabia, i wtedy dopiero rozwija handel na szeroką skalę; staje się przedsiębiorcą, kapitalistą, trzyma agentów i pomocników, ryzykuje daleko mniej, a ciągnie coraz większe zyski. Ryzykują za niego pomocnicy.

W ostrogu bywa zawsze dużo ludzi, co się zgrali, strwonili, przehulali wszystko do ostatniej kopiejki, ludzi bez rzemiosła, nędznych i oberwanych, ale obdarzonych do pewnego stopnia śmiałością i stanowczością. Takim ludziom za kapitał pozostaje jedna tylko rzecz: ich własny grzbiet; może się on na coś jeszcze przydać, i ten to ostatni swój kapitał hulaka bez grosza postanawia puścić w obrót. Idzie do przedsiębiorcy i najmuje się do przenoszenia wódki do ostrogu; bogaty handlarz ma kilku takich robotników. Gdzieś za ostrogiem jest człowiek — żołnierz, mieszczanin, czasem nawet dziewczka — który za pieniądze przedsiębiorcy i za stosunkowo niemałą zapłatę, kupuje w szynku wódkę i ukrywa ją w ustronnym miejscu, dokąd aresztanci przychodzą na robotę. Prawie zawsze dostaw-

Zesłaniec, Święto,
Pijaństwo

Pijaństwo

⁵⁶pielmeni — rodzaj rosyjskich pierogów z dość luźnym farszem mięsnym. [przypis edytorski]

⁵⁷pryncypał (przestarz.) — szef, zwierzchnik. [przypis edytorski]

ca próbuje naprzód trunku i co nadpił, dolewa niemiłosiernie wodą; nie chcesz brać? — nie bierz. Ale aresztant nie może być wybredny; i to szczęście, że pieniądze nie całkiem przepadły, że jest wódka; jaka jest, taka jest, ale zawsze wódka. Do tego to dostawcy przychodzą, wskazani mu naprzód przez szynkarza z ostrogu przenosiciele, z wolimi kiszkami. Kiszki te naprzód się przemywa, potem napelnia się wodą, aby zachowały pierwotną wilgotność i rozciągliwość i mogły służyć do przenoszenia wódki. Nalawszy do nich wódki, aresztant okręca je wokół siebie, przy czym ma sposobność okazać całą zręczność, całą złodziejską przebiegłość kontrabandyzisty. Chodzi tu o jego honor; musi oszukać i konwojowych, i straż stojącą u bramy więziennej. I oszukuje: u dobrego złodzieja konwojowy, czasem jakiś rekrucik, nie dopatrzy się kontrabandy. Rozumie się, że konwojowy bywa przedtem wybadany, bierze się też pod uwagę czas, miejsce roboty. Na przykład aresztant piec muruje, na piec wlezie: któż go dojrzy, co on tam robi? Konwojowy przecież za nim nie polezie. Podchodząc do ostroga, aresztant trzyma w dłoni pieniąż, piętnaście, dwadzieścia kopiejek srebrnych, na wszelki wypadek, i czeka u bramy na gefrajtera⁵⁸. Każdego aresztanta, który wraca do ostrogu, karaulny gefrajter opatruje wkoło, rewiduje i dopiero potem otwiera mu drzwi ostrogu. Ten, który przynosi wódkę, liczy zwykle na to, że rewidowanie nie będzie zbyt ściśle i szczegółowe; ale przebiegły gefrajter doszukuje się czasem zakazanego towaru, a wtedy pozostaje ostatni środek: kontrabandyzista milczkiem i tak, żeby konwojowy nie widział, wsuwa gefrajterowi w rękę przygotowany pieniąż. Zdarza się, że dzięki takiemu manewrowi przechodzi szczęśliwie do ostrogu i przynosi wódkę. Ale niekiedy manewr się nie udaje i wtedy trzeba spłacić się ostatnim kapitałem, to jest grzbietem. Donoszą majorowi, kapitał siekają boleśnie, wódkę zabierają na rzecz rządu i kontrabandyzista przyjmuje wszystko na siebie, nie wydając przedsiębiorcy. Ale nie wydaje nie dlatego, żeby się brzydził donosem, a jedynie dlatego, że nie widzi w tym żadnej korzyści: jego i tak by wysieczono; cała pociecha polegałaby tylko na tym, że miałby towarzysza niedoli. Tymczasem przedsiębiorca jest mu jeszcze potrzebny, chociaż podług zwyczaju i z góry zawartej umowy kontrabandyzista za wysieczony grzbiet otrzymuje od przedsiębiorcy ani kopiejki.

Co się zaś tyczy w ogóle donosów, to one zazwyczaj kwitną w ostrogu. Donosiciel bynajmniej nie ściąga tu na siebie wzgardy; nie można sobie nawet wyobrazić, żeby areztanci mogli się na niego oburzyć. Nie stronią od niego, wchodzą z nim w przyjacielskie stosunki i gdyby ktoś chciał w ostrogu dowodzić całej brzydoty donosicielstwa, to wcale by go nie zrozumiano. Ten areztant ze szlachty, zepsuty i podły, z którym zerwałem wszelkie stosunki, znał się dobrze z dieńszczykiem majora, Fiedką, i służył mu za szpiega, a dieńszczyk wszystko, co posłyszał o areztantach, donosił majorowi. U nas wszyscy o tym wiedzieli i nikomu nigdy nawet na myśl nie przyszło ukarać niegodziwca albo przynajmniej zganić go za to.

Ale zboczyłem z drogi. Zdarza się naturalnie, że wódka szczęśliwie dostaje się do ostrogu; wtedy przedsiębiorca odbiera przyniesione kiszki, zapłaciwszy za transport, i zaczyna obliczać. Z obliczenia okazuje się, że towar go już drogo kosztuje, a więc dla lepszych zysków przelewa jeszcze raz wódkę, rozprowadzając wodą niemal na połowę, i w ten sposób zupełnie się przygotowawszy, czeka na kupujących. Kupujący zjawia się w pierwsze święto, czasem w dzień powszedni: to areztant, który przez kilka miesięcy pracował jak wół roboczy i zebrał trochę grosza, aby go przepić w dzień z góry przez siebie oznaczony. Ten dzień na długo przed swoim nadejściem śnił się biednemu robotnikowi, obraz jego unosił się w szczęśliwych marzeniach przy pracy i swym urokiem pokrzepiał ducha robotnika wśród ciężkich warunków życia więziennego. Na koniec zorza tego dnia jasnego ukazuje się na wschodzie; pieniądze zebrane, nieskonfiskowane, nieukradzione i areztant niesie je do szynkarza. Ten naprzód daje mu wódki według możliwości najczystszej, czyli dwa razy tylko rozprowadzonej wodą; ale w miarę ubywania jej z butelki, reszta natychmiast uzupełniana jest wodą. Za kieliszek gorzałki płaci się pięć, sześć razy drożej niż w szynku. Łatwo sobie wyobrazić, ile trzeba wypić takich kieliszków i ile za nie zapłacić, aby się upić. Ale skutek odwyknienia od trunków, skutek dłuższej wstrzeźliwości, areztant łatwo dostaje zawrotu głowy i zwykle pije dopóty, dopóki

⁵⁸gefrajter — stopień wojskowy w armiach państw niemieckojęzycznych, a także w armii rosyjskiej, odpowiednik starszego szeregowego. [przypis edytorski]

nie przepije wszystkich pieniędzy. Wtedy przychodzi kolej na fanty: szynkarz jest zarazem i lichwiarzem. Naprzód przechodzą do niego nowo sprawione stroje nieurzędowe, potem stare szmaty, w końcu i rządowe rzeczy. Przepiwszy wszystko od ostatniego strzępka, pijanica kładzie się spać, a nazajutrz, zbudziwszy się z nieuniknionym szumem w głowie, nadaremnie błaga szynkarza choćby o jeden łyk wódki dla spędzenia niesmaku. Smutno znosi niepowodzenie i tego samego dnia zabiera się na nowo do roboty; znów przez kilka miesięcy pracuje, nie rozprostowując karku, marząc o szczęśliwym dniu hulanki, który utonął w wieczności, i powoli zaczyna się krzepić i oczekiwać drugiego takiego dnia, który wprawdzie jeszcze daleko, ale kiedyś nadejdzie jego kolej.

Co się tyczy szynkarza, ten uzyskawszy z handlu ogromną sumę, jakichś kilka dziesiątków rubli, sprowadza po raz ostatni wódkę, ale tym razem nie rozlewa jej wodą, ponieważ przeznacza ją dla siebie; dosyć handlu: czas już samemu się uraczyć! Zaczyna się hulanka, picie, jedzenie i muzyka. Środki wielkie; można pozyskać dla siebie pobłażliwość najniższej i najbliższej zwierzchności w ostrogu. Hulanka ciągnie się niekiedy przez kilka dni. Rzecz naturalna, że wódka, którą szynkarz sprowadził dla siebie, prędko zostaje przepita; wtedy hulanka zwraca się do innych szynkarzy, którzy już czekają na niego, i pije dopóty, dopóki nie przepije wszystkiego do ostatniej kopyjki. Chociaż areztanci roztańczają opiekę nad hulającym, zdarza się jednak, że wpadnie w oczy majorowi lub oficerowi straży więziennej. Biorą go wtedy do kordegardy, odbierają pieniądze, jeżeli jeszcze ma jakieś przy sobie, i w dodatku biją. Otrząsnawszy się, powraca do ostrogu i po kilku dniach ima⁵⁹ się na powrót rzemiosła szynkarskiego.

Niektórzy z hulaków, naturalnie bardzo bogaci, sięgają marzeniami i do płci pięknej. Wielkim kosztem, potajemnie, w towarzystwie przekupionego żołnierza z konwoju, udają się z fortecy zamiast na robotę do jakiegoś ustronnego domku na przedmieściu, na końcu miasta, gdzie urządziła się wspaniała ucztę i gdzie w grę wchodzi rzeczywiście wielkie sumy. Dla pieniędzy płeć piękna nie gardzi i areztantem; konwojowego zaś dobiera się zawczasu, ze znajomością rzeczy. Tacy konwojowi zwykle są przyszłymi kandydatami do ostrogu. Zresztą za pieniądze można wszystko zrobić i takie wędrówki toną zwykle w tajemnicy. Należy jednak dodać, że rzadko się zdarzają; potrzeba na to dużo pieniędzy i amatorzy płci pięknej chwytają się innych środków, zupełnie bezpiecznych.

Już od pierwszych dni więziennego życia zaciekał mnie bardzo pewien młody areztant, szczególnie ładny chłopak. Nazywał się Sirotkin. Był on pod wielu względami zagadkową istotą. Przede wszystkim uderzyła mnie jego prześliczna twarz; nie liczył więcej niż dwadzieścia trzy lata. Należał do osobnego oddziału, to jest bezterminowego, uważany był zatem za jednego z największych wojskowych przestępców. Cichy i pokorny, mówił mało, śmiał się rzadko. Oczy miał błękitne, rysy regularne, twarz czysta, delikatna, włosy jasnobłond. Nawet półogolona głowa mało go szpeciła, taki był ładny chłopiec. Rzemiosła nie umiał żadnego, ale pieniądze miewał; niewiele, ale często. Widać było, że leniwy, chodził nieporządnie ubrany. Czasem chyba ktoś inny ubierze go przyzwoicie, niekiedy nawet w czerwoną koszulę, i Sirotkin widocznie rad z nowego stroju: chodzi po koszarach, pokazuje się ludziom. Nie pił, nie grał w karty, nie kłócił się z nikim. Chodzi, bywało, za koszarami — ręce w kieszeniach, spokojny, zamyślony. O czym on mógł myśleć, trudno było sobie wyobrazić. Zawołasz na niego czasem z ciekawości, zapytasz o coś, on natychmiast odpowie, i to z pewnym szacunkiem, nie po areztancku, ale zawsze krótko, bez wdawania się w rozmowę; patrzy zaś na ciebie jak dziesięcioletnie dziecko. Gdy znajdą się u niego pieniądze, nie kupi sobie czegoś koniecznie potrzebnego, nie odda do naprawy kurtki, nie sprawi nowych butów, ale kupi kołaczyka, pierniczka i schrupie — istny siedmioletni dzieciak. „Ech ty, Sirotkin — wołają, bywało, na niego areztanci: — sierota ty kazańska!”. W czas nieroboczy włóczył się, bywało, po wszystkich koszarach; prawie wszyscy zajęci swoją robotą, on nie ma nic do roboty. Powiedzą mu coś, prawie zawsze żartując z niego (z niego i jego towarzyszy często się wyśmiewano), a on nic powie na to, zawróci i pójdzie do innej kazarmy, a jeśli już bardzo biorą go na fundusz⁶⁰, zarumieni się.

⁵⁹imać się — chwycić się; brać się za coś; zajmować się czymś. [przypis edytorski]

⁶⁰brać kogoś na fundusz (daw.) — drwić, kpić z kogoś. [przypis edytorski]

Zadawałem sobie nieraz pytanie: za co ta spokojna, naiwna istota mogła dostać się do ostrogu? Pewnego razu leżałem chory w szpitalu, w aresztanckiej izbie; Sirotkin był także chory i leżał obok mnie. Jakos pod wieczór nawiązaliśmy rozmowę i nagle ożywił się i opowiedział mi, jak go oddawano do wojska, jak nad nim matka, odprowadzając go, płakała i jak ciężko mu było być rekrutem. Dodał, że w żaden sposób nie mógł wytrzymać rekruckiego życia, dlatego, że tam wszyscy byli tacy surowi, gniewni, a oficerowie komenderujący zawsze byli z niego niezadowoleni.

— Jakże się skończyło? — spytałem. — Za cóż ty się tu dostałeś? I jeszcze do osobnego oddziału... Ach ty, Sirotkin, Sirotkin!

— Ja, Aleksandrze Piotrowiczu, rok wszystkiego byłem w batalionie, a tutaj się dostałem za to, że Grzegorza Piotrowicza, komendanta mojej roty, zabiłem.

— Słyszałem ja o tym, Sirotkin, ale nie wierzę. Gdzież ty mogłeś kogoś zabić?

— Tak się zdarzyło, Aleksandrze Piotrowiczu. Bardzo mi już ciężko było.

— A jakżeż żyją inni rekruci? Rozumie się, ciężko im z początku, ale potem przywykają i patrzysz, z rekruta robi się dzielny żołnierz. Ciebie zapewne matka zanadto pieściła, piernikami i mleczkiem do osiemnastu lat karmiła.

— „Matuszka”, prawda, bardzo mnie kochała. Kiedy mnie wzięto w rekruty, z żalu zasłabła i słyszałem, że nie wstawiała... Ciężko mi już bardzo pod koniec zaczęło być w rekructwie. Komendantowi się nie podobałem, za wszystko mnie karał — a i za co? Ja wszystkim ulegam, żyję akuratnie, wódki nie piję, niczym złym się nie zajmuję, a to już, Aleksandrze Piotrowiczu, niedobrze, jeżeli człowiek czemuś złemu się oddaje. Wszyscy dokoła tacy niemiłosierni, nie ma gdzie zapłakać. Bywało, pójdę gdzie za węgiel i tam popłaczę. Otóż stoję raz na straży. Noc już, wiatr, jesień była, a ciemność taka, że choć oko wykol. I tak mi ciężko, ciężko zaczęło być. Wziąłem do nogi broń, bagnet odpiąłem, położyłem obok; ściągnąłem prawy but, lufę przystawiłem do piersi, oparłem się o nią i wielkim palcem u nogi spuściłem kurek. Patrzę — nie wypaliło! Obejrzałem karabin, przeczyściłem panewkę⁶¹, podsypałem nowego prochu, otłukłem krzemień i znów do piersi lufę. I cóż? Proch buchnął, a wystrzału znów nie ma. „Cóż to jest?” — myślę sobie. Wziąłem but, naciągnąłem, bagnet przypiąłem, milczę i przechadzam się. Wtedy to postanowiłem zrobić coś takiego: gdziekolwiek się dostać, byle nie być rekrutem. W pół godziny potem jedzie komendant — objeżdżał straże — i prosto na mnie: „Czy tak stoją na warcie?”. Wziąłem karabin do ręki i wsadziłem w niego bagnet po samą lufę. Cztery tysiące palek przeszedłem⁶² i tutaj do osobnego oddziału.

Sirotkin nie kłamał, za cóż innego zresztą przysłano by go tutaj? Zwyczajne przestępstwa są znacznie łagodniej karane. Zresztą tylko jeden Sirotkin spomiedzy wszystkich swoich towarzyszy był tak pięknym młodzieńcem. Co się tyczy innych, podobnych do niego przestępców w liczbie około piętnastu, to dziwnie było nawet patrzeć na nich; dwie, trzy twarze były znośne, reszta zaś postacie bezmyślne, potworne, niechlujne. Jeżeli mi okoliczności pozwolą, opiszę kiedyś szczegółowiej tę oddzielną gromadkę. Sirotkin zaś często przyjaźnił się z Gazinem, z tym samym, od którego zacząłem ten rozdział, wspomniawszy, że pijany wwalil się do kuchni i że jego widok poplątał wszystkie moje wyobrażenia o życiu w ostrogu.

Ów Gazin był straszną istotą. Sam widok jego przygniatał i przerażał innych. Zdawało mi się zawsze, że nie mogło być nic dzikszego i potworniejszego od jego postaci. Widziałem w Tobolsku sławnego ze swoich zbrodni rozbójnika Kamieniewa; widziałem potem Sokołowa, aresztanta z deztererów, strasznego zabójcę. Ale żaden z nich nie wywoływał tak wstrętnego wrażenia jak Gazin. Zdawało mi się czasem, że widzę przed sobą ogromnego, olbrzymiego pająka, wielkości człowieka. Był to Tatar, strasznie silny, najsilniejszy z całego ostrogu; wzrostu nieco wyższego ponad średni, herkulesowej⁶³ bu-

⁶¹panewka — w dawnej broni palnej zagłębienie w tylnej części lufy, na które sypano proch; skrzesała przez strzelającego iskra padała na proch, który zapalał się i przenosił ogień dalej, przez zapal (otwór prowadzący do lufy) do ładunku umieszczonego w lufie, powodując jego odpalenie. Wskutek niedoskonałości technologicznej dawnej broni palnej często proch wypalał się na panewce, nie powodując wystrzału. [przypis edytorski]

⁶²Cztery tysiące palek przeszedłem — buntownikom w carskim wojsku wymierzano karę chłosty grubymi, długimi kijami; skazaniec był prowadzony pomiędzy dwoma szeregami żołnierzy i bity z obu stron. [przypis edytorski]

⁶³herkulesowy — taki jak u Herkulesa, mitycznego starożytnego bohatera słynącego z nadludzkiej siły i dokonania wielu niezwykłych czynów. [przypis edytorski]

Żołnierz, Samobójstwo,
Morderstwo

dowy ciała, z potworną, nieproporcjonalnie wielką głową. Trzymał się pochyło, patrzył spode łba. W ostrogu chodziły o nim dziwne wieści; wiadano, że był z liczby wojskowych, ale aresztanci opowiadali sobie — nie wiem, czy zgodnie z prawdą — że uciekł z Nerczyńska⁶⁴, że nieraz już był zsyłany na Sybir, nieraz uciekał, nieraz zmieniał nazwisko i wreszcie dostał się do naszego ostrogu, do osobnego oddziału. Opowiadano również o nim, że dawniej zarzywał małe dzieci jedynie dla przyjemności: zaprowadzi dziecko w jakieś ustronne miejsce, naprzód straszy je i męczy, a potem, nasyciwszy się przestracaniem i drżeniem małej biednej ofiary, zarżnie ją cicho, powoli, z rozkoszą. Wszystkie to może były wymysły, wywołane tym przygniatającym wrażeniem, jakie na wszystkich wywierał Gazin, ale wymysły te doskonale przystawały do jego postaci. A tymczasem w ostrogu zwykle, gdy nie był pijany, zachowywał się bardzo przyzwoicie. Był spokojny, nie wszczynął z nikim kłótni, unikał ich nawet, ale jakby z pogardy dla innych, z poczucia swojej wyższości nad innymi; mówił bardzo mało i jakby umyślnie nie zadawał się z innymi. Wszystkie jego ruchy były powolne, spokojne, pełne poczucia własnej siły. Z oczu mu patrzyło, że nie był głupi i nadzwyczajnie przebiegły, ale w twarzy, w uśmiechu jego było coś pogardliwie szyderczego i okrutnego.

Gazin handlował wódką i był w ostrogu jednym z najbogatszych szynkarzy. Ale parę razy do roku sam się upijał i wtedy to wychodziła na wierzch cała zwierzęcość jego natury. Poddając się stopniowo trunkowi, Gazin zaczynał naprzód zaczepiać ludzi szyderstwami najjadliwszymi, obliczonymi i jakby od dawna przygotowanymi; na koniec, opanowany trunkiem, popadał w straszną wściekłość i rzucał się z nożem na ludzi. Aresztanci, znając jego olbrzymią siłę, uciekali od niego i kryli się; wtedy rzucał się na pierwszego spotkanego. Ale wkrótce znaleziono sposób i na niego. Dziesięciu ludzi z jego koszar rzucało się nagle na niego i wszyscy od razu zaczęli go bić. Nie można sobie wyobrazić nic okropniejszego od tego bicia: tłuczono go w pierś, w dołek, pod serce, w brzuch; bito mocno i długo i ustawano dopiero wtedy, gdy postradał zmysły i leżał bez czucia jak martwy. Kogoś innego bić w ten sposób nie odważono by się: tak bić — znaczyło zabić, ale nie Gazina. Po takim biciu zawijano go, leżącego bez czucia, w kożuch i kładziono na narach. „Odleży się!” I rzeczywiście nazajutrz wstawał prawie zdrów i milcząc, ponuro wychodził na robotę. I każdego razu, jak tylko Gazin zaczynał pić, wszyscy już w ostrogu wiedzieli, że dzień ten nieuchronnie zakończy się dla niego pobiciem. I on sam wiedział o tym, a mimo to upijał się. Tak się ciągnęło przez lat kilka; na koniec zauważono, że Gazin zaczyna się poddawać. Zaczął skarżyć się na różne bóle, zaczął widocznie zapadać na zdrowiu, coraz częściej chodził do szpitala... „Poddął się jednak” — mówili do siebie aresztanci.

Wszedł on do kuchni w towarzystwie owego nędzniętkiego grajka, którego zwykle najmowali hulający, chcąc w całej pełni używać wesołości, i zatrzymał się na środku izby kuchennej, w milczeniu i uważnie oglądając wszystkich obecnych. Wszyscy zamilkli. Na koniec, ujrzawszy mnie i mojego towarzysza, Gazin złośliwie i szyderczo popatrzał na nas, z poczuciem wyższości uśmiechnął się, coś jakby obmyślił w głowie i mocno się zataczając, podszedł do naszego stołu:

— Za pozwoleniem waszym — zaczął mówić — z jakich to dochodów z łaski swojej racycie się herbatą?

Milcząc, zamieniłem spojrzenie z towarzyszem, zrozumiawszy, że najlepiej jest milczeć i nie odpowiadać pijanemu. Pierwszy sprzeciw wprawilby go we wściekłość.

— Widocznie macie pieniądze? — dopytywał się dalej. — Widocznie macie kupę pieniędzy, co? A czyście po to przyszli do katorgi, ażeby tu raczyć się herbatą? Czyście tu przyszli dla picia herbaty? No, mówcież, żeby was!...

Ale widząc, żeśmy postanowili milczeć i nie zwracać na niego uwagi, Gazin poczerwieniał i zatrząsł się ze wściekłości. Obok niego w kącie stały wielkie niecki, w których składano wszystek chleb nakrajany do obiadu lub wieczery dla aresztantów. Były tak wielkie, że mieściło się w nich chleba dla połowy ostrogu; teraz stały puste. Gazin chwycił je oburącz i wznosił nad nami. Jeszcze chwila i rozmiażdżyłby nam głowy. Pomimo że zabójstwo lub tylko zamach zabicia groził wielkimi nieprzyjemnościami całemu ostrogo-

⁶⁴Nerczyńsk — miasto w azjatyckiej części Rosji, 600 km na wsch. od jeziora Bajkał; od 1826 do 1917 kolonia katorżnicza, gdzie więziono m.in. dekabrystów, powstańców polskich z 1831 i 1863 oraz narodników. [przypis edytorski]

wi: zaczęłyby się badania, rewizje, obostrzenia i dlatego aresztanci wszelkimi sposobami starali się nie doprowadzać do podobnych ostateczności — pomimo tego wszyscy teraz przycichli i wyczekiwali. Ani jednego słowa na naszą obronę! Ani jednego krzyku na Gazina! — do takiego stopnia głęboka była nienawiść ku nam! Nasze niebezpieczne położenie sprawiało im widoczną przyjemność... Ale sprawa zakończyła się szczęśliwie; tylko co chciał cisnąć na nas niecki, gdy ktoś z sieni zawołał:

— Gazin! Wódkę ukradli!...

Gazin grzmotnął nieckami o podłogę i jak szalony wypadł z kuchni.

— No, Bóg wybawił! — mówili między sobą aresztanci. I długo potem powtarzali to samo.

Nie mogłem się dowiedzieć później, czy wiadomość o skradzeniu wódki była prawdziwa, czy też zmyślona, aby nas obronić.

Wieczorem, gdy już było ciemno, przed zamknięciem koszar chodziłem pod ostrokołem i ciężki smutek spadł mi na duszę, tak ciężki, jakiego przez całe moje życie więzienne nie doznawałem. Ciężko przechodzi pierwszy dzień niewoli, gdziekolwiek bądź: czy to w ostrogu, czy w kazamacie, czy w katordze... Pamiętam, najwięcej zajmowała mnie wówczas jedna myśl, która potem nieodstępnie prześladowała mnie przez cały czas życia w ostrogu — myśl po części nierozwiązalna — nierozwiązana dla mnie i teraz: o nierówności kary za jednakowe przestępstwa. Prawda, że i przestępstwa trudno stawić na równi, nawet w przybliżeniu. Na przykład i ten, i tamten popełnili zabójstwo; zważono wszystkie okoliczności w obu sprawach i w obu sprawach wypada prawie ta sama kara. A tymczasem popatrzcie, jaka różnica w przestępstwach. Jeden, na przykład, zarznął człowieka ot tak, bez powodu, dla główki cebuli, jak powiada legenda aresztancka: wyszedł na drogę, zarznął przejeżdżającego chłopca, a u chłopca tylko jedna cebula. „Cóż, *bat'ka*⁶⁵! Posłałeś mnie po zdobycz, oto ja chłopca zarznąłem i wszystkiego jedną cebulę znalazłem”. „*Durak*⁶⁶! Cebula to przecież kopiejka! Sto dusz — sto cebul, ot masz i rubel”. A drugi popełnił zabójstwo, broniąc czci żony, siostry, córki od lubieżnego tyrana. Jeden zabił jako zbieg, osaczony całym pułkiem pogoni, broniąc swej wolności i życia, czasem bliski śmierci głodowej; a drugi zarzyna małe dzieci dla przyjemności mordowania, nasycenia się ich krwią ciepłą na rękach, ich gołębim przestraczem. I cóż? I ten, i tamten pokutują w jednej katordze. Prawda, są różnice w terminach kar, ale tych różnic stosunkowo niewiele, a różnic w jednym rodzaju przestępstw niezliczone mnóstwo. Co charakter, to i różnica.

Ale przypuśćmy, że niepodobna pogodzić różnic w karach z różnicami w przestępstwach, że to jest zadanie nie do rozwiązania, jakaś kwadratura koła; przypuśćmy, że tak. Ale gdyby nawet tej nierówności nie było, popatrzcież na inną różnicę, na różnicę w skutkach, które kara za sobą pociąga... Oto człowiek w katordze usycha, wytapia jak świeczka; i oto inny, który przed wstąpieniem do katongi nie wiedział nawet, że jest na świecie takie wesołe życie, taki przyjemny klub zuchowatych towarzyszy! Tak, przybywają do ostrogu i tacy. Oto znów, na przykład, człowiek wykształcony, z sercem, z rozwiniętym umysłem i sumieniem. Męski, których w sercu doznaje, prędkiej od wszelkich kar zadręcą go na śmierć. On sam siebie osądzi surowiej i bezlitośniej od najsurowszego prawa. A oto razem z nim ponosi jednakową karę człowiek, który przez cały czas katongi nawet nie pomyśli o popełnionym przez siebie zabójstwie. Uważa się nawet za niewinnego. A bywają i tacy, którzy umyślnie popełniają przestępstwa, aby się tylko dostać do katongi, uwolnić się od nierównie bardziej katorżnego życia swobodnego. Tam on żył w największym poniżeniu, nie zjadł nigdy do syta i od rana do nocy pracował na swego pryncypała; a w katordze robota lżejsza niż w domu, chleba pod dostatkiem, i takiego, jakiego on jeszcze nie kosztował; w dni świąteczne mięso wołowe, a przy tym jest jałmużna, jest możliwość zarobienia jakiegoś grosza. A towarzystwo? Lud przebiegły, zręczny, wszystkowiedzący; i oto nowo przybyły spogląda na swoich towarzyszy z pełnym szacunku podziwem; jeszcze nigdy takich nie widywał; uważa ich za najwyższy szczyt społeczeństwa, jaki istnieje na świecie. Czyż kara, na którą ci dwaj ludzie zostali skazani, jednakowo się im daje uczuwać?

⁶⁵*bat'ka* (ros.) — ojczulek. [przypis edytorski]

⁶⁶*durak* (ros.) — głupiec. [przypis edytorski]

Ale zresztą po co zajmować się pytaniami nie do rozwiązania! Oto biją w bęben, czas do koszar.

IV. PIERWSZE WRAŻENIA

Zaczęło się ostatnie sprawdzanie. Po tym sprawdzeniu zamykano kazarmy, każdą na osobny zamek, i aresztanci zostawali w zamknięciu aż do świtu.

Sprawdzania dokonywał podoficer z dwoma żołnierzami. W tym celu szykowano aresztantów niekiedy na dziedzińcu i przychodził oficer straży więziennej. Ale najczęściej ta ceremonia odbywała się domowym sposobem, w koszarach. Tak było i tym razem. Sprawdzający często robili omyłki w rachunku, wychodzili, wracali. Nareszcie biedni strażnicy doliczyli się potrzebnej liczby i zamknęli kazarmę. Mieściło się w niej blisko trzydziestu aresztantów, którzy musieli dobrze cisnąć się przy sobie na narach. Na spanie było jeszcze w wcześniej. Każdy oczywiście musiał się jeszcze czymś zająć.

Ze zwierzchności więziennej zostawał w kazarmie tylko inwalida, o którym już wspominałem. W każdej kazarmie był też starszy aresztant, wybrany na tę godność przez samego plac-majora, naturalnie za dobre prowadzenie się. Bardzo często zdarzało się, że i starszych chwytało na jakiejś bardziej nagannej swawoli, a wtedy bito ich, degradowano, a na ich miejsce naznaczano innych. W naszej kazarmie godność starszego piastował Akim Akimycz, który ku mojemu zdumieniu pokrzykiwał niekiedy na aresztantów. Ci odpowiadali mu zazwyczaj szyderstwami. Inwalida był rozumniejszy od niego, do niczego się nie mieszał, a jeżeli kiedy zdarzało się, że poruszył językiem, to tylko dla przyzwitości, dla zachowania pozorów. Milcząc, siedział na swoim tapczanie i obciągał but na kopycie⁶⁷. Aresztanci prawie wcale nie zwracali na niego uwagi.

W ten pierwszy dzień więziennego życia zrobiłem spostrzeżenie, o którego prawdziwości przekonałem się później, a mianowicie, że wszyscy niearesztanci, ktokolwiek oni są, zaczynając od tych, którzy mają bezpośrednią styczność z aresztantami, jak żołnierze konwojowi lub ze straży więziennej, a kończąc na tych, którzy z daleka tylko mają do czynienia z katorgą — że wszyscy oni mają przesadne wyobrażenie o aresztantach. Zda się, że nieustannie obawiają się, aby aresztant lada chwila nie rzucił się na nich z nożem. A co godniejsze uwagi, sami aresztanci czuli, że ich się boją, i to im widocznie dodawało animuszu. A tymczasem najlepszy dla nich bywa ten właśnie, który się ich nie boi. W ogóle też, nie zważając na przyrost animuszu, dla samych aresztantów jest przyjemniej, kiedy do nich mają zaufanie. Tą drogą można ich nawet zjednać dla siebie. Zdarzało się w czasie mojego więzienia, chociaż bardzo rzadko, że ktoś z naczelnych osób zachodził do ostrogu bez konwoju. Trzeba było widzieć, jak to uderzało aresztantów, i uderzało z dobrej strony. Taki odważny wizytator budził w nich zawsze szacunek i gdyby się rzeczywiście miało zdarzyć coś złego, to przy nim by się nie zdarzyło.

Ten strach przed aresztantami jest wszędzie, gdzie tylko są aresztanci, i doprawdy nie wiem, skąd on właściwie pochodzi. Naturalnie, znajduje pewne uzasadnienie tak w zewnętrznej postaci aresztanta, uznanego zbója, jak i w tym, że każdy zbliżający się do katorgi czuje, iż cała ta gromada ludzi zebrała się tu nie z własnej ochoty i że nie zważając na wszelkie środki ostrożności, żywego człowieka nie można zrobić trupem: pozostaną w nim uczucia, żądza zemsty i życia, zostaną namiętności i potrzeba uczynienia im zadość. Ale pomimo tego wszystkiego jestem zupełnie pewny, że nie trzeba się lękać aresztantów. Nie tak to łatwo i nie tak prędko rzuca się człowiek na człowieka z nożem. Jednym słowem, jeśli możliwe niebezpieczeństwo, jeśli ono bywa niekiedy, to sądząc z tego, jak rzadko się zdarzają podobne nieszczęśliwe wypadki, można stanowczo orzec, że jest ono bardzo małe. Naturalnie, mówię tu teraz o aresztantach osądzonych, z których wielu cieszy się, że dostali się na koniec do ostrogu (do tego stopnia bywa nieraz miłe nowe życie!), a wskutek tego skłonni są żyć spokojnie i cicho; a jeżeli są rzeczywiście niespokojni, to im towarzysze nie pozwolą zbyt awanturować się. Każdy katorżnik, choć bardzo śmiały i zuchwały, boi się wszystkiego w katordze. Co innego zaś aresztant zostający pod sądem. Ten w istocie gotów rzucić się na postronnego człowieka, tak bez powodu, jedynie dlatego na przykład, że jutro ma wyjść w celu otrzymania kary: jeśli się zawiąże nowa sprawa, to i bliska kara odsunie się na czas jakiś. Tu jest przyczyna, cel napaści, miano-

⁶⁷kopyto — tu: drewniana forma, na której szewc robi buty. [przypis edytorski]

wicie: „odmienić swoją dolę” w jakikolwiek sposób i jak można najprędzej. Znam nawet jeden dziwny psychologiczny wypadek w tym rodzaju.

W ostrogu naszym, w oddziale wojskowym, był aresztant-żołnierz, niepozbawiony praw cywilnych, skazany wyrokiem sądu na dwa lata więzienia w ostrogu, wielki fanfaron⁶⁸ i wielki tchórz. W ogóle samochwalstwo i tchórzostwo nadzwyczaj rzadko spotykają się w rosyjskim żołnierzu. Nasz żołnierz wydaje się zawsze tak zajęty, że gdyby nawet chciał, nie miałby czasu na fanfaronadę. Ale jeśli już jest fanfaronem, to prawie zawsze nicpoń i tchórz. Dutow (nazwisko aresztanta) odbył na koniec swoją niedługą karę i wrócił do liniowego batalionu. Ale wszyscy podobni jemu, posyłani do ostrogu na poprawę, psują się w nim ostatecznie i zwykle zdarza się tak, że po odsiedzeniu kary we dwa, trzy tygodnie znowu są pod sąd oddani i znowu zjawiają się w ostrogu, tylko już skazani nie na dwa lub trzy lata, ale do „wiecznego” oddziału, na lat piętnaście lub dwadzieścia. Tak się zdarzyło i tym razem. W trzy tygodnie po wyjściu z ostrogu Dutow coś ukradł spod zamka, prócz tego zelżył zwierzchników i wyprawiał awantury. Oddano go pod sąd i wyznaczono surową karę. Przestraszywszy się bliskiej kary do najwyższego stopnia, jak najnędnieszy tchórz, Dutow, w wilię tego dnia, kiedy go miano pędzić „przez strój”⁶⁹, to jest wzdłuż szeregu żołnierzy z pałkami, rzucił się z nożem na oficera warty, który wszedł do izby aresztanckiej. Rozumiał dobrze, że tym postępkami pogorszy niezmiernie swoją sprawę i przedłuży termin kary. Ale jego rachunek polegał na tym, że choć na kilka dni, chociaż na kilka godzin oddali od siebie straszny moment kary! Był do tego stopnia tchórzem, że rzuciwszy się z nożem, nie ranił nawet oficera, a zrobił to tylko dla formy, dlatego tylko, aby okazało się nowe przestępstwo, za które go musiano na nowo sądzić.

Chwila przed karą, naturalnie, straszna jest dla skazanego i w kilka lat potem zdarzało mi się widzieć wielu aresztantów oddanych pod sąd w wigilię fatalnego dla nich dnia. Zazwyczaj spotykałem się z takimi aresztantami w szpitalu, w izbach aresztanckich, kiedy tam leżał chory, co zdarzało się dość często. Aresztanci w całej Rosji wiedzą o tym, że najlitościwsi dla nich ludzie to doktorzy. Nie robią oni różnicy między aresztantami, jak to mimo woli czynią prawie wszyscy ludzie postronni, z wyjątkiem chyba prostego ludu. Ten nigdy nie wypomina aresztantowi jego przestępstwa, jakkolwiek jest ono okropne i przebacza mu wszystko jako temu, który poniósł już karę i jest nieszczęśliwy. Niedaremnie lud rosyjski wszędzie nazywa zbrodnię nieszczęściem, a zbrodniarzy nieszczęśliwymi. Określenie to pełne jest głębokiego znaczenia, a tym ważniejsze, że utworzone nieświadomie, instynktownie. Co się zaś tyczy doktorów, to ci są prawdziwą ucieczką dla aresztantów w wielu razach, szczególnie, gdy są pod sądem i trzymani są surowiej od innych... I oto podsądny, obliczywszy prawdopodobny termin straszego dnia kary, wchodzi często do szpitala, aby choć trochę oddalić ciężką dla siebie chwilę. Kiedy zaś powraca stamtąd, prawie na pewno wiedząc, że fatalny termin nazajutrz, opanowuje go prawie zawsze silne wzburzenie. Niektórzy przez ambicję ukrywają swoje uczucia, ale niezręczny, sztuczny animusz nie zdoła zbić z tropu towarzyszy. Wszyscy rozumieją jego położenie i milczą litościwie. Znałem pewnego młodego aresztanta-żołnierza, który jako zabójca skazany był na pewną liczbę pałek. Ten do tego stopnia przeląkł się kary, że w wigilię dnia egzekucji postanowił napić się wódki nalanej na tabakę. Trzeba dodać, że wódka zjawia się prawie zawsze u podsądnego aresztanta przed egzekucją. Przenosi się ją na długi czas przed terminem kary, kupuje się bardzo drogo i podsądny gotów jest odmawiać sobie przez pół roku najpotrzebniejszych rzeczy, byle tylko mieć za co kupić ćwierć sztofa⁷⁰ wódki, którą wypije na kwadrans przed egzekucją. Wśród aresztantów w ogóle panuje przekonanie, że pijany nie tak boleśnie czuwa uderzenia knuta lub pałki. Ale wracam do opowiadania. Biedak, wypiwszy trochę tej wódki, rzeczywiście zaraz zachorował; dostał wymiotów krwią i prawie nieprzytomnego odwieziono go do szpitala. Te wymioty tak nadwerżyły mu piersi, że w kilka dni potem wystąpiły w nim objawy prawdziwych suchot⁷¹, z których też umarł w pół roku potem. Doktorzy, którzy go leczyli, nie wiedzieli, skąd się te suchoty wywiązały.

⁶⁸fanfaron — osoba zarozumiała, pyszałek. [przypis edytorski]

⁶⁹przez strój — z ros. сквозь строй: przez szereg. [przypis edytorski]

⁷⁰sztof (ros.) — miara płynów, butelka o pojemności 1 litra. [przypis edytorski]

⁷¹suchoty (daw.) — gruźlica, niebezpieczna choroba płuc, dawniej często śmiertelna. [przypis edytorski]

Zbrodnia, Zbrodniarz

Kara, Alkohol, Choroba

Ale opowiadając o często trafiającej się małoduszności zbrodniarzy przed egzekucją, powinienem dodać, że z drugiej strony niektórzy z nich zdumiewają obserwatora nadzwyczajną odwagą. Pamiętam kilka przykładów takiej nieustraszoneści, która dochodziła do zupełnej nieczułości, a nie były to rzadkie przykłady. Szczególnie pamiętne mi jest spotkanie z pewnym strasznym zbrodniarzem. Pewnego letniego dnia w izbach aresztanckich rozeszła się pogłoska, że wieczorem karać będą słynnego rozbójnika Orłowa, jednego z dezertów, i po egzekucji przyprowadzą do szpitala. Chorzy aresztanci, oczekując przybycia Orłowa, utrzymywali, że będzie srogo ukarany. Wszyscy byli niespokojni, a i ja, przyznać muszę, oczekiwałem strasznego rozbójnika z nadzwyczajnym zaciekawieniem. Od dawna już cuda o nim słyszałem. Był to zbrodniarz, jakich mało, który obojętnie zarzywał starców i dzieci; człowiek ze straszną siłą woli i z dumnym poczuciem tej siły. Przyznał się do wielu zabójstw i skazany był na pędzenie „przez strój” pod pałkami. Przyprowadzono go wieczorem. W izbie szpitalnej było już ciemno i zapalono świece. Orłów był prawie nieprzytomny, strasznie blady, z gęstymi, zwichrzonymi, czarnymi jak smoła włosami. Jego napuchły grzbiet miał krwawosiną barwę. Całą noc chodzili koło niego aresztanci, zmieniali mu okłady, przewracali z boku na bok, dawali lekarstwo z taką troskliwością, jak gdyby był ich bliskim krewnym lub dobroczyńcą. Nazajutrz zupełnie oprzytomniał i przeszedł się parę razy po sali! Zdumiałem się, przybył bowiem do szpitala zbyt słaby i zmęczony, przebywszy od razu całą połowę przeznaczoną dla siebie liczbę pałek. Doktor przerwał egzekucję dopiero wtedy, gdy spostrzegł, że przeciąganie jej groziło zbrodniarzowi nieuchronną śmiercią. A do tego Orłów był małego wzrostu i słabej budowy, i wyczerpany długim trzymaniem w więzieniu podczas śledztwa. Komu zdarzało się widzieć kiedykolwiek podsądnych aresztantów, ten zapewne na długo zapamiętał ich zmęczone, chude i blade twarze, ich gorączkowe spojrzenia.

Ale pomimo to wszystko Orłów szybko powracał do zdrowia. Widocznie wewnętrzna energia jego duszy dzielnie pomagała naturze. W istocie, był to człowiek niezupełnie zwyczajny. Przez ciekawość zaznajomiłem się z nim bliżej i studiowałem go przez cały tydzień. Śmiało powiedzieć mogę, że nigdy w życiu nie spotkałem człowieka silniejszego, bardziej żelaznego charakteru. Widziałem już raz przedtem, w Tobolsku, pewną znakomitą w tym rodzaju, byłego atamana⁷² rozbójników. Był to istny dziki zwierz i stojąc koło niego, choć nie znałeś jeszcze jego imienia, czuleś jednak instynktownie, że to jakaś straszna istota. Ale w tamtym przerażała mnie duchowa otepiałość. Ciało do tego stopnia brało w nim górę nad wszelkimi własnościami duszy, że z pierwszego wejrzenia na twarz jego widać było, iż nic w nim nie zostało prócz dzikich żądź cielesnych, lubieżności, nasyceńcia ciała. Jestem pewny, że Konierow — tak się nazywał rozbójnik — upadł na duchu i drżał ze strachu przed karą, pomimo że zdolny był rzezać ludzi bez jednej zmarszczki na twarzy. Zupełny z nim kontrast stanowił Orłow; było to wcielenie zupełnego zwycięstwa nad ciałem. Widać było, że ten człowiek mógł panować nad sobą nieograniczenie, gardził wszelkimi mękami i karami i nie bał się niczego na świecie. Widziałem w nim tylko nieskończoną energię, żądzę dopięcia zamierzonego celu. Uderzony byłem przede wszystkim jego dziwną wyniosłością. Na wszystko spoglądał jakoś niezmiernie z wysoła, nie starając się przy tym bynajmniej stawać na szczydłach, ale tak jakoś naturalnie. Myślę, że nie było nikogo na świecie, kto by mógł podzielać na niego samym tylko znaczeniem swoim u ludzi. Na wszystko spoglądał z jakimś niespodziewanym spokojem, jak gdyby nie było niczego na świecie, co by go mogło zadziwić. I chociaż doskonale wiedział, że inni aresztanci patrzą na niego z szacunkiem, nie starał się bynajmniej pozować przed nimi. A tymczasem próżność i pycha właściwe są prawie wszystkim aresztantom. Był wcale niegłupi i jakoś dziwnie otwarty, choć by najmniej nie gadatliwy. Na pytania moje odpowiadał wręcz, że czeka wyzdrowienia, ażeby co prędzej otrzymać resztę kary, i że z początku, przed egzekucją, bał się, że jej nie wytrzyma. „Ale teraz — dodał, mrugnawszy do mnie okiem, — sprawa skończona. Przebędę resztę uderzeń i natychmiast odprawią mnie z partią do Nerczyńska, a ja z drogi ucieknę. Z pewnością ucieknę! Byle się tylko grzbiet co prędzej zagoił!” I przez wszystkie pięć dni niecierpliwie czekał chwili, kiedy się będzie mógł wypisać ze szpitala, ale w oczekiwaniu tym był bardzo żartobliwy i wesoły.

⁷²ataman — kozacki przywódca. [przypis edytorski]

Próbowałem dowiedzieć się czegoś od niego o jego sprawach. Chmurzył się trochę na podobne pytania, ale odpowiadał zawsze otwarcie. Kiedy zaś zrozumiał, że dobieram się do jego sumienia i chcę doszukać się w nim choć śladu skruchy, to spojrział na mnie tak pogardliwie i wyniośle, jak gdybym się nagle w jego oczach zamienił w głupiutkiego malca, z którym nie można rozumnie mówić, jak ze starszymi. Coś nawet w rodzaju litości ku mnie wyraziło się w jego twarzy. Po chwili zaśmiał mi się w oczy naiwnym śmiechem, bez wszelkiej ironii, i jestem pewny, że zostawszy sam i przypominając sobie moje słowa, nieraz jeszcze) wybuchał śmiechem. Na koniec wypisał się ze szpitala z jeszcze niezupełnie wygojonym grzbietem; ja wówczas także wychodziłem ze szpitala i wypadło nam wracać razem, mnie do ostrogu, jemu do kordegardy koło naszego ostrogu, gdzie go i przedtem trzymano. Żegnając się ze mną, uściśnął mi rękę; był to z jego strony znak wielkiego zaufania. Sądzę, że zrobił to tylko dlatego, że był bardzo zadowolony z siebie i z chwili obecnej. W rzeczy zaś samej nie mógł mną nie gardzić i niewątpliwie spoglądał na mnie jak na istotę uległą, słabą, nędzną, pod każdym względem niższą od niego. Nazajutrz zaraz poprowadzono go na drugą egzekucję.

Kiedy zamykano naszą kazarmę, przybierała ona nagle odmienną postać, stawała się podobna do prawdziwego mieszkania, do domowego ogniska. Teraz dopiero aresztanci, moi towarzysze, byli zupełnie jak w domu. W dzień podoficerowie, żołnierze karaulni i w ogóle wszelkiego rodzaju zwierzchnicy mogli każdej chwili zjawić się w ostrogu i dlatego wszyscy mieszkańcy ostrogu w dzień inaczej się jakoś trzymają, jakby niezupełnie uspokojeni, jakby lada chwila wyczekujący czegoś w niepokoju. Ale jak tylko zamknięto kazarmę, wszyscy natychmiast rozsiedli się na twoich miejscach i prawie każdy zabrał się do jakiegoś rzemiosła. Kazarma nagle zajaśniała światłem. Każdy miał własną świecę i własny świecznik, zwykle drewniany. Ten zabrał się do szycia butów, ów do krawiectwa. Mefityczne⁷³ powietrze kazarmy stawało się coraz cięższe. Gromadka hulaków, przysiadłszy na nogach w kąciку przed rozesłanym dywanem, zaczynała grać w karty. Prawie w każdej kazarmie był taki człowiek, który miał mały, wytarty dywanik, świeczkę i niewypowiedzianie brudne, zatłuszczone karty. Wszystkie to razem wzięte nazywało się *majdan*. Właściciel majdanu otrzymywał zapłatę od grających po piętnaście kopiejek za noc. Grano zwykle w *tri lista*⁷⁴, górkę i inne. Wszystkie gry były hazardowe, każdy gracz wysypywał przed sobą kupę miedziaków, wszystko, co miał kieszeni, i wstawał z przypięcia dopiero wtedy, gdy się zgrał do szcztetu lub gdy ograł towarzyszy. Gra ciągnęła się długo w nocy, a czasem trwała aż do świtu, aż do tej chwili, kiedy otwierano kazarmę.

Gra

W naszej izbie, podobnie jak we wszystkich innych kazarmach ostrogu, bywali zawsze nędzarze, żebracy, którzy się zgrali lub przepili wszystko, albo też po prostu nędzarze z natury. Mówię „z natury” i kładę nacisk na to wyrażenie. W istocie w narodzie naszym w jakimkolwiek otoczeniu i wśród jakichkolwiek warunków są i będą zawsze pewne dziwne jednostki, spokojne i nieraz bardzo leniwe, którym los z góry przeznaczył być na wieki wieków nędzarzami. Zawsze bezdomni, zawsze obdarci, wyglądają jak przybici i czymś udęczeni i wiecznie zostają u kogoś na posługach, na posyłkach, najczęściej u hulaków lub tych, co się nagle wzbogacili i wynieśli. Wszelki pomysł, wszelka inicjatywa jest dla nich przykrością i ciężarem. Zdaje się, że przyszli na świat, żeby nic nie robić samodzielnie, ale tylko służyć innym, żyć według cudzej woli, tańczyć, jak im zagrają; przeznaczeniem ich — spełniać cudze rozkazy. A ponad to wszystko, żadne szczęśliwe okoliczności, żadne przewroty nie zdołają ich wzbogacić: ot, zawsze żebracy. Zauważyłem, że takie jednostki spotyka się nie tylko wśród prostego ludu, ale we wszystkich społeczeństwach, warstwach, partiach, dziennikach i stowarzyszeniach. To samo było w każdej kazarmie, w każdym ostrogu i jak tylko układał się majdan, natychmiast jeden z takich zjawiał się do posługi. Najmowali go zwykle wszyscy gracze razem za pięć kopiejek srebrem na całą noc, a głównym jego obowiązkiem było stać całą noc na straży. Marzył on zwykle przez sześć do siedmiu godzin w ciemności, w sieniach, na trzydziestostopniowym mrozie i łowił uchem każdy stuk, każdy dźwięk, każdy krok na dziedzińcu. Plac-major albo karaul zjawiali się niekiedy bardzo późną nocą w ostrogu, wchodzili po cichu i łapali na gorącym uczynku i graczy, i pracujących, i świeczki, które można było spostrzec z podwórza. To

⁷³mefityczny (z łac. *mephiticus*) — duszący, cuchnący. [przypis edytorski]

⁷⁴*tri lista* (ros.) — trzy karty, nazwa prostej gry hazardowej, w której zwykle biorą udział cztery osoby. [przypis edytorski]

pewne przynajmniej, że kiedy nagle zaczynał grzmieć zamek we drzwiach prowadzących z sieni na dziedziniec, to już za późno by chować rzeczy, gasić świece i kłaść się na narach. Ale ponieważ czuwającemu najemnikowi dostawało się za to porządnie od majdanu, więc i wypadki takich schwytań na gorącym uczynku bywały bardzo rzadkie. Pięć kopiejek, niewątpliwie, zapłata śmiesznie mała, nawet w ostrogu; uderzała mnie zawsze w ostrogu surowość i bezlitosność najmujących, tak w tym, jak i w innych razach. „Wziąłeś pieniądze, więc służ!” — to był argument nieznoszący żadnego sprzeciwu. Najmujący za pieniądz, który dawał najemnikowi, brał wszystko, co mógł wziąć od niego, i szczerze uważał się za jego dobroczyńcę. Hulaka, pijany, rzucający pieniądze na prawo i lewo bez rachunku, takiego posługacza swojego oszukiwał w zapłacie; zauważyłem to w niejednym ostrogu, przy niejednym majdanie.

Powiedziałem już, że w kazarmie prawie wszyscy siedli do jakichś zajęć; prócz graczy było nie więcej niż pięciu ludzi zupełnie próżnujących; ci też zaraz położyli się spać. Moje miejsce na narach wypadło przy samych drzwiach. Z drugiej strony moich nar, głowa o głowę ze mną, mieścił się Akim Akimycz. Do godziny dziesiątej czy do jedenastej pracował, kleił jakąś różnokolorową chińską latarkę, którą zamówiono u niego w mieście za dobrą cenę. Latarki robił po mistrzowsku, pracował metodycznie, nie odrywając się od pracy; kiedy ją zaś ukończył, to starannie sprzątnął wszystko, rozesał swój materacyk, pomodlił się i przyzwicie ułożył się do snu. Przyzwitość, porządek posuwał do najdrobniejszego pedantyzmu i oczywiście musiał się uważać za bardzo rozumnego człowieka, jak wszyscy ludzie tępego umysłu i ograniczeni. Nie podobał mi się od pierwszego dnia, chociaż, pamiętam, wiele tego pierwszego dnia rozmyślałem nad nim i najbardziej dziwiłem się temu, że taki człowiek, zamiast mieć powodzenie w życiu, znalazł się w ostrogu. W dalszym ciągu wypadnie mi nieraz jeszcze mówić o Akimie Akimyczu.

Ale opiszę pokrótce skład całej kazarmy. Miałem w niej żyć wiele lat i wszystko to mieli być moi współmieszkańcy, towarzysze. Łatwo zrozumieć, że wpatrywałem się w nich z wielką ciekawością. Na lewo od mojego miejsca na narach mieściła się gromadka kaukaskich górali, zesłanych po większej części za grabież z rozmaitym terminem kary. Było tam: dwóch Lezginów⁷⁵, jeden Czeczeniec, trzech dagestańskich Tatarów. Czeczeniec był chmurną i ponurą istotą; prawie z nikim nie mówił i patrzył ciągle dookoła z nienawiścią, spode łba i z jadowitym, gniewnie szyderczym uśmiechem. Jeden z Lezginów był to już starzec, z długim, cienkim garbatym nosem, z postaci zbój skończony. Za to drugi, Nurra, od pierwszego dnia katorgi wywarł na mnie najmiłsze, najprzychylniejsze wrażenie. Był to człowiek jeszcze niestary, wzrostu niewysokiego, zbudowany jak Herkules, jasny blondyn z jasnobłękitnymi oczami, z zadartym nosem, z twarzą Czuchonki⁷⁶ i z krzywymi nogami z powodu ciągłej jazdy konnej w poprzednim życiu. Miał całe ciało zrąbane, pokaleczone bagnietami i kulami. Na Kaukazie należał do spokojnych górali, ale nieustannie po kryjomu przejeżdżał do niepodległych i stąd razem z nimi czynił napady na Rosjan. W katordze wszyscy go lubili. Był zawsze wesół, uprzejmy dla wszystkich, pracował bez szemrania, spokojny i pogodny, choć często z oburzeniem spoglądał na brzydotę i podłość areztanckiego życia i gniewem zapalał się na każde złodziejstwo oszustwo, pijaństwo, w ogóle na każdą nieuczciwość, ale kłótni nie wszczynał, tylko odwracał się z oburzeniem. Sam w przeciągu całej swej katorgi nic nie ukradł, nikomu nic złego nie wyrządził. Był nadzwyczajnie pobożny. Świącie wypełniał przepisy swej religii, odmawiał modlitwy, w posty przed mahometańskimi świętami pościł jak fanatyk i całymi nocami modlił się, stojąc. Wszyscy go lubili i wierzyli w jego uczciwość. „Nurra-lew”, mawiali areztanci i tak mu pozostała nazwa lwa. Był on najświęciej przekonany, że po upływie naznaczonego terminu katorgi wróci do domu na Kaukaz, i żył tylko tą nadzieją. Myślę, że umarłby, gdyby mu tę nadzieję odjęto.

Już w dniu mego przybycia do ostrogu uderzyła mnie ta postać. Niepodobna było nie zwrócić uwagi na dobrą, współczującą twarz pośród złych, ponurych i szyderczych twarzy innych areztantów. W ciągu pierwszej pół godziny po przybyciu moim do katorgi, przechodząc koło mnie, poklepał mnie po ramieniu dobrodusznie, śmiejąc mi się w oczy.

⁷⁵Lezgini — kaukaska grupa etniczna żyjąca w pld.-wsch. Dagestanie; w XIX w. podbici przez Rosję. [przypis edytorski]

⁷⁶Czuchna a. Czuchoncy — dawna rosyjska nazwa ludności fińskiej, zamieszkującej okolice Sankt Petersburga. [przypis edytorski]

Nie mogłem z początku zrozumieć, co to miało znaczyć. Po rosyjsku zaś bardzo źle mówił. Wkrótce potem znowu podszedł ku mnie i uśmiechając się po przyjacielsku, uderzył mnie po ramieniu. I potem znów jeszcze i jeszcze, i tak to powtarzało się przez trzy dni. Chciał przez to wyrazić, jak się domyśliłem i dowiedziałem potem, że żałuje mnie, że czuje, jak mi ciężko zaznajomić się z ostrogiem, że chce okazać mi swoją przyjaźń, dodać mi ducha i zapewnić mnie o swojej opiece. Dobry i naiwny Nurra!

Dagestańskich Tatarów było trzech; wszyscy rodzeni bracia. Dwaj z nich byli już w podeszłym wieku, ale trzeci, Alej, miał nie więcej nad dwadzieścia dwa lat, a z twarzy wydawał się jeszcze młodszy. Jego miejsce na narach było obok mnie. Twarz jego prześliczna, otwarta, rozumna, a zarazem dobrodusznie naiwna, od razu pociągnęła ku niemu moje serce i niezmiernie rad byłem, że jego, a nie kogo innego los dał mi za towarzysza. Cała dusza malowała się na jego pięknej, można powiedzieć, prześlicznej twarzy. W uśmiechu jego było tyle zaufania, tyle dziecinnej prostoty; wielkie czarne oczy były tak miękkie, tak uprzejme, że czułem zawsze szczególne zadowolenie, nawet ulgę w smutku i tęsknocie, patrząc na niego. Mówię to bez przesady. W Dagestanie jego starszy brat (ma pięciu braci, z których dwaj dostali się do jakichś kopalń) kazał mu wziąć szablę, siąść na koń i jechać razem z braćmi na jakąś wyprawę. Szacunek dla starszych w rodzinach górali kaukaskich jest tak wielki, że młodzieniec nie tylko się nie ośmielił, ale nawet nie pomyślał o tym, aby zapytać braci, dokąd się udają. Ci zaś nie uważali nawet za rzecz potrzebną uwiadomić go o tym. Jechali na rozbój, aby zasadzić się na pewnego bogatego kupca ormiańskiego i go ograbić. Plan ich powiódł się; wycięli konwój, zabili Ormianina, a towar jego zagrabili. Ale rzecz wykryto; wzięto ich wszystkich szczęście, sądzono, dowiedziono winy i ukarano, zsyłając na Sybir do ciężkich robót. Dla Aleja sąd o tyle tylko okazał się łaskawy, że mu zmniejszono trwanie kary; zesłany był na cztery lata.

Bracia bardzo go kochali, i to bardziej ojcowską niż braterską miłością. Był on dla nich pociechą na wygnaniu; zazwyczaj chmurni i posępni, uśmiechali się zawsze, patrząc na niego, a gdy z nim mówili (a mówili z nim bardzo mało, jak gdyby uważając go ciągle za malca, z którym nie ma co mówić o rzeczach poważnych), to surowe ich twarze wyglądały się i domyślałem się, że mówią z nim zapewne o czymś żartobliwym, prawie dziecinnym, wiem przynajmniej, że zawsze, wysłuchawszy jego odpowiedzi, spoglądali na siebie i uśmiechali się dobrodusznie. Sam zaś on prawie nigdy nie śmiał zaczynać rozmowy z nimi, tak wielki był jego szacunek dla nich. Trudno zrozumieć, jak ten chłopak mógł przez cały czas swej katorgi zachować taką miękkość serca, wykształcić w sobie tak surową uczciwość, taką serdeczność, nie zgrubić, nie zepsuć się. Była to zresztą natura silna i twarda, pomimo całej swej pozornej miękkości. Poznałem go potem dobrze. Był czysty jak czysta dziewczyna, a wszelki brzydki, cyniczny, podły lub niesprawiedliwy uczynek zapalał ogień oburzenia w jego prześlicznych oczach, które stawały się z tego powodu jeszcze piękniejsze. Ale unikał sporów i kłótni, choć w ogóle nie należał do takich, którzy pozwalają krzywdzić siebie bezkarnie i umiał się bronić. Ale z nikim się nie kłócił; wszyscy go lubili i głaskali.

Ze mną z początku był tylko grzeczny. Powoli zacząłem wchodzić z nim w rozmowy i w kilka miesięcy nauczył się doskonale mówić po rosyjsku, do czego bracia jego nie doszli przez cały czas swej katorgi. Wydał mi się nadzwyczaj rozumnym chłopakiem, nadzwyczaj skromnym i delikatnym, i nawet takim, który już wiele przemyślał. W ogóle powiem zawczasu: uważam Aleja za istotę bardzo niezwykłą i wspominam o spotkaniu się z nim jako o jednym z lepszych zdarzeń w moim życiu. Są dusze tak piękne z natury, tak bogato przez Boga obdarzone, że nawet myśl o tym, aby się mogły zmienić kiedykolwiek na gorsze, wydaje się niemożliwa. O takich ludzi można być zawsze spokojnym. I ja jestem spokojny o Aleja. Gdzie to on jest teraz?...

Pewnego razu, już dość dawno po przybyciu do ostrogu, leżałem sobie na narach i myślałem o czymś ciężkim. Alej, zawsze pracowity i zatrudniony, tym razem niczym nie był zajęty, choć do snu było jeszcze za wcześnie. Ale mahometanie mieli wówczas jakieś swoje święto i nie pracowali. Alej leżał, założywszy ręce na głowę, i także o czymś myślał. Nagle spytał mnie:

— Cóż, bardzo ciężko ci teraz?

Ciekawie objąłem go wzrokiem; dziwne mi się wydało to nagle prosto z mostu pytanie ze strony Aleja, zawsze delikatnego, rozważnego, rozumnego sercem; ale wpatrzywszy się uważniej, dostrzegłem w jego twarzy tyle tęsknoty, tyle męki wywołanej wspomnieniami, że natychmiast zrozumiałem, że to jemu samemu było bardzo ciężko w tej właśnie chwili. Wypowiedziałem mu swój domysł. Westchnął i smutnie się uśmiechnął. Lubiłem jego uśmiech, zawsze czuły i serdeczny. Prócz tego, uśmiechając się, pokazywał dwa rzędy perłowych zębów, których piękności mogłaby mu pozazdrościć najpiękniejsza kobieta na świecie.

— Co, Alej, tyś na pewno myślał o tym, jak to u was w Dagestanie obchodzą to święto? Pewno tam dobrze?

— Tak — odpowiedział z uśmiechem i oczy mu zaświeciły. — A skądże wiesz, że ja o tym myślę?

— Jakżeby nie wiedział! Co, tam pewno lepiej niż tutaj?

— O, po co ty to mówisz...

— Zapewne u was teraz kwiaty kwitną, świat jak raj?

— O-och, nie mów lepiej. — Był silnie wzburzony.

— Posłuchaj, Alej, miałaś siostrę?

— Miałem, a na co ci wiedzieć?

— Jeżeli do ciebie podobna, musiała być krasawica⁷⁷.

— Co do mnie! Ona jest tak piękna, że piękniejszej nie ma w całym Dagestanie. Ach, jaka cudna moja siostra! Tyś nie widział takiej. I matka moja była piękna.

— A kochała cię matka?

— Ach! Co ty mówisz! Ona pewno umarła teraz z tęsknoty za mną. Ja byłem jej ukochanym synem. Kochała mnie więcej niż moją siostrę, więcej niż wszystkich... Dziś do mnie w nocy przychodziła i płakała nade mną.

Zamilkł i tego wieczora nie powiedział już ani słowa. Ale od tego czasu szukał zawsze rozmowy ze mną, jakkolwiek sam, przez szacunek, który nie wiem dlaczego czuł do mnie, nigdy pierwszy nie zaczynał mówić. Za to bardzo był rad, gdy ja do niego przemówiłem. Rozpytywałem się go o Kaukaz, o jego dawniejsze życie. Bracia nie bronili mu rozmawiać ze mną, było im to nawet przyjemne. Widząc zaś, że coraz więcej lubię Aleja, stali się daleko łaskawszy dla mnie.

Alej pomagał mi w robocie, świadczył mi, jakie mógł, przysługi w kazarmach i widać było, że sprawia mu to wielką przyjemność, gdy czymkolwiek może mi przynieść ulgę, dogodzić mi, a w tej chęci dogodzenia nie było nic poniżającego, ani śladu interesowności, tylko ciepłe, przyjacielskie uczucie dla mnie, którego on już nie ukrywał. Prócz innych posiadał on wiele zdolności mechanicznych: nauczył się porządnie szyć bieliznę, robić buty, a potem, ile mógł, nauczył się i stolarstwa. Bracia chwalili go, dumni byli z niego.

— Posłuchaj, Aleju — powiedziałem raz do niego — dlaczego ty się nie nauczysz czytać i pisać po rosyjsku? Czy ty wiesz, jak ci się to może przydać potem tu, w Syberii?

— Bardzo chcę. Ale kto mnie nauczy?

— Czyż tu mało piśmiennych! Zresztą jeśli chcesz, ja cię nauczę.

— Ach, naucz, proszę cię! — i podniósł się nieco na narach i błagalnie złożył ręce, patrząc na mnie.

Zabraliśmy się do nauki zaraz następnego wieczora. Miałem rosyjski przekład Nowego Testamentu, książkę niezabronioną w ostrogu⁷⁸. Bez elementarza, na tej jedynej tylko książce Alej w ciągu kilku tygodni nauczył się doskonale czytać. Po trzech miesiącach nauki zupełnie już rozumiał literacki język. Uczył się z zapałem, z uniesieniem.

Pewnego razu przeczytaliśmy razem z nim całe Kazanie na Górze⁷⁹. Zauważyłem, że niektóre ustępy Alej wygłaszał z jakimś szczególnym wyrazem, i spytałem go, czy podoba mu się to, co przeczytał.

Bystro spojrzął na mnie i rumieniec twarzy mu oblał.

⁷⁷krasawica — piękność, piękna kobieta. [przypis edytorski]

⁷⁸Miałem rosyjski przekład Nowego Testamentu, książkę niezabronioną w ostrogu — osobom skazanym za przestępstwa polityczne zarządzanie centralne zakazywało wszelkich książek poza religijnymi. [przypis edytorski]

⁷⁹Kazanie na Górze — zawarty w *Ewangelii Mateusza* (rozdz. 5–7) zbiór powiedzeń i nauk przypisywanych Jezusowi, streszczających jego nauczanie moralne; jedną z jego najbardziej znanych części jest tzw. *Osiem błogosławieństw*. [przypis edytorski]

— Ach, tak! — odpowiedział. — Tak, Isa⁸⁰ święty prorok, Isa boskie słowa mówił. Jakie to piękne!

— Cóż ci się najwięcej z tego podoba?

— A to gdzie on mówi: przebaczej, kochaj, nie krzywdź i wrogów kochaj. Ach, jak pięknie on mówi!

Obrócił się do braci, którzy przysłuchiwali się naszej rozmowie, i z zapałem zaczął coś mówić do nich. Oni długo i poważnie rozmawiali ze sobą i przytakiwali głowami. Potem z uroczyście uprzejmym, to jest z prawdziwie muzułmańskim uśmiechem (który ja tak lubię i mianowicie lubię urozystość tego uśmiechu) zwrócili się do mnie i potwierdzili, że Isa był Boży prorok, i że on czynił wielkie cuda; że zrobił z gliny ptaka, tchnął w niego i ptak poleciał...⁸¹ i że to i u nich w księgach jest zapisane. Mówiąc to, mieli głębokie przekonanie, że robią mi wielką przyjemność, wychwalając Isę, a Alej czuł się szczęśliwy, że bracia jego zdobyli się na zrobienie mi tej przyjemności.

Nauka pisania poszła nam również bardzo szczęśliwie. Alej postarał się o papier (nie pozwolił mi kupić za swoje pieniądze), pióra, atrament, i w jakieś dwa miesiące nauczył się doskonale pisać. Uderzyło to nawet jego braci. Duma i zadowolenie ich nie miały granic. Nie wiedzieli, jak mi za to podziękować. Na robotach, jeżeli zdarzyło się nam pracować razem, oni kolejno pomagali mi i uważali to sobie za szczęście. Nie mówię już o Aleju. Ten kochał mnie może tak, jak braci. Nigdy nie zapomnę chwili, kiedy wychodził z ostrogu. Wyprowadził mnie za kazarmę i tam rzucił mi się na szyję i zapłakał. Nigdy mnie przedtem nie całował i nigdy nie płakał. „Tyś dla mnie tyle zrobił, tyle zrobił — mówił do mnie — że ojciec i matka tyle by mi nie zrobili: tyś mnie człowiekiem zrobił, Bóg ci zapłaci, a ja cię nigdy nie zapomnę”...

Gdzież on, gdzie jest teraz mój dobry, miły Alej...

Oprócz Czerkiesów była jeszcze w kazarmach naszych cała gromada Polaków, która stanowiła zupełnie odrębną rodzinę, prawie niemającą stosunków z innymi aresztantami. Powiedziałem już, że w zamian za swoją wyłączność, za swą nienawiść ku katorżnikom rosyjskim, byli oni przez wszystkich nienawidzeni. Były to natury zmęczone, chore; było ich sześcioro. Niektórzy posiadali i wykształcenie; o nich powiem potem osobno i szczegółowo. Od nich to niekiedy w ostatnich latach mego życia w ostrogu otrzymywałem trochę książek. Pierwsza książka, którą przeczytałem, wywarła na mnie silne, dziwne, szczególne wrażenie. O tych wrażeniach powiem kiedyś oddzielnie. Dla mnie są one niezmiernie godne uwagi i jestem pewny, że dla wielu będą zupełnie niezrozumiałe. Nie doświadczysz, nie można sądzić o pewnych rzeczach. Powiem tylko to jedno: że moralne cierpienia cięższe są od wszelkich mąk fizycznych. Człowiek prosty, wszedłszy do katorgi, znajduje się w swoim towarzystwie, może nawet w bardziej rozwiniętym umysłowo. Utracił naturalnie wiele — rodzinę, swoich, wszystko, ale sfera pozostała ta sama. Człowiek wykształcony, podlegający według praw jednej karze z prostakiem, traci często nierównie więcej od niego. Musi przytłumić w sobie wszystkie potrzeby, wszystkie swoje przyzwyczajenia; przejść w sferę dla siebie niewystarczającą, nauczyć się oddychać innym powietrzem... Jest to ryba wyciągnięta na piasek... I często kara, dla wszystkich według prawa jednakowa, staje się dla niego dziesięciokrotnie bardziej męcząca. Jest to rzecz niewątpliwa... nawet gdyby chodziło tylko o materialne przyzwyczajenia, których on zrzec się musi.

Ale Polacy stanowili odrębną jednolitą gromadkę. Było ich sześcioro i mieszkali razem. Ze wszystkich katorżników w naszej kazarmie lubili tylko jednego Żyda i lubili go może za to, że ich bawił. Naszego Żydka zresztą lubili i inni aresztanci, wszyscy zaś bez wyjątku śmiali się z niego. On był u nas jeden i teraz nie mogę wspomnieć o nim bez śmiechu. Ile razy spojrzałem na niego, zawsze przychodził mi na myśl Jankiel, Żydek Gogola⁸² z *Tarasa Bulby*, który rozebrawszy się, aby się udać na spoczynek ze swoją Ży-

Kara

Żyd

⁸⁰Isa — arabskie i muzułmańskie imię Jezusa, uznawanego w islamie za jednego z proroków. [przypis edytorski]

⁸¹Isa [Jezus] zrobił z gliny ptaka, tchnął w niego i ptak poleciał... — cud wzmiankowany w trzeciej i piątej surze Koranu, opisany także w *Ewangeliu Dzieciństwa Tomasza*, chrześcijańskim tekście z II w., opowiadającym o cudach, jakich dokonał Jezus w dzieciństwie. [przypis edytorski]

⁸²Gogol, *Nikolaj* (1809–1852) — rosyjski pisarz, publicysta; sięgał po groteskę i fantastykę; jego satyryczna twórczość miała wpływ na rozwój realizmu krytycznego; autor m.in. komedii *Rewizor* (1836), powieści *Martwe*

dówką do jakiejś szafy, stał się przerażająco podobny do pisklęcia kury. Isaj Fomicz był jak dwie krople wody podobny do oskubanego kurczęcia. Był to człowiek już niemłody, lat około pięćdziesięciu, małego wzrostu i małej siły, przebiegły, ale stanowczo głupi. Zuchwały i arogant, był jednocześnie ogromnym tchórzem. Cały pokryty był zmarszczkami, na czole zaś i policzkach miał piętna, które mu wyciśnięto na rusztowaniu. Nie mogłem wcale pojąć, jak on mógł wytrzymać sześćdziesiąt knutów. Do ostrogu przyszedł jako obwiniony o zabójstwo. Miał u siebie receptę od jakiegoś doktora, której mu Żydkowie dostarczyli zaraz po sprowadzeniu go z rusztowania. Była to recepta na maść, która miała w dwa tygodnie usuwać piętna z ciała. Użyć tej recepty w ostrogu nie śmiał i wyczekiwał dwunastoletniego terminu swej katorgi, po którym wyszedłszy *na posielenie*⁸³, miał stanowczy zamiar skorzystania z recepty. „Inaczej nie będę się mógł żenić — powiedział mi pewnego razu — a ja koniecznie chcę się ożenić”. Żyłem z nim w najlepszej przyjaźni. Był zawsze w wybornym usposobieniu. W katordze miał życie lekkie, bo był z rzemiosła jubilerem, miał mnóstwo obstalunków⁸⁴ z miasta i tym sposobem uwolnił się od ciężkich robót. Rozumie się, że był zarazem lichwiarzem i na procenty i zastaw dawał całej katordze pieniądze. Przybył on do katorgi przede mną i jeden z Polaków opisywał mi szczegółowo jego przybycie. Jest to arcyśmieszna historia, którą później opowiem; o Isaju Fomiczu jeszcze nieraz wypadnie mi mówić.

Reszta mieszkańców naszej kazarmy składała się z czterech starowierców, starych i w Piśmie Świętym biegłych, między którymi był i starzec ze starodubowskich slobód; z dwóch, trzech posępnych Małorusinów, z młodziutkiego katorżnika, z delikatną twarzą i cienkim noskiem, który miał dwadzieścia trzy lata, a osiem dusz z tego świata spędził, z gromadki fałszerzy pieniędzy, z których jeden był żartownisiem, bawiącym całą naszą kazarmę, na koniec z kilku pochmurnych i ponurych aresztantów, ogolonych i oszpeconych, milczących i zawistnych, z nienawiścią spode łba patrzących wkoło siebie i mających postanowienie tak samo chmurzyć się, milczeć z nienawiścią przez długie jeszcze lata, przez cały ciąg swej katorgi. Wszystko to tylko mignęło przede mną w ten pierwszy, rozpaczliwy wieczór mojego nowego życia, mignęło pośród dymu i kopcia, wśród obelg i niewypowiedzianego cynizmu, w duszącym powietrzu, przy dźwięku kajdan, wśród przekleństw i bezwstydných śmiechów. Położyłem się na gołych narach, podłożywszy ubranie pod głowę (poduszki jeszcze nie miałem), nakryłem się kożuchem, ale długo nie mogłem zasnąć, chociaż byłem zmęczony i złamany wszystkimi potwornymi i niespodziewanymi wrażeniami tego pierwszego dnia. Ale nowe życie moje dopiero się zaczynało. Wiele jeszcze czekało mnie w przyszłości, o czym nigdy nie myślałem, czego nie przewidywałem...

V. PIERWSZY MIESIĄC

W trzy dni po moim przybyciu do ostrogu, kazano mi wychodzić na robotę. Bardzo pamiętny jest mi ten pierwszy dzień robót, chociaż w ciągu dnia tego nie przytrafiło mi się nic nadzwyczajnego, przynajmniej w porównaniu z tym, co było w ogóle niezwykłe w moim położeniu. Ale było to także jedno z pierwszych wrażeń, a ja ciągle jeszcze wszystkiemu chciwie się przypatrywałem. Wszystkie trzy pierwsze dni spędziłem wśród najcięższych wrażeń. „Oto koniec mojej wędrówki, jestem w ostrogu! — powtarzałem sobie co chwila. „Oto przystań moja na długie, długie lata, mój kąt, do którego wstępuję z takim niedowierzaniem, z takim chorobliwym uczuciem... A kto wie? Może po wielu latach, kiedy mi wypadnie ten kąt opuszczać, będę go jeszcze żałował!”... — dodawałem nie bez przymieszki pewnej złowrogiej uciechy, która dochodzi niekiedy do potrzeby rozdrapania własnej rany, jakby przez chęć lubowania się swoim bólem, jak gdyby rzeczywiście w odczuwaniu całej wielkości swego bólu można było znajdować rozkosz. Myśl, że mogę kiedyś pożałować tego kąta, przerażała mnie: już wtedy przeczuwałem, jak potwornie ze wszystkim oswajającą się istotą jest człowiek. Ale to było dopiero w przyszłości, a tymczasem teraz wszystko dokoła mnie było wrogie i straszne...

dusze (1842) oraz dzieła *Taras Bulba* (1835; 1842), powieści o Kozakach zaporoskich podczas konfliktu kozacko-polskiego. [przypis edytorski]

⁸³*na posielenie* (ros. *na поселение*: na osiedlenie) — tu domyślnie: zesłanie na osiedlenie, przymusowe osiedlenie na Syberii lub w innym odległym rejonie cesarstwa rosyjskiego. [przypis edytorski]

⁸⁴*obstalunek* — zamówienie, zlecenie wykonania czegoś. [przypis edytorski]

choć nie wszystko, ale tak mi się wówczas zdawało. Ta dzika ciekawość, z jaką oglądali mnie moi nowi towarzysze-katorżnicy, surowość ich obejścia z nowicjuszem-szlachcicem, który zjawił się w ich korporacji, surowość, która niekiedy dochodziła niemal do nienawiści — wszystko to do tego stopnia zmęczyło mnie, że sam już pragnąłem co prędzej roboty przymusowej, żeby co prędzej od razu poznać i zgłębić całą moją niedolę, żeby zacząć żyć tak, jak wszyscy oni, żeby wejść co prędzej w jedną kolej z nimi. Rozumie się, że wówczas jeszcze nie spostrzegłem i nie podejrzewałem wielu rzeczy, które miałem tuż pod nosem; pomiędzy objawami złowrogimi nie odgadywałem pocieszających. Zresztą widok kilku uprzejmych twarzy, z którymi w tych trzech dniach się spotkałem, na razie bardzo mnie pokrzepił. Najlaskawszy i najbardziej uprzejmy dla mnie był Akim Akimycz. Między ponurymi i nienawistnymi twarzami reszty katorżnych nie mogłem nie zauważyć kilku dobrych i wesołych. „Wszędzie są ludzie źli, a między tymi dobrzy — śpieszyłem cieszyć się tą myślą. — Kto wie? Ci ludzie może wcale niegorsi są od tych, którzy pozostali tam za ostrogiem”. Takie myśli przychodziły mi do głowy i sam trząsałem na to głową z niedowierzaniem, a tymczasem — mój Boże! — gdybym to ja wówczas wiedział, ile prawdy w nich było!

Ot, na przykład, był tu jeden człowiek, którego po wielu, wielu latach poznałem do gruntu, a tymczasem on był ze mną i ciągle koło mnie przez cały czas mej katorgi. To był aresztant Suszyłow. Jak tylko wspomniałem o katorżnikach, którzy nie byli gorsi od innych ludzi, mimo woli przyszedł on mi na myśl. Suszyłow usługiwał mi. Miałem i drugiego aresztanta do posług. Akim Akimycz z samego początku, w pierwszych dniach jeszcze, polecił mi pewnego Józefa, mówiąc, że za trzydzieści kopiejek miesięcznie będzie mi co dzień przyrządzał osobno jedzenie, jeżeli rządowego jeść nie mogę i mam środki na swoje. Józef był jednym z czterech kucharzy, których aresztanci obierali spomiędzy siebie do naszych dwóch kuchni; obranym wolno było przyjąć lub nie przyjmować wyboru, a przyjmawszy, zrzec się go choćby nazajutrz. Kucharze nie chodzili na robotę, a cała ich powinność polegała na pieczeniu chleba i gotowaniu kapusty. Zwano ich u nas nie kucharzami, ale kucharkami (*striapkami*, w rodzaju żeńskim), nie z pogardy ku nim, zwłaszcza, że na kucharzy wybierano ludzi roztropnych i o ile można było uczciwych, ale tak, dla miłego żartu, o co się kucharze nasi wcale nie obrażali. Józefa prawie ciągle obierano, prawie przez kilka lat z rzędu był ciągle *striapką* i zrzekał się tego zajęcia, kiedy mu się już bardzo przykrzyło i kiedy jednocześnie opanowywała go chętka przenoszenia wódki. Był to człowiek rzadkiej uczciwości i dobroci, chociaż dostał się tu za kontrabandę.

Był to ten sam kontrabandzista wysoki i tęgi, o którym już wspominałem; bał się wszystkiego, szczególnie różeg, spokojny był, łagodny ze wszystkimi, nie odpowiadał na zaczepki i z nikim nigdy się nie kłócił, ale pomimo swej bojaźliwości nie mógł się powstrzymać od przenoszenia wódki, jako namiętny kontrabandzista. Razem z innymi kucharzami handlował i on wódką, ale nie na taką skalę, jak Gazin, bo nie odważał się tyle, co tamten, ryzykować. Z tym Józefem żyłem bardzo zgodnie. Co się zaś tyczy środków potrzebnych do tego, aby mieć swój osobny stół, to wystarczało ich bardzo niewiele. Nie omylę się, gdy powiem, że miesięcznie wydawałem na to rubla srebrem, rozumie się, oprócz chleba rządowego i niekiedy kapuśniaku, kiedy już byłem bardzo głodny i przewyciężałem wstręt, który zresztą później prawie zupełnie przeszedł. Zazwyczaj kupowałem sobie kawałek wołowiny, po funcie na dzień, a funt wołowiny u nas w zimie kosztował grosz. Po wołowinę chodził na targ którykolwiek z inwalidów, których było w każdej kazarmie po jednym, dla przestrzegania porządku, i którzy sami dobrowolnie przyjęli na siebie obowiązek chodzenia co dzień na targ za sprawunkami dla aresztantów i nie brali za to żadnej zapłaty, chyba czasem jakąś drobnostkę. Robili to dla własnego spokoju, inaczej trudno by im było żyć w ostrogu. Tym sposobem przenosili tytoń, herbatę w ceglach, wołowinę, kołaczki i wszelkiego rodzaju inne rzeczy, chyba tylko oprócz wódki. O wódkę ich nie proszono, chociaż czasem nią częstowano. Józef przyrządzał mi przez kilka lat jednakowy zawsze kawałek smażonej wołowiny. Jak tam ona była usmażona, to inna sprawa, ale nie o to chodziło. Rzecz godna uwagi, że w ciągu kilku lat paru słów nawet nie zamieniłem z Józefem. Wiele razy próbowałem rozpocząć z nim rozmowę, ale on był jakby niezdolny do jej podtrzymania: uśmiechnie się, bywało, albo odpowie „Tak” lub „Nie” i rozmowa skończona. Dziwne wrażenie sprawiał widok tego Herkulesa siedmiolatka.

Pieniądz

Oprócz Józefa w liczbie tych, co mi usługiwali, był i Suszyłow. Nie wzywałem go i nie szukałem. On sam mnie znalazł i przykomenderował się do mnie; nie pamiętam nawet, kiedy to się stało. Zaczął pracować moją bielizną. Za kazarmami urządzona była wielka jama do zlewania pompy; nad tą jamą w kamiennych korytach prano aresztańską bieliznę. Prócz tego Suszyłow wynajdował tysiące rozmaitych pozorów, ażeby tylko zrobić mi przysługę: nastawiał mój czajnik, biegał z różnymi poleceniami, odszukiwał coś dla mnie, nosił moją kurtkę do naprawy, smarował mi buty cztery razy na miesiąc; wszystko robił gorliwie, z zakłopotaniem, jak gdyby Bóg wie jakie obowiązki ciążyły na nim, jednym słowem zupełnie związał swoje losy z moimi i wziął wszystkie moje sprawy na siebie. Nie mówił nigdy na przykład: „Macie tyle tu koszul, wasza kurtka podarta” itp., ale zawsze: „Mamy teraz tyle a tyle koszul, nasza kurtka podarta”. Patrzył mi ciągle w oczy i zdawało się, że widział w tym główne zadanie swego życia. Rzemiosła, albo jak mówią aresztanci „rękomiosła” nie miał żadnego, i zdaje się, że jedyny dochód miał ode mnie. Płaciłem mu, ile mogłem, to jest groszami, i zawsze był zadowolony. Nie mógł nie służyć komukolwiek i zdawało się, że wybrał mnie dlatego, że byłem uprzejmniejszy od innych i uczciwszy w wynagradzaniu. Był on jednym z tych, którzy nigdy nie mogli przyjść do pieniędzy i polepszyć swojego losu i którzy najmowali się do czuwania przy majdanach, stali całymi nocami w sieniach na mrozie, przysłuchując się każdemu dźwiękowi na dworze, aby uprzedzić zjawienie się plac-majora, i brali za to po pięć kopiejek srebrem bodaj czy nie za całą noc, a w razie prześlepienia tracili wszystko i odpowiadali grzbietem. Mówiłem już o nich. Charakterystyką tych ludzi — usuwać swoją osobowość wszędzie i zawsze, i omal nie przed wszystkimi, a w sprawach ogólnych odgrywać nawet nie drugorzędną, ale trzeciorzędną rolę. Wszystko to u nich już tak z natury wypływa. Suszyłow był takim nieborakiem, zupełnie bezbronny, uniżony, a nawet przybitym, chociaż u nas go nikt nie bił, ale już tak z natury przybitym. Zawsze mi go było żal, nie mogłem nawet spojrzeć na niego bez tego uczucia, ale dłaczego żal mi go było, — sam bym na to nie mógł odpowiedzieć. Rozmawiać z nim nie mogłem; on też rozmawiać nie umiał i widać było, że mu to przychodzi z wielką trudnością; ożywał się dopiero wtedy, kiedy dla zakończenia rozmowy dałem mu coś do roboty, poprosiłem, aby poszedł lub pobiegł gdziekolwiek. Przekonałem się nawet, że mu tym sprawiam przyjemność. Był on wzrostu ani wysokiego, ani małego, nie był ani ładny, ani brzydki, ani głupi, ani rozumny, trochę ospowaty, dość jasny blondyn. Nic zbyt określonego nie można było o nim powiedzieć. Jedno tylko: jak mi się zdaje, o ile mogłem się domyśleć, należał on do tego towarzystwa, co Sirotkin, i należał jedynie z powodu swego przybicia moralnego, swej bezbronności. Śmiali się z niego niekiedy aresztanci i głównie z tego powodu, że on „pomieniał się” w drodze, idąc w partii na Sybir, i pomieniał się za czerwoną koszulę i rubla srebrem. Otóż dlatego, że sprzedał się za tak nędzną zapłatę, śmiali się z niego aresztanci. Pomieniać się znaczy to zamienić się z kimś na nazwisko, a wraz z nazwiskiem na karę. Jakkolwiek dziwnym wydaje się ten fakt, jest on wszakże prawdziwy i za moich czasów istniał w całej pełni między prowadzonymi na Syberię aresztantami, uświęcony podaniami i określony pewnymi formami. Z początku nie chciałem temu wierzyć, ale w końcu trzeba było uwierzyć rzeczywistości.

Robi się to w następujący sposób. Prowadzą na przykład na Sybir partię aresztantów. Idą skazani na różne kary: i do katorgi, i do fabryk, i na posilenie; idą razem. Gdzieś na drodze, przypuśćmy w permskiej guberni, których z zesłanych zapragnie pomieniać się z drugim. Na przykład jakiś Michajłow, zabójca, czy jakiś inny ważny przestępca, chciałby się wykupić od wieloletniej katorgi, na którą jest skazany. Dajmy na to, że jest przebiegły, lis szczwany, wie, jak się brać do rzeczy; otóż wypatruje w partii jakiegoś naiwnego biedaka, skazanego na karę stosunkowo niewielką: albo do fabryk na niewiele lat, albo na posilenie, albo nawet do katorgi, ale z krótszym terminem. Na koniec znajduje Suszyłowa. Suszyłow pochodzi z ludzi dworskich i zesłany tylko na posilenie. Przeszedł już z półtora tysiąca wiorst⁸⁵, rozumie się, bez kopiejki, ponieważ Suszyłow nigdy nie może mieć kopiejki, idzie znużony, zmęczony, żywiąc się tylko rządową strawą, bez słodkiego kąska choćby przelotnego, w rządowym tylko ubraniu, wszystkim usługując za nędzne miedziaki. Michajłow zawiązuje rozmowę z Suszyłowem, schodzi się z nim, przyjaźni

⁸⁵wiorsta — dawna rosyjska jednostka długości, nieco ponad kilometr. [przypis edytorski]

się nawet, na koniec na pewnym etapie⁸⁶ poi go wódką. Wtedy to proponuje mu: czy nie chce się z nim pomieniać? Ja, mówi, jestem Michajłow, oto tak i tak, idę niby do katorgi, niby nie do katorgi, tylko do jakiegoś „osobnego oddziału”. Jest to wprawdzie katorga, ale osobna, a więc widocznie lepsza. O osobnym oddziale w czasie jego istnienia nawet władze nie wszystkie wiedziały, choćby na przykład w Petersburgu. Był to taki ukryty kącik w jednym z zakątków Syberii i tak nieludny (przy mnie było tam do siedemdziesięciu ludzi), że trudno było na ślad jego trafić. Spotykałem potem ludzi, którzy służyli w Syberii i znali ją, a pierwszy raz ode mnie dowiadywali się o istnieniu „osobnego oddziału”. W Zwodzie praw⁸⁷ jest mowa o nim w sześciu wierszach: „Urządza się przy takim to ostrogu osobny oddział dla najważniejszych przestępców, zanim zostaną otwarte w Syberii najcięższe roboty katorżne”. Nawet aresztanci należący do tego oddziału nie wiedzieli, czy są skazani na całe życie, czy do pewnego terminu. Terminu nie oznaczono, powiedziano: dopóki nie zostaną otwarte najcięższe roboty — i nic więcej, a zatem „wzdłuż po katordze”⁸⁸. Nic dziwnego, że ani Suszyłow, ani nikt z partii o tym nie wiedział, nie wyłączając i samego Michajłowa, który o osobnym oddziale miał chyba wyobrażenie, wnioskując ze swego przestępstwa, bardzo ciężkiego, za które dostał już trzy czy cztery tysiące pałek. A więc nie posłą go pewno w dobre miejsce. Suszyłow zaś szedł na posilenie; czegoż chceć lepszego? „Czy nie zechcesz się pomieniać?” Suszyłow podchmielony, dusza prosta, pełen wdzięczności dla Michajłowa, który go tak uprzejmie częstuje, więc nie śmie odmówić. A przy tym już słyszał w partii, że mieniać się można, że inni się mieniają, że zatem nie ma tu nic nadzwyczajnego i niesłychanego. Następuje ugoda. Niesumienny Michajłow, korzystając z nadzwyczajnej naiwności Suszyłowa, kupuje jego nazwisko za czerwoną koszulę i rubla srebrem, co mu też wręcza zaraz przy świadkach. Nazajutrz Suszyłow już nie pijany, ale poją go znowu, a przy tym cofać się niedobrze; otrzymany rubel już przepity, czerwona koszula niedługo potem także. Nie chcesz, więc oddaj pieniądze. A skąd Suszyłow weźmie całego rubla srebrem? Jeżeli zaś nie odda, to spółka aresztancka (*artiel*) zmuszać go będzie do oddania; tego bardzo surowo przestrzegają aresztanci. Wreszcie: obiecałeś, więc spełnij obietnicę — i na to spółka nalegać będzie. Inaczej zagryzą. Zaczną bić, może nawet zabiją, a przynajmniej zastraszą.

W istocie, gdyby *artiel* choć raz okazała w takim wypadku pobłażanie, to zwyczaj zamiany nazwisk by ustał. Jeżeli można cofać obietnicę i naruszać zawartą ugodę, wzięwszy już pieniądze, to któż zechce ją wypełniać? Jednym słowem wchodzi tu w grę ogólny interes i dlatego partia w tej sprawie jest bardzo surowa. Na koniec Suszyłow widzi, że nie wymodli sobie przebaczenia i postanawia zgodzić się zupełnie. Oznajmia się to całej partii; jeżeli potrzeba, obdarzają jeszcze i poją tych, których wypada. Tym naturalnie wszystko jedno: Michajłow czy Suszyłow pójdzie diabłu na rogi, a wódkę wypili, ugoszczono ich, więc i z ich strony język za zębami. Otóż na pierwszym etapie wywołują aresztantów po nazwisku; dochodzi do Michajłowa: „Michajłow!”. Suszyłow odzywa się: „Ja!”. „Suszyłow!” Michajłow krzyczy: „Ja!” — i poszli dalej. Nikt już więcej nie mówi o tej sprawie. W Tobolsku zesłanych sortują. „Michajłowa” na posilenie, a „Suszyłowa” pod wzmocnionym konwojem prowadzą do osobnego oddziału. Potem już wszelki protest niemożliwy; i rzeczywiście, jak dowieść prawdy? Na ile lat zaciągnie się taka sprawa? Co za nią spotkać może? Gdzie są wreszcie świadkowie? Zaprzeczają, gdyby nawet byli. Tak więc i skończyło się na tym, że Suszyłow za rubla srebrem i czerwoną koszulę dostał się do osobnego oddziału.

Aresztanci śmiali się z Suszyłowa nie dlatego, że pomieniał się (choć w ogóle dla aresztantów, którzy lżejszą karę zamienili na cięższą, żywią pogardę jako dla głupców w matnię wciągniętych), ale dlatego, że wziął za to rubla srebrem i czerwoną koszulę: zbyt już nikczemna zapłata. Zwykle za taką zamianę płaci się większymi sumami, naturalnie biorąc rzecz stosunkowo. Ale Suszyłow był tak bezbronny, tak pozbawiony indywidualności, tak nędzny w oczach wszystkich, że jakoś śmiać się z niego nie wypadało.

⁸⁶ *etap* (daw.) — miejsce postoju w czasie podróży; w carskiej Rosji: miejsce z barakami noclegowymi, gdzie przetrzymywano eskortowanych na Syberię skazańców po dniu podróży. [przypis edytorski]

⁸⁷ *Zwód praw Imperium Rosyjskiego* (*Свод законов Российской империи*) — kodeks prawa karnego i cywilnego w Imperium Rosyjskim, obowiązujący od 1835. [przypis edytorski]

⁸⁸ *wzdłuż po katordze* — ros. *вдоль по каторге*, oznaczające katorgę bezterminową, dożywotnią. [przypis edytorski]

Długośmy żyli razem z Suszyłowem, już kilka lat. Powoli przywiązał się do mnie nadzwyczajnie; nie mogłem tego nie zauważyć, więc też i ja do niego przywykłem. Ale pewnego razu — nigdy sobie tego darować nie mogę — nie spełnił jakiejś mojej prośby, a tymczasem tylko co przedtem wziął był u mnie pieniądze i byłem tak bezlitosny, powiedziałem mu: „Pieniądze, Suszyłow, bierzesz, a co zrobić potrzeba, nie robisz”. Suszyłow zamilkł, pobiegł w moim interesie, ale nagle posmutniał. Minęło dwa dni. Myślę sobie, niepodobna, żeby to moje słowa tak na niego podziałały. Wiedziałem, że jakiś aresztant domagał się od niego zwrotu groszowej pożyczki; pewno nie ma pieniędzy, a boi się poprosić mnie o nie. Trzeciego dnia mówię do niego: „Suszyłow, zdaje się, że chciałeś poprosić mnie o pieniądze dla Antona Wasiliewa? Oto są”. Siedziałem na narach: Suszyłow stał przede mną. Był, jak się zdaje, bardzo tym uderzony, że ja sam mu ofiarowałem pieniądze, sam wspominałem o jego kłopotach, tym bardziej, że w ostatnich czasach, według swego mniemania, zbyt już wiele nabrał pieniędzy u mnie, tak że nie śmiał rościć nawet, ażebym mu dał więcej. Popatrzył na pieniądze, potem na mnie, odwrócił się nagle i wyszedł. Wszystko to bardzo mnie zastanowiło. Poszedłem za nim i znalazłem go za kazarmami. Stał pod częstokołem, z twarzą zwróconą ku palom, przycisnąwszy do nich głowę i oparłszy się na ręce. „Suszyłow, co wam jest?” — spytałem go. Nie patrzył na mnie i ku swemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegłem, że gotów jest zapłakać: „Wy, Aleksandrze Piotrowiczu... myślicie — zaczął głosem urywanym i starając się patrzeć na bok — że ja wam za pieniądze... a ja... ja... e-e-ech!” Tu znów obrócił się do częstokołu, tak że stuknął się głową o niego i jak nie ryknął!... Pierwszy raz widziałem człowieka płaczącego w katordze. Zaledwie go uspokoił i choć od tego czasu jeszcze gorliwiej, jeśli to było możliwe, zaczął mi służyć i „pilnować mnie”, ale po niektórych, prawie nieuchwytnych znakach spostrzegłem, że jego serce nie mogło mi nigdy darować mojego wyrzutu. A przecież inni śmiali się z niego, kluli go przy każdej sposobności, łajali go nieraz grubo — a on żył z nimi zgodnie i w przyjaźni i nigdy się nie obrażał. Tak, bardzo trudno nieraz poznać człowieka, nawet po wielu latach znajomości!

Oto dlaczego katorga z pierwszego wejrzenia nie mogła mi się przedstawić w prawdziwej postaci, jak przedstawiła się potem. Dlatego powiedziałem, że jakkolwiek spoglądałem na wszystko chciwie, z natężoną uwagą, nie mogłem jednak dopatrzeć wielu rzeczy, które były tuż przede mną. Rzecz naturalna, uderzały mnie naprzód zjawiska wybitniejsze, ostro się zarysowujące, ale i te może pojmowane były przeze mnie niewłaściwie i zostawiały w mojej duszy jedno, ciężkie, beznadziejnie smutne wrażenie. Wiele się przyczyniło do tego spotkanie moje z A-wem, także aresztantem, który przybył na niedługo przede mną do ostrogu i który wywarł na mnie szczególnie udręczające wrażenie w pierwszych dniach po moim przybyciu do katorgi. Wiedziałem zresztą jeszcze w drodze, że spotkam się tam z A-wem. On zaprawił mi trucizną te pierwsze ciężkie czasy i spotęgował męczarnie mej duszy. Nie mogę przemilczeć o nim.

Był to najwstrętniejszy przykład, do jakiego stopnia może się człowiek poniżyć i spodlić, do jakiego stopnia może zabić w sobie wszelkie uczucie moralne, bez pracy i bez skruchy. A-w był to ów młody szlachcic, o którym już wspominałem, mówiąc, że donosił naszemu plac-majorowi o wszystkim, co się dzieje w ostrogu i był zaprzyjaźniony z jego dzieńszczykiem Fiedką. Oto krótka jego historia. Nie skończywszy nigdzie kursu nauk i pokłóciwszy się w Moskwie z rodziną, która przelękną się jego rozpustnego życia, pojechał do Petersburga i żeby zdobyć pieniądze, odważył się na pewną podłą denuncjację⁸⁹, to jest postanowił sprzedać krew dziesięciu ludzi dla niezwłocznego zaspokojenia nieugaszonej żądzy rozpusty. Życie petersburskie ze swymi cukierniami i tym podobnymi zakładami wzmogło w nim jeszcze więcej tę żądzę, tak że on, będąc człowiekiem niegłupim, odważył się na rzecz szaloną i niedorzeczną. Wykazano mu prędko kłamstwo; do swojej denuncjacji wpłatał on ludzi niewinnych, innych oszukał, i za to zesłano go na Sybir do naszego ostrogu, na lat dziesięć. Był jeszcze bardzo młody, życie dla niego dopiero się zaczynało. Zdawałoby się, że tak straszliwa zmiana w jego losie powinna nim wstrząsnąć, wywołać jakąś reakcję w jego naturze, jakiś przełom. Ale on przyjął swój nowy los najspokojniej, bez najmniejszej nawet odrazy, nic go to nie wzburzyło, nic go nie przeraziło, chyba tylko konieczność pracowania i rozstania się z ulubionymi siedli-

⁸⁹denuncjacja — doniesienie władzom o popełnieniu przez kogoś wykroczenia. [przypis edytorski]

skami w Petersburgu. Zdało mu się nawet, że stanowisko katorżnika rozwiązało mu ręce do większych jeszcze podłości. „Katorżnikiem zostałem, więc katorżnikiem będę; skorom katorżnik, więc nie ma wstydu być podłym”. Dosłownie to było jego mniemanie. Wspominam o tej brzydkiej istocie jako o fenomenalnym zjawisku. Kilka lat przeżyłem pośród zabójców, rozpustników, jawnych złoczyńców, a jednak mówię stanowczo, że nigdy w życiu nie spotykałem takiego zupełnego upadku moralnego, takiego zepsucia, takiej podłości jak w A-wie. Mieliśmy ojcobójcę ze szlachty; wspominałem już o nim; ale przekonałem się po wielu rysach i faktach, że i ten był nierównie szlachetniejszy i bardziej ludzki od A-wa. W moich oczach przez cały czas mego życia w ostrogu A-w był jakimś kawałem mięsa z zębami i żołądkiem, z nieugaszoną żądzą najgrubszych, zwierzęcych, cielesnych rozkoszy, który dla zaspokojenia tej żądzy w czymkolwiek, gotów był z najzimniejszą krwią zabić, zarżnąć, słowem gotów na wszystko, byle tylko końce były schowane. Nic tu nie przesadzam; poznałem dobrze A-wa. To był przykład, do czego może dojść cielesna strona człowieka, niepowstrzymana wewnątrz żadną normą, żadnym prawem. Z jakimże wstrętem patrzyłem na jego wiecznie szydery uśmiech! To był potwór, moralny Quasimodo⁹⁰. Trzeba dodać do tego, że był przebiegły i rozumny, przystojny, trochę nawet wykształcony i miał zdolności. „Nie, lepszy pożar, lepszy mór i głód niż taki człowiek w społeczeństwie!”

Powiedziałem już, że w ostrogu tak się wszystko spodliło, że szpiegostwo i donosy kwitły i aresztanci wcale się o to nie gniewali. I owszem, z A-wem wszyscy byli w bardzo przyjacielskich stosunkach, daleko przychylniejsi dla niego niż dla nas. Łaskawość okazywana mu przez naszego pijanego majora dodawała mu w ich oczach znaczenia i wagi. Między innymi zapewnił on majora, że może malować portrety (aresztantów zapewniał, że był porucznikiem gwardii), i ten zażądał, aby go wysyłano na robotę do jego domu, dlatego, rozumie się, aby mógł zdejmować jego portret. Tutaj to A-w zeszedł się z dieńszczykiem Fiedką, który miał nadzwyczajny wpływ na swego pana, a stąd na wszystkich i na wszystko w ostrogu. A-w szpiegował nas na żądanie majora, a ten, kiedy upił się i bił go po twarzy, nazywał go szpiegiem i donosicielem. Zdarzało się, i to często, że wnet po takiej scenie major sadowił się na krześle i rozkazywał A-wowi dalej wykańczać portret. Zdaje się, że nasz major naprawdę wierzył, że A-w był znakomitym artystą, bodaj nie Briułowem⁹¹, o którym i on coś słyszał, pomimo to wszakże przyznawał sobie prawo bić go po twarzy, bo „choć ty teraz taki sam artysta, ale katorżny, a ja, choćbyś ty był nad-Briułow, jestem twój naczelnik, a więc co zechcę, to i zrobię z tobą”. I tak kazał A-wowi zdejmować sobie buty, wynosić różne wazy z sypialni, a mimo to nie mógł przez długi czas pozbyć się tej myśli, że A-w jest wielkim artystą. Portret ciągnął się bez końca, rok prawie. Na koniec major domyślił się, że portret nie zbliża się do końca, a przeciwnie, z każdym dniem staje się mniej podobny do niego, rozgniewał się, obił artystę i zesłał go za karę do ostrogu do robót najgrubszych. A-w widocznie żałował tego, przykro mu było rozstawać się z próżniaczym życiem, z potrawami podawanymi sobie z majorskiego stołu, z przyjacielem Fiedką i ze wszystkimi przysmakami, które oni sobie we dwóch na majorskiej kuchni przyrządzali.

Z oddaleniem A-wa major przestał przynajmniej prześladować M-kiego, aresztanta Polaka, na którego A-w ciągle wygadywał, a oto z jakiego powodu. M. w chwili przybycia A-wa do ostrogu, był sam jeden. Było mu bardzo ciężko; nie miał nic wspólnego z innymi aresztantami, patrzył na nich z przestrachem i obrzydzeniem, nie spostrzegał w nich nic, co by mogło przedstawić ich w korzystniejszym świetle i zbliżyć go do nich, i nie miał z nimi stosunków. Ci płacili mu za to nienawiścią. W ogóle w ostrogu położenie ludzi podobnych do M. jest okropne. Dlaczego A-w dostał się do ostrogu, o tym M. nie wiedział. Przeciwnie A-w, dowiedziawszy się, z kim ma sprawę, natychmiast zapewnił go, że jest zesłany za coś wręcz przeciwnego denuncjacji, prawie za to, za co i M. był zesłany. M. ogromnie ucieszył się, znalazłszy towarzysza, przyjaciela. Chodził koło niego, pocieszał go w pierwszych dniach katorgi, przypuszczając, że musi on wiele cierpieć, oddał

⁹⁰Quasimodo — postać literacka, bohater powieści Victora Hugo *Katedra Marii Panny w Paryżu*: dzwonnik z Notre-Dame, uosobienie zniekształcenia i brzydoty. [przypis edytorski]

⁹¹Briułow, Karł Pawłowicz (1799–1852) — malarz rosyjski, przedstawiciel klasycyzmu i romantyzmu, autor obrazów historycznych, wybitny portrecista; profesor petersburskiej Akademii Sztuk Pięknych. [przypis edytorski]

mu swoje ostatnie pieniądze, karmił go, podzielił się z nim najniezbędniejszymi rzeczami. Ale A-w natychmiast poczuł ku M. nienawiść, za to mianowicie, że ten był szlachetny, że z takim wstrętem patrzył na każdą niskość, a i za to, że on sam był zupełnie niepodobny do M. I wszystko, co M. w rozmowach swoich z nim powiedział o ostrogu i majorze, wszystko to A-w przy pierwszej okazji pośpieszył donieść majorowi. Major straszliwie znienawidził za to M-kiego i gnębił go, i gdyby nie wpływ komendanta, doprowadziłby go do nieszczęścia. A-w zaś nie tylko nie był zmieszany, gdy potem M. dowiedział się o jego podłości, ale nawet lubił spotykać się z nim i z szyderstwem spoglądać na niego. Sprawiało mu to widoczną przyjemność. Sam M. wskazywał mi to kilka razy. Ta nikczemna istota uciekla potem z innym aresztantem i z konwojowym, ale o tej ucieczce potem opowiem. Z początku bardzo się i do mnie podlizywał, myśląc, że nie słyszałem o jego historii. Powtarzam, on mi zatruł pierwsze dni katorgi jeszcze większą boleścią. Przeraziłem się tej otchłani podłości i nikczemności, w którą mnie wtrącono, w której ocknąłem się. Myślałem, że wszystko tu takie podłe i nikczemne. Ale myliłem się: sądziłem o wszystkich po A-wie.

Wciągu tych trzech dni włóczyłem się w ciężkim smutku po ostrogu, leżałem na swoich narach; pewnemu aresztantowi, któremu można było zaufać, a którego mi polecił Akim Akimycz, dałem szyć koszulę z wydanego mi płótna rządowego, urządziłem sobie, za radą i naleganiem Akima Akimycza, składany materacyk (z wojłoku obszytego płótnem), nadzwyczajnie cieniutki, jak blin⁹², i poduszkę, wypchaną sierścią i dla nieprzyzwyczajonego strasznie szorstką. Akim Akimycz gorliwie się zajmował urządzaniem dla mnie tych wszystkich rzeczy i sam brał w tym urządzaniu udział, własnoręcznie zszył dla mnie kołdrę ze szmat starego sukna rządowego, zebranego z podartych pantalonów⁹³ i kurtek, które kupiłem u innych aresztantów. Rządowe rzeczy po upływie terminu noszenia pozostawiano na własność aresztantowi; sprzedawano je natychmiast tuż w ostrogu i rzecz najbardziej znoszona znajdowała nabywcę.

Wszystkiemu temu z początku się dziwiłem. W ogóle był to czas pierwszego mego zetknięcia się z prostym ludem. Ja sam nagle stałem się takim prostym człowiekiem, takim samym katorżnym, jak i oni. Ich zwyczaj, pojęcia i opinie stały się jakby moimi, przynajmniej zewnątrz, według prawa, choć ich w rzeczywistości nie podzielałem. Dziwiło mnie to i przygnębiało, jak gdybym nie podejrzewał przedtem nic podobnego i nie słyszał o tym, pomimo iż wiedziałem i słyszałem. Ale rzeczywistość sprawia zupełnie inne wrażenie niż to, co się wie tylko, o czym się słyszy. Czy mogłem, na przykład, kiedykolwiek przedtem choć przypuszczać, że takie stare łachmany mogą być uważane za rzeczy? A jednak z tych to starych łachmanów zszyłem sobie kołdrę! Trudno sobie nawet wyobrazić, jakiego gatunku było sukno przeznaczone na odzież aresztancką. Z pozoru w istocie było ono podobne do grubego sukna żołnierskiego, ale dość je było trochę ponosić, a rozlaźliło się niemiłosiernie. Prawda, sukienne ubranie dawano tylko na termin roczny, ale i do tego terminu trudno je było donosić. Aresztant pracuje, dźwiga na sobie ciężary; odzież obciera się i obdziera się prędko. Kozuchy zaś wydawano na trzy lata i w ciągu tego czasu służyły one zwykle i za odzież, i za kołdrę, i za posłanie. Ale kozuchy są mocne, chociaż nietrudno było widzieć na kimś przy końcu trzeciego roku, to jest terminu noszenia, kozuch z łatą płócienną. Nie zważając na to, nawet bardzo znoszone kozuchy po upływie naznaczonego dla nich terminu sprzedawały się po czterdzieści srebrnych kopiejek. Niektóre zaś, co się lepiej zachowały, sprzedawano za sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt, a w katordze były to już wielkie pieniądze.

Pieniądze — mówiłem już o tym — miały w ostrogu ogromne znaczenie, były potęgą. Stanowczo można twierdzić, że aresztant, który miał w katordze choć trochę pieniędzy, dziesięć razy mniej cierpiał od tego, który nie miał ich wcale, chociaż ten ostatni otrzymywał wszystko od rządu i po co mu zatem pieniądze? — jak rozumowała nasza władza więzienna. I znowu powiadam, że gdyby aresztanci pozbawieni byli wszelkiej możliwości mieć swoje pieniądze, to albo dostawaliiby obłąkania, albo marliby jak muchy (pomimo że mieli wszystkie potrzeby zaopatrzone), albo by puścili się na niesłychane przestępstwa — jedni z nudy, drudzy — aby co prędzej śmierć ściągnąć na siebie albo

⁹²blin — cienki placek, naleśnik. [przypis edytorski]

⁹³pantalony (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

Więzienn

Pieniądz, Więzienn, Wolność

w jakiś sposób „los odmienić” (techniczne wyrażenie). Jeżeli zaś aresztant, zdobywszy krwawym potem swoją kopiejkę, albo też odważając się dla jej zdobycia na niezwykle podstępny, połączone często ze złodziejstwem i oszustwem, zaraz potem trwoni ją niedorzecznie, z dziecinną bezmyślnością, to nie dowodzi to wcale, że on jej nie ceni, chociaż to tak wygląda na pierwszy rzut oka. Na pieniądze aresztant chciwy jest do szaleństwa i jeśli istotnie podczas hulania rzuca je jak trzaski⁹⁴, to rzuca je dla czegoś, co uważa za rzecz jeszcze wyższą o jeden stopień od pieniędzy. Cóż jest dla aresztanta wyższego od pieniędzy? Wolność lub choćby tylko mara wolności. A aresztanci — wielcy marzyciele. Powiem coś o tym później, tu tylko wspomnę, że widziałem zesłanych „na dwadzieścia lat” do katorgi, którzy bardzo spokojnie i naturalnie mówili do mnie w taki sposób: „Ano trzeba poczekać, da Bóg ukończy karę, a wtedy...”. Całe znaczenie słowa „aresztant” polega na tym, że to jest człowiek bez woli, a tracąc pieniądze, on już działa „według swej woli”. Nie zważając na wszelkie piętna, kajdany i nienawistne pale ostrokołu więziennego, które mu świat boży zasłaniają i ogradzają go jak zwierza w klatce, może on dostać wódki, to jest surowo zakazanej przyjemności, posmakować jagodowej nalewki, może niekiedy (choć nie zawsze) przekupić swoich najbliższych zwierchników, inwalidów, a nawet podoficera, którzy przez palce będą patrzali na to, że narusza prawo i dyscyplinę, może jeszcze w dodatku zucha wobec nich udawać, a zucha udawać aresztant niezmiernie lubi, to jest lubi pokazać się wobec towarzyszy i w siebie wmówić „choć na chwilę”, że ma mocy i władzy daleko więcej, niż się zdaje; — jednym słowem może nahulać się, nahłasować, narozbijać, obrazić kogoś najsilniej i dowieść mu, że on to wszystko „może”, że to wszystko „w naszej mocy”, to jest wmówić w siebie to, o czym biedakowi i pomyśleć trudno. Oto jest może, mówiąc nawiasem, przyczyna, dla której daje się powszechnie spostrzegać w aresztantach, nawet w trzeźwym stanie, skłonność do zuchowatości, do chępliwości, do komicznego i naiwnego, choćby tylko urojonego wynoszenia się. A wreszcie w całym tym hulaniu jest pewne ryzyko, a więc ma to wszystko choć dalekie podobieństwo do wolnego życia. A czego nie oddasz za wolność? Jaki milioner, gdyby mu gardło ściśnięto stryczkiem, nie oddałby wszystkich swoich milionów za jeden łyk powietrza?

Wolność, Bogactwo,
Pieniądz

Dziwią się czasem władze więzienne, że oto jakiś aresztant żył przez kilka lat spokojnie, przykładnie, że go nawet dziesiętnikiem zrobiono za chwalebne sprawowanie się, i nagle, ni stąd ni zowąd — zupełnie jakby go diabeł opętał — zahulał, nabroił, narozbijał, a niekiedy na ciężkie przestępstwo się odważył: albo na jawny brak szacunku wobec wyższej władzy, albo zabił kogoś, albo zgwałcił itp. Patrzą na niego i dziwią się. A tymczasem być może, iż całą przyczyną nagłego wybuchu w tym człowieku, od którego najmniej się można było czegoś podobnego spodziewać, jest konwulsyjne objawienie się indywidualizmu, instynktowna tęsknota za samym sobą, pragnienie zaakcentowania swej poniżonej osobowości, które nagle się w nim zbudziło i doszło w jednej chwili do gniewu, do szaleństwa, do zaćmienia rozsądku, do konwulsyjnych rzutów. W taki sposób może żywcem pochowany w grobie, przebudziwszy się tam, tłucze w wieko trumny i sili się, by je rzucić, chociaż rozsądek mógłby go pouczyć, że wszelkie jego usiłowania są nadaremne. Ale w tym rzecz, że tu już nie ma miejsca dla rozsądku, tylko dla konwulsji. Weźmy jeszcze pod uwagę, że prawie każdy własnowolny objaw osobowości w aresztancie uważa się za przestępstwo, a w takim razie, naturalnie, wszystko mu jedno, czy to większy, czy mały objaw. Hulać — więc już hulać do ostateczności, odważyć się na wszystko, choćby i na zabójstwo. Zresztą dość tylko zacząć: upije się człowiek i nie powstrzymasz go! I dlatego pod każdym względem byłoby lepiej nie doprowadzać do tego. Dla wszystkich byłby stąd większy spokój.

Tak; ale jak to zrobić?

VI. PIERWSZY MIESIĄC

Wstępując do ostrogu, miałem ze sobą trochę pieniędzy; na wierzchu było niewiele, z obawy, aby nie odebrano, ale miałem kilka rubli schowanych, to jest zaklejonych w okładce Biblii, którą można było przenosić ze sobą do ostrogu. Tę książkę, z zaklejonymi w niej pieniędzmi, darowali mi jeszcze w Tobolsku ci, którzy także cierpieli na wygnaniu i to wygnanie liczyli już na dziesiątki lat i którzy w każdym nieszczęśliwym

⁹⁴trzaska — mały, odlupany kawałek drewna, używany zazwyczaj na podpałkę. [przypis edytorski]

przywykli byli widzieć brata. Jest zawsze w Syberii kilka osób, które, rzekłbyś, za cel życia swego obrały braterską opiekę nad nieszczęśliwymi i współczucie dla nich, jakby dla własnych dzieci, bezinteresowne, święte. Nie mogę nie wspomnieć tu pokrótce o pewnym spotkaniu. W mieście, gdzie stał nasz ostrogi, mieszkała pewna pani, Anastazja Iwanowna, wdowa. Rozumie się, że nikt z nas podczas siedzenia w ostrogu nie mógł się z nią osobiście zaznajomić. Zdawało się, że za cel życia obrała sobie udzielanie pomocy zesłanym do Syberii⁹⁵, ale najwięcej nami się opiekowała. Czy miała ona kogoś w rodzinie podobnie nieszczęśliwego, czy ktoś inny drogi i bliski jej sercu cierpiał w podobny sposób? Dość, że za szczęście sobie miała robić dla nas wszystko, co było w jej mocy. Wiele, naturalnie, zrobić nie mogła, bo była bardzo biedna. Ale my, siedząc w ostrogu, czuliśmy, że mamy za ostrogiem zupełnie nam oddane serce przyjacielskie. Tak np. dostarczała nam wiadomości, które nam były bardzo potrzebne. Po wyjściu z ostrogu, zanim wyruszyłem do innego miasta, miałem możliwość być u niej i poznać ją osobiście. Mieszkała gdzieś na przedmieściu u jednego z bliskich krewnych. Była ni stara, ni młoda, ni ładna, ni brzydka, nie można było nawet poznać, czy rozumna i wykształcona. Ale na każdym kroku widniała w niej nieskończona dobroć, niepokonana chęć zrobienia innym jakiejś przysługi, ulgi, przyjemności. Wszystko to widać było w jej cichych, dobrych oczach. Przepędziłem u niej wraz z jednym towarzyszem z ostrogu prawie cały wieczór. Patrzała nam ciągle w oczy, śmiała się, gdyśmy się śmieli, i z pośpiechem zgadzała się na wszystko, cokolwiek rzekliśmy. Przyjmowała nas czym mogła; podano herbatę, zakąskę, jakieś słodczyce i zdaje się, że gdyby miała tysiące, to cieszyłaby się z nich tylko dlatego, że mogłaby lepiej nas ugościć i przynieść ulgę towarzyszom naszym, którzy zostali w ostrogu. Żegnając się z nami, wyniosła nam po cygarniczce na pamiątkę. Te cygarniczki sama skleila dla nas z kartonu (już jak były sklejone, to Bóg raczy wiedzieć), okleiła je kolorowym papierem, zupełnie takim, z jakiego się robi okładki do arytmetyk elementarnych (może też jakaś arytmetyka poszła na to oklejenie), dokoła zaś cygarniczki obrzeżone były bordiurkami⁹⁶ ze złotego papieru, po który umyślnie chodziła do sklepu. „Palicie papierosy, więc może wam się to przyda” — powiedziała, jak gdyby usprawiedliwiając się nieśmiało, że z takim podarkiem występuje... Mówią niektórzy (słyszałem o tym i czytałem), że największa miłość ku bliźniemu jest zarazem najwyższym egoizmem; ale w czym tutaj był egoizm, doprawdy, nie wiem.

Pomimo iż, wstępując do ostrogu, miałem ze sobą niewiele pieniędzy, nie mogłem jakoś z początku naprawdę gniewać się na tych katorżników, którzy już w pierwszych chwilach mego życia więziennego, raz mnie oszukawszy, najnaiwniej przychodzili do mnie potem po raz drugi, trzeci, a nawet i piąty pożyczać pieniądze. Ale do jednej rzeczy przyznaję się otwarcie: bardzo mi było przykro, że wszyscy oni ze swoją naiwną chytrą musieli mnie niewątpliwie uważać, jak mi się zdawało, za głupca i niedoświadczonego, i śmiać się ze mnie, właśnie dlatego, że po raz piąty dawałem im pieniądze. Im się naturalnie musiało zdawać, że idę na lep ich oszustwa i przebiegłości, i jestem pewny, że nierównie wyżej zaczęliby mnie cenić, gdybym im odmawiał i odpędzał ich od siebie. Ale jakkolwiek mnie to gniewało, odmówić przecież nie mogłem. Zły zaś byłem dlatego, że w tych pierwszych dniach głęboko i poważnie rozmyślałem nad tym, jakie stanowisko mam zająć w ostrogu, albo raczej na jakiej stopie mam żyć z nimi. Czułem to i rozumiałem, że cała ta sfera jest mi zupełnie obca, że stąпам po ciemku i że przez tyle lat nie można żyć po ciemku. Potrzeba było przygotować się. Naturalnie, postanowiłem przede wszystkim postępować prostą drogą, tak jak wewnętrzne uczucie i sumienie nakazują. Ale wiedziałem także, że to tylko aforyzm, a tu niebawem stanąć może przede mną najbardziej niespodziewana praktyka.

Dlatego też, pomimo wszelkich drobiazgowych zabiegów około urządzenia się w kazerne, o których już wspominałem, a w które wciągał mnie w szczególności Akim Akimycz, pomimo iż one mnie nieco rozrywały, straszliwy, gryzący smutek dręczył mnie coraz silniej. „Martwy dom!” — mawiałem sam do siebie, przypatrując się niekiedy o zmroku z ganku naszej kazermy aresztantom, którzy już poschodzili się z robót i leniwie włóczyli się po dziedzińcu ostrogu, z koszar do kuchen i odwrotnie. Przypatrywałem

⁹⁵Zdawało się, że za cel życia obrała sobie udzielanie pomocy zesłanym do Syberii... — autor ma tu zapewne na myśli politycznych przestępców. [przypis tłumacza]

⁹⁶bordiura (z fr.) — dekoracyjne obramowanie. [przypis edytorski]

się im i z ich twarzy i ruchów starałem się odgadnąć, co to za ludzie, co za charaktery. Chodzili tędy i owędy przede mną, z pochmurnymi czołami, albo znów nadzwyczaj wesośli (te dwa typy najczęściej się spotyka i stanowią one ogólną charakterystykę katorgi), łajali się lub tylko zwyczajnie rozmawiali, albo też wreszcie przechadzali się w pojedynkę, jakby zamyśleni, wolnym, płynnym krokiem, niektórzy z wyrazem zmęczenia i apatii, inni (nawet i tutaj!) z arogancją, z czapką na bakier, w kozuchu narzuconym na ramiona, z zuchwałym, złośliwym spojrzeniem i bezczelnie drwiącym uśmiechem. „Oto jest — myślałem sobie — moja sfera, mój świat terazniejszy, z którym, chcę czy nie chcę, żyć muszę...”

Próbowałem wywiadywać się o nich od Akima Akimycza, z którym lubilem bardzo pić razem herbatę, żeby nie pić samotnie. Nawiasem mówiąc, herbata w początkach kaźni była prawie jedynym moim pożywieniem. Akim Akimycz nie wymawiał się od herbaty i sam nastawiał nasz mały, zabawny, domowej roboty samowarek z blachy, którego mi M-cki na czas jakiś pożyczył. Akim Akimycz wypijał zwykle jedną szklankę herbaty (miał on i szklanki), wypijał w milczeniu, przyzwoicie, zwracając szklankę, dziękował za herbatę i natychmiast zabierał się do sporządzania kołdry dla mnie. Ale tego, co chciałem wiedzieć, nie mógł mi wyjaśnić i nawet nie rozumiał, dlaczego mnie tak obchodzą charaktery otaczających nas, najbliższych z otoczenia katorżników, a nawet słuchał pytań moich z jakimś przebiegłym uśmiechem, który dobrze zapamiętałem. „Nie, widocznie trzeba samemu badać i doświadczać, a nie rozpytywać się” — pomyślałem sobie.

Czwartego dnia, tak samo, jak wtedy, kiedy mi przekuwano kajdany, aresztanci wczesnym rankiem uszykowali się na placu przed kordegardą u bramy więziennej. Przed nimi, twarzą do nich, i za nimi stanęli żołnierze z nabitą bronią i zatkniętymi bagnietami. Żołnierz ma prawo strzelać do aresztanta, gdy spostrzeże, że ten chce uciekać od niego, ale jednocześnie i odpowiada za swój wystrzał, jeżeli strzelił nie w razie ostatecznej potrzeby; tak samo też i podczas jawnego buntu katorżników. Ale któż by zamierzał uciekać jawnie? Przybył oficer inżynierii, konduktor, a także podoficerowie inżynieryjni i żołnierze, którzy byli dozorcami robót. Nastąpiło imienne wywoływanie; część aresztantów, ci, którzy chodzili do szwalni, ruszyła z miejsca przed innymi; władze inżynieryjne nie miały z nimi nic do czynienia; pracowali oni właściwie dla ostrogu i obszywali go. Potem ruszyli ci, co się udawali do warsztatów, potem ci, co szli na zwykłą grubą robotę. Ruszyłem i ja w gromadzie dwudziestu aresztantów. Za twierdzą na zmarzniętej rzece były dwie rządowe barki, które, jako już nie do użycia, trzeba było rozebrać, ażeby przynajmniej stare drzewo obrócić na jakiś użytek. Zdaje się zresztą, że ten stary materiał bardzo mało miał wartości, prawie żadnej. Drwa w mieście sprzedawano za bezcen, a dokoła lasy były ogromne. Posyłano na tę robotę prawie tylko dlatego, ażeby nie dać siedzieć aresztantom z założonymi rękami, co sami aresztanci dobrze rozumieli. Do takiej roboty zabierali się zwykle powoli i apatycznie, zupełnie inaczej, niż kiedy robota była sama przez się warta czegoś, szczególnie, gdy można ją było wyprosić sobie na sztuki. Wtedy, rzekłbyś, ogarniał ich zapał i choć nie mieli stąd żadnego zysku, widziałem jednak, że wybijali się z sił, ażeby ukończyć robotę jak najprędzej i jak najlepiej; nawet ich miłość własna była w grę wciągnięta. W obecnej zaś robocie, którą dawano bardziej dla zajęcia czasu niż z potrzeby, nie można było mieć zadanej na dzień pracy i trzeba było pracować wciąż do uderzenia w bęben, które o jedenastej rano wzywało aresztantów do powrotu.

Dzień był ciepły i mglisty; śnieg omal nie tajał. Cała nasza gromadka poszła za twierdzą na brzeg, z lekka pobrękując łańcuchami, które chociaż ukryte pod odzieżą, za każdym stąpieniem wydawały cienki i wyraźny metaliczny dźwięk. Dwóch, trzech ludzi oddzieliło się od gromady, ażeby pójść do zbrojowni po potrzebne narzędzia. Ja szedłem z innymi i nawet ożywiłem się trochę; chciało mi się co prędzej zobaczyć robotę i poznać ją, poznać, co to jest ta katorżna robota? I jak to ja sam będę pierwszy raz w życiu pracował rękami?

Pamiętam wszystko do najmniejszego szczegółu. Na drodze spotkał nas jakiś mieszczanin z bródką, zatrzymał się i sięgnął ręką do kieszeni. Z gromadki naszej natychmiast wystąpił jeden aresztant, zdjął czapkę, przyjął jałmużnę — pięć kopiejek — i rażno wrócił do swoich. Mieszczanin przeżegnał się i poszedł swoją drogą. Za te pięć kopiejek tegoż rana kupiono kolaczy i podzielono w równych częściach między całą partię.

Więzień, Praca

W tej gromadzie aresztantów jedni byli, jak zwykle, ponurzy i nierozmowni, drudzy obojętni i apatyczni, inni leniwie gawędzili ze sobą. Jeden był nadzwyczaj rad z czegoś i wesół, śpiewał i omal nie tańczył w drodze, pobrzękując za każdym skokiem kajdanami. Był to ten sam niewysoki i przysadzisty aresztant, który w pierwszy ranek mojego życia w ostrogu pokłócił się z drugim podczas umywania się z powodu tego, że ten drugi śmiało utrzymywał niedorzecznie, iż jest ptakiem, który się nazywa kagan. Zwano tego rozweselonego parobka Skuratow. Na koniec zaśpiewał jakąś żwawą piosnkę, której przyspiew zapamiętałem:

Ożeniono mnie beze mnie,
Gdy we młynie byłem.

Brakowało tylko bałałajki.

To niezwykle wesołe usposobienie Skuratowa zaraz naturalnie wywołało oburzenie u niektórych z naszej partii, przyjęte było prawie za obrazę.

— Zawył! — ze zgorzaniem powiedział jakiś aresztant, do którego zresztą pieśń się wcale nie stosowała.

— Jedną pieśń umiał wilk śpiewać i tę przejął od niego tulak! — zrobił uwagę jeden z ponurych aresztantów, z chachłacką⁹⁷ wymową.

— Dajmy na to, żem z Tuły⁹⁸ — odpowiedział niezwłocznie Skuratow — a wy w waszej Połtawie⁹⁹ kluskąście się udławili.

— Łżyj! A sameś co jadał? Łapciem kapuśniak chlipa!

— A teraz jaki wypasiony — dodał trzeci.

— Ja, bracia, naprawdę człowiek rozpieszczony — odpowiedział z lekkim westchnieniem Skuratow, jak gdyby żalując swego rozpieszczenia i zwracając się do wszystkich w ogóle, ale do nikogo w szczególności — z maleństwa samego na suszonych śliwkach i na pampuszkach¹⁰⁰ wyhodjany (tj. wyhodowany), rodzice zaś, bracia moi, i teraz jeszcze w Moskwie sklep swój mają, w przechodnim rzędzie wiatrem handlują, kupcy majątek robiący.

— A tyś czym handlował?

— A w różnych gatunkach i ja próbowałem. Otóż wtedy to, bracia dostałem pierwsze dwieście...

— Czyżby dwieście rubli! — podchwycił jakiś ciekawski, aż drgnąwszy na wzmiankę o tak wielkiej sumie.

— Nie, mój kochanku, nie rubli, ale pałek. Łukasz, hej, Łukasz!

— Dla kogo Łukasz, a dla ciebie Łukasz Kuźmicz — z niechęcią odezwał się mały i cieniutki aresztant z ostrym noskiem.

— No, Łukasz Kuźmicz; czart cię bierz, niech i tak będzie.

— Dla kogo Łukasz Kuźmicz, a dla ciebie *diadiuszka*.

— No czart cię weź wraz z *diadiuszką*, nie warto i mówić. A coś dobrego chciałem powiedzieć. Otóż, bracia, jak to się zdarzyło, że niedługo byłem w Moskwie; dano piętnaście knucików i wyprawiono precz. Wtedy ja...

— Ale za cóż wyprawili?... — przerwał ktoś uważnie śledzący opowiadanie.

— A nie chodź do kwarantanny¹⁰¹, nie pij ze szpuntów¹⁰², nie graj na balandrasie¹⁰³; tak, że nie zdołałem, bracia, należycie wzbogacić się w Moskwie. A bardzo, bardzo chciało mi się zostać bogatym. Tak mi się tego chciało, że nie umiem nawet powiedzieć.

Wielu się roześmiało, Skuratow był widocznie jednym z dobrowolnych żartownisiów albo raczej błaznów, którzy mieli sobie jakby za obowiązek rozweselać swoich ponurych

⁹⁷ *chachłacki* — Chachłami nazywają Rosjanie Małorusinów [tj. Ukraińców; red. WL]. [przypis tłumacza]

⁹⁸ *Tula* — miasto w europejskiej części Rosji, ok. 200 km na pd. od Moskwy; w XIX w. ośrodek jubilerstwa oraz produkcji samowarów. [przypis edytorski]

⁹⁹ *Poltawa* — miasto w środkowo-wsch. części Ukrainy. [przypis edytorski]

¹⁰⁰ *pampuszki* a. *pampuchy* — placki drożdżowe gotowane na parze. [przypis edytorski]

¹⁰¹ *kwarantanna* — tu: ogrodzony budynek, w którym trzymano więźniów z jakiegokolwiek powodu odizolowanych od reszty. [przypis edytorski]

¹⁰² *szpunt* — kołek zatykający otwór w beczce; *pić ze szpuntu*: pić bezpośrednio z beczki. [przypis edytorski]

¹⁰³ *grać na balandrasie* (reg. ros.) — bając, paplać, mleć językiem. [przypis edytorski]

towarzyszy i naturalnie nic innego prócz połajanki nie otrzymywali za to. Należał on do odrębnego i godnego uwagi typu, o którym wypadnie mi może jeszcze coś powiedzieć.

— A ciebie i teraz zamiast sobola zabić można — rzucił uwagę Łukasz Kuźmicz. — Patrz go, samego ubrania na sto rubli będzie.

Skuratow miał na sobie niezmiernie starą i wynoszoną kozuszykę, na której ze wszystkich stron sterczały łaty. Na uwagę Łukasza dość obojętnie, ale uważnie obejrzał ją z góry do dołu.

— Głowa za to, bracia, wiele warta, głowa! — odpowiedział. — Kiedym się z Moskwą żegnał, tym się tylko pocieszałem, że i głowa razem ze mną pójdzie. Żegnaj, Moskwo, Bóg zapłać za łaźnię, za wolny duch, sławnie oćwiczyli! A na kozuch nie masz co patrzeć, kochanku...

— Niby to mam patrzeć na twoją głowę?

— A i głowę to on ma nie swoją, a podarowaną — znowu wmieszał się tu Łukasz. — Dali mu ją w Tiumieniu jako jałmużnę, kiedy z partią przechodził.

— Cóż ty, Skuratow, miałeś pewno jakie rzemiosło?

— Jakie rzemiosło? *Powodyrem*¹⁰⁴ był, ślepców wodził — powiedział jeden z zachmurzonych — oto i całe jego rzemiosło.

— Ja rzeczywiście próbowałem szyc buty — odpowiedział Skuratow, zupełnie nie zwracając uwagi na ostatnie słowa. — Ale wszystkiego jedną parę uszyłem.

— Cóż, kupowali?

— A znalazł się taki, co widać Boga się nie bał, ojca, matki nie szanował; skarał go też Pan Bóg — kupił.

Wszyscy dokoła Skuratowa zatoczyli się od śmiechu.

— A potem jeszcze raz robiłem, już tutaj — ciągnął najobojętniejszym tonem Skuratow. — Stefanowi Fiedorowiczowi Pomorcewowi, porucznikowi, przodki wstawiałem.

— Cóż, kontent¹⁰⁵ był?

— Nie, bracia, nie kontent. Do stu tysięcy diabłów mnie odprawił i jeszcze kolaniem z tyłu popychał. Bardzo już się rozgniewał. Ech, skłamało mi życie, skłamało katorżnie!

Poczekawszy jeszcze chwilkę,
Wyjrzał Ak-kuliny mąż...

Niespodziewanie wybuchnął śpiewem i zaczął skakać, przytupując w takt nogami.

— Uch, poczwara prawdziwa! — mruknął idący obok mnie Małorusin¹⁰⁶, z gniewną pogardą spojrzawszy nań z ukosa.

— Nieużyteczny człowiek! — zauważył drugi poważnym i stanowczym tonem.

Nie mogłem ani trochę zrozumieć, dlaczego gniewają się na Skuratowa i dlaczego w ogóle wszyscy weseli, jak już zdołałem zauważyć przez pierwsze dni pobytu w ostrogu, ściągając na siebie pogardę. Gniew Małorusa i innych tłumaczyłem osobistymi powodami. Ale myliłem się, ten gniew nie wypływał z osobistych pobudek; gniewano się na Skuratowa o to, że nie umiał się trzymać, jak należało według ich mniemania, że nie zachowywał nadętych pozorów poczucia godności własnej, które w całej katordze rozwinięte było do pedanterii, że jednym słowem był, jak się wyrażano, „nieużytecznym człowiekiem”. Jednakże nie na wszystkich wesołych tak się dąsano i nie wszystkich tak traktowano jak Skuratowa i innych, do niego podobnych. Zależało to od tego, jak kto pozwalał obchodzić się ze sobą: człowiek dobroduszny i bez pretensji natychmiast popadał w pogardę. To mnie aż uderzyło. Ale byli i tacy weseli, którzy umieli i lubili odgryźć się i nikomu nie pozwalali dmuchać sobie w kaszę: takich musiano szanować. W gromadce, o której teraz mówię, był jeden z takich zębatych, w gruncie rzeczy niezmiernie wesoły i miły człowiek, którego dopiero później z tej strony poznałem, chłop rosły i okazały, z wielką brodawką na szczęcie i najznakomitszym wyrazem twarzy, dość zresztą

¹⁰⁴*powodyr* (ros.) — przewodnik. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*kontent* (przestarz., z łac.) — zadowolony. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*Małorusin* (daw.) — Ukrainiec. [przypis edytorski]

przystojnej i pojętej. Nazywano go pionierem dlatego, że kiedyś służył w pionierach¹⁰⁷; teraz był w osobnym oddziale. O nim jeszcze wypadnie mi mówić.

Zresztą i nie wszyscy „poważni” byli tak wywnętrzający się, jak zgorszony wesołością Małorus. W katordze było kilku ludzi z pretensjami do pierwszeństwa, do znajomości każdej roboty, do pomysłowości, do charakteru i rozumu. Było między nimi rzeczywiście wielu rozumnych, z charakterem, i rzeczywiście osiągnęli to, do czego zmierzali, to jest pierwszeństwo i znaczny moralny wpływ na swoich towarzyszy. Względem siebie zwykle ci mądrale wrogo byli usposobieni i każdy z nich miał wielu zawistnych. Na innych aresztantów spoglądali z godnością, a nawet z pobłażaniem, niepotrzebnych kłótni nie wszczynali, u władz byli dobrze notowani, na robotach odgrywali rolę kierowników i żaden z nich nie czepiałby się o bagatelę, np. o pieśnię; byłoby to poniżej ich godności. Ze mną wszyscy tacy byli bardzo grzeczni przez cały czas katorgi, choć niezbyt skłonni do rozmowy, także jak gdyby z poczucia godności. O nich wypadnie mi również pomówić obszerniej.

Przysliśmy na brzeg rzeki. W dole, na rzece stała w zamrzniętej wodzie stara barka, którą trzeba było rozrywać. Po drugiej stronie rzeki siniał step; widok był posępny i pustynny. Sądziłem, że wnet rzucą się wszyscy do roboty, ale o tym ani myślano. Niektórzy rozsiedli się na rzuconych na brzegu kłodach; prawie wszyscy wyciągnęli z cholew worczki z miejscowym tytoniem, który sprzedawano w liściach na bazarze po trzy kopiejki za funt, i krótkie wierzbowe cybuszki z małymi drewnianymi fajeczkami domowej roboty. Zapalono fajki. Konwojowi żołnierze rozciągnęli się dokoła nas łańcuchem i zaczęli nas pilnować z minami niezmiernie znudzonymi.

— I komu przyszło na myśl rozrywać tę barkę! — przemówił któryś jakby do siebie, nie zwracając się do nikogo. — Trzasek się zachciało, czy co?

— A kto się nas nie boi, temu i przyszło na myśl — zrobił uwagę drugi.

— Gdzie to chłopstwo się sunie? — po pewnym milczeniu zapytał pierwszy, nie zwracając uwagi na otrzymaną na poprzednie pytanie odpowiedź i wskazując w dali gromadę chłopów, brnących kędyś gęsiego po nietkniętym śniegu. Wszyscy ludzie zwrócili się w tę stronę i nie mając nic lepszego do roboty, zaczęli ich przedrwiwać. Jeden z chłopków, ostatni, szedł jakoś dziwnie śmiesznie, rozstawiwszy ręce i zwiesiwszy na bok głowę, na której była długa czapka chłopska, jak hreczuszek¹⁰⁸. Cała postać jego jasno i wyraziście odznaczała się na białym śniegu.

— Widzisz go, bratan Piotrowicz, jak się przystroił! — rzucił uwagę jeden z aresztantów, przedrzeźniając wymowę chłopską. Rzecz godna uwagi, że aresztanci w ogóle nieco z wysoka spoglądali na chłopów, pomimo iż przynajmniej połowa ich pochodziła z ludu wiejskiego.

— Ten z tyłu, dziatki, chodzi, jakby rzepę sadił.

— To ciężkogłów, ma dużo pieniędzy — zauważył trzeci.

Zaśmiali się wszyscy, ale trochę leniwie, jakby od niechcenia. Tymczasem podeszła „kałasznica”, dzielna i rezolutna kobiecinka.

Wzięto u niej kołaczy za otrzymanych pięć kopiejek jałmużny i podzielono na równe części.

Młody parobek, który kupczył w ostrogu kołaczami, zabrał dwie dziesiątki i zaczął się mocno spierać, chcąc wytargować trzy zamiast dwóch kołaczy, jak to bywało w zwykłym porządku. Ale kałasznica nie zgadzała się.

— No, a tamtego nie dasz?

— A czego ci jeszcze?

— Tego, czego myszy nie jedzą.

— A bodaj cię choroba powaliła! — krzyknęła kobieta i zaśmiała się.

Na koniec zjawił się i dozorca robót, podoficer, z pałeczką.

— Ej, co się rozsiedli! Zaczynać!

— A cóż, Iwanie Matwieiczu, zadajcie robotę — odezwał się jeden z „dowodzących”, powoli podnosząc się z miejsca.

¹⁰⁷pionier — szeregowiec saperskich wojsk inżynieryjnych w armii rosyjskiej w XVIII–XIX w. [przypis edytorski]

¹⁰⁸hreczuszek — placek gryczany; w oryg. *гречневик*: chleb gryczany w kształcie ściętego stożka. [przypis edytorski]

— Czemużecie przed chwilą przy rozესlaniu nie pytali? Barkę rozerwij, oto i zadana robota.

Jakos się wreszcie podnieśli i zesłi ku rzece, ledwie posuwając nogami. W tłumie znaleźli się zaraz i „zarządzający”, przynajmniej językiem. Okazało się, że barki nie należało rąbać na chybił trafił, ale o ile można zachować w całości belki, szczególnie poprzeczne, przybite do spodu barki w całej swej długości drewnianymi gwoździami — robota długa i żmudna.

— Ot, trzeba by nasamprzód oderwać tę beleczkę. Do roboty dzieci — odezwał się jeden z aresztantów, wcale nie przywódca i nie burmistrzujący, ale prosty robotnik, niemrawy i cichy, który dotychczas milczał. Zgiąwszy się, objął rękami grubą belkę, oczekując na pomocników. Ale nikt mu nie pomógł.

— Aha, podejmiesz, jak raz! I ty nie podejmiesz, i twój dziad niedźwiedź, niech tu przyjdzie, i ten nie podejmie — zamruczał ktoś przez zęby.

— A więc jakżeż to, bracia, zacząć? Sam już nie wiem... — powiedział zakłopotany ochotnik, odjąwszy ręce od belki i podnosząc się.

— Całej roboty nie przerobisz... po co leziesz naprzód?

— Do trzech nie umie liczyć, a tu pierwszy się sunie... W gorącej wodzie kąpany!

— Ja, bracia, nic, bynajmniej — wymawiał się zakłopotany. — Ja tak tylko.

— Cóż, czy mam na was pokrowce ponakładać, czy co? A może się każecie posolić na zimę? — krzyknął znów dozorca, z zakłopotaniem spoglądając na dwudziestogłową gromadę, nieumiejącą wziąć się do roboty. — Zaczynać! Prędziej!

— Prędkiego prędziej się nie zrobi, Iwanie Matwieiczu!

— A ty i tak nic nie robisz. Hej, Sawieliew! Razgawor Pietrowicz! Do ciebie mówię: dlaczego stoisz, czy sprzedajesz!... Zaczynać!

— A cóż ja sam poradzę?...

— Zadajcież nam dzienną robotę, Iwanie Matwieiczu.

— Powiedziano, nie będzie żadnej roboty. Rozerwij barkę i idź do domu. Zaczynać!

Zabrali się na koniec, ale niechętnie, leniwie, niezręcznie. Aż przykro było patrzeć na tę sporą gromadę tęgich robotników, którzy, zdawało się, nie mieli nawet wyobrażenia, jak się wziąć do rzeczy. Zaledwie zaczęli wyjmować pierwsze, najmniejsze bierwiono, kiedy okazało się, że ono się łamie, „samo się łamie”, jak oświadczone, usprawiedliwiając się dozorczy; a zatem w taki sposób nie można rozrywać barki, trzeba było robić jakoś inaczej. Wszczęły się długie rozprawy wśród aresztantów, jak robić inaczej. Naturalnie, powoli doszło do obelg i groziło coś jeszcze gorszego... Dozorca znów zakrzyknął i zamachał pałeczką, ale belka znów się złamała. Okazało się w końcu, że jest za mało toporów i że potrzeba jeszcze przynieść jakieś narzędzie. Natychmiast wysłano pod konwojem dwu parobków do fortecy po narzędzie, wszyscy zaś inni w oczekiwaniu powrotu tamtych usiedli najspokojniej na barce i znów wyjęli swoje lulki i zakurzyli.

Dozorca na koniec plunął.

— No, od was robota nie zapłacze! Ech, naród, naród! — zawarczał gniewnie, machnął ręką i poszedł do fortecy, pomachując laseczką.

W godzinę potem przyszedł konduktor. Spokojnie wysłuchawszy aresztantów, powiedział, że na dzisiejszy dzień zadaje wyjęcie czterech jeszcze bierwion, ale tak, żeby się nie złamały, prócz tego wyznaczył do rozebrania znaczną część barki, po czym wszyscy mogli wracać do domu. Robota zadana była wielka, ale mój Boże, jak się do niej wzięto! Gdzie się podziało lenistwo, gdzie nieporadność! Zastukały topory, zaczęto wyciągać drewniane gwoździe. Inni podkładali grube drągi i pręc na nie dwudziestu ramionami, dzielnie i zręcznie odrywali bierwiona, które ku memu wielkiemu zdziwieniu odrywały się teraz całe i niepopsute. Robota kipiła. Zdawało się, że wszyscy naraz zmądrzeli. Ani słów zbytecznych, ani łajania, każdy wiedział, co powiedzieć, co zrobić, gdzie stanąć, co poradzić. Równo pół godziny przed uderzeniem w bęben zadana robota była skończona i aresztanci poszli do domu zmęczeni, ale zupełnie zadowoleni, choć wygrali tylko pół godziny czasu. Ale w ich stosunku do mnie zauważyłem jeden rys szczególny: gdziekolwiek się przytknąłem, aby pomagać im w robocie, wszędzie byłem nie na miejscu, wszędzie zawadzałem, zewsząd mnie, omal nie z łajaniem, odpędzano.

Nawet ostatni oberwaniec, który sam był najlichszym robotnikiem i wobec innych katorżników, dzielniejszych i rozumniejszych od siebie, nie śmiał jednego słowa bąknąć,

i taki, gdy stawałem koło niego, czuł się w prawie krzyknąć na mnie pod pozorem, że mu przeszkadzam. Na koniec jeden z dzielnych robotników wprost po grubiańsku powiedział do mnie: „Gdzie lezicie? Idźcie precz! Po co włożyć tam, gdzie nie wzywają”.

— Dostał się w matnię! — dorzucił natychmiast drugi.

— A ty lepiej weź kubek — powiedział do mnie trzeci — i ruszaj zbierać składkę na szpitalną budowę; tu nie masz co robić.

Musiałem odejść od pracujących i stanąć opodal, choć miałem skrupuł stać tak bez roboty, kiedy wszyscy pracowali. Ale ledwie odszedł i stanął przy końcu barki, natychmiast zakrzyzcili: „Oto jakich nadawano robotników; czegoż z takimi dokazać można? Niczego nie dokazesz!”

Wszystko to naturalnie mówiono umyślnie, ponieważ wszystkim to sprawiało przyjemność. Trzeba było pokazać swoją wyższość nad byłym paniczem i naturalnie wszyscy byli radzi ze sposobności, która się nastęczyła.

Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego, jak już przedtem mówiłem, pierwszym pytaniem, które sobie zadałem, wstępując do ostrogu, było: jak postępować, jak się postawić względem tych ludzi? Przeczuwałem, że nieraz będę miał takie starcia z nimi, jak teraz na robocie. Ale pomimo wszelkich starć, postanowiłem nie zmieniać planu postępowania, już po części obmyślanego wtedy przeze mnie; wiedziałem, że jest dobry. Postanowiłem mianowicie postępować z nimi jak najprościej i jak najniezależniej, bynajmniej nie okazywać szczególnych starań zbliżenia się ku nim, ale i nie odtrącać ich, jeżeli sami zapragną zbliżenia. Nie lękać się wcale ich pogroźek i nienawiści i o ile można mieć taki pozór, jak gdybym nie spostrzegał tego. W pewnych punktach nie zbliżać się ku nim wcale i nie przytakiwać pewnym ich nałogom i zwyczajom, jednym słowem nie narzucać się im na bezwzględnego towarzysza. Odgadłem od pierwszego wejrzenia, że oni pierwsi wzgardziliby mną za to. Jednakże według ich pojęć (dowiedziałem się później o tym na pewno) w każdym razie powinienem był przykładać wobec nich wagę do mego szlacheckiego pochodzenia, to jest pieścić się, uchylać się od ciężkiej pracy, okazywać swoją wyższość, pomiatać nimi, nadymać się na każdym kroku. Taki podług ich wyobrażenia powinien być szlachcic. Rozumie się, że łajaliby mnie za to, ale w duszy poważaliby mnie. Ale taka rola była nie dla mnie; nigdy nie byłem szlachcicem według ich pojęć; za to dałem sobie słowo żadnym ustępstwem nie poniżyć wobec nich ani mego wychowania, ani sposobu myślenia. Gdybym zaczął im pochlebiać, zgadzać się z nimi, żyć za pan brat, naśladować ich w różnych „przymiotach”, ażeby zjednać sobie ich względy — natychmiast pomyśleliby sobie, że robię to ze strachu, z tchórzostwa, i traktowałiby mnie z pogardą. A-w nie mógł służyć za dowód przeciwny; chodził bowiem do majora i aresztanci bali się go. Z drugiej strony nie chciałem zamykać się przed nimi w chłodnej i nieprzystępnej grzeczności, jak to czynili Polacy. Bardzo dobrze wiedziałem teraz, że aresztanci pogardzają mną dlatego, że chciałem pracować, jak oni, że nie pieściłem się i nie okazywałem wobec nich wyższości; i chociaż miałem głębokie przekonanie, że potem muszą zmienić swój sąd o mnie, to jednak ta myśl, że teraz mają niejako prawo gardzić mną, myśląc, że na robocie starałem się im przypodobać — ta myśl mocno mnie dręczyła.

Kiedy wieczorem, po ukończeniu poobiedniej roboty, wróciłem do ostrogu, znużony i zmęczony, straszny znów ciężar smutku przygniótł mi duszę. „Ile tysięcy jeszcze takich dni przede mną — myślałem sobie — ciągle takich samych, ciągle jednakowych!” Milcząc, już o zmroku, wałęsałem się sam jeden za kazarmami, pod ostrokołem i nagle spostrzegłem naszego Szarika, biegnącego wprost ku mnie. Szarik był naszym psem więziennym, tak, jak bywają psy rotowe, bateryjne i szwadronowe. Przebywał w ostrogu od niepamiętnych czasów, do nikogo nie należał, wszystkich uważał za gospodarzy i żywił się resztkami z kuchni. Był to dość duży pies podwórzowy, czarny z białymi plamami, nie bardzo stary, z rozumnymi oczami i puszystym ogonem. Nikt go nigdy nie głaskał, nikt nigdy nie zwracał na niego uwagi. Zaraz pierwszego dnia pogłaskałem go i dałem mu z rąk kawałek chleba. Kiedym go głaskał, stał spokojnie, patrzył mile w oczy i na znak zadowolenia machał ogonem. Teraz, nie widząc mnie długo, mnie, pierwszego, któremu w przeciągu kilku lat przyszło na myśl popieścić go, biegł i odszukiwał mnie między wszystkimi, a ujrawszy za kazarmami, z wyciem rzucił się ku mnie. Już nie wiem, co się ze mną stało, ale go chwycił, całował, objąłem za głowę; on wskoczył mi przednimi łapami na plecy i zaczął mi lizać twarz. „Oto i przyjaciel, którego los mi zsyła!” — po-

Pies

myślałem sobie i każdego razu potem, w te pierwsze ciężkie i ponure czasy, gdym wracał z roboty, szedłem naprzód za kazarmy ze skaczącym przede mną i skomlącym z radości Szarikiem, chwytalem go za głowę i całowałem, całowałem ją. Jakies słodkie, ale zarazem męcząco gorzkie uczucie ścisłało mi serce. I pamiętam, że przyjemnie mi było pomyśleć, jakby chwalać się przed sobą swoją męką, że oto na całym świecie pozostała mi jedna istota kochająca mnie, do mnie przywiązana, mój przyjaciel, mój wierny pies Szarik.

VII. NOWE ZNAJOMOŚCI. PIETROW

Ale czas płynął i powoli zaczynałem przyzwyczajać się. Z każdym dniem coraz mniej mnie trapiły powszednie zjawiska mego nowego życia. Zdarzenia, otoczenie, ludzie — ze wszystkim tym oswajały się oczy. Pogodzić się z tym życiem było niepodobieństwem¹⁰⁹, ale dawno już czas był uznać je za fakt spełniony. Wszelkie wątpliwości, jakie jeszcze zostały we mnie, zataiłem wewnątrz siebie, jak można najgłębiej. Jużem się nie włóczył po ostrogu jak błędny i nie wydawałem się ze swoim smutkiem. Oczy katorżnych już nie tak często z dziką ciekawością zatrzymywały się na mnie, nie śledziły za mną z taką umyślną bezczelnością. Widać było, że i oni oswajali się ze mną, z czego byłem rad bardzo. Po ostrogu przechadzałem się już jak u siebie w domu, znałem swoje miejsce na narach, i nawet, pozornie, przywykałem do takich rzeczy, do których sądziłem, że nigdy w życiu nie przywyknę. Regularnie każdego tygodnia dawałem golić sobie połowę głowy.

Co sobota w czas wolny wywoływano nas w tym celu kolejno z ostrogu do kordegardy (kto się nie ogolił, sam odpowiadał za siebie) i tam cyrulicy z batalionów mydlili nam chłodnym mydłem głowy i skrobali tak tępyimi brzytwami, że jeszcze teraz dreszcz uczuwam na wspomnienie tej tortury. Zresztą prędko znalazł się na to środek: Akim Akimycz wskazał mi pewnego aresztanta z oddziału wojskowego, który za kopiejkę golił każdego własną brzytwą i uważał to za swoje rzemiosło. Wielu katorżników chodziło do niego, żeby uniknąć rządowych cyrulików, a przecież nie byli to ludzie wydelikaceni. Naszego aresztanta-cyrulika nazywano majorem, dlaczego — nie wiem, i czym on mógł przypominać majora, również nie umiem powiedzieć. Teraz, gdy to piszę, staje mi w obrazni ten major, chłop wysoki, chudy i milczący, dość głupowaty, wiecznie zatopiony w swoim zajęciu i zawsze z paskiem rzemiennym w ręku, na którym dniem i nocą ostrzył swoją niesłychanie startą już brzytwę; zdawało się, że cały pogrązał się w swym zajęciu i że widział w nim powołanie całego swego życia. W istocie był niezmiernie rad, kiedy brzytwa była dobra i kiedy ktoś przyszedł do niego się golić: mydło miało ciepłe, rękę lekką, golenie aksamitne. Widać było, że rozkoszował się i pysznił swoją sztuką, i niedbale przyjmował zarobioną kopiejkę, jak gdyby mu w istocie chodziło o sztukę, nie o zapłatę. Porządnie oberwał od naszego plac-majora A-w, gdy donosząc mu na ostróg, wspomniął naszego więziennego cyrulika i nazwał go majorem. Plac-major rozszrozył się, obrażony do najwyższego stopnia. „A czy wiesz ty, *padlec*¹¹⁰, co to znaczy major?” — wołał, pieniać się ze złości, i po swojemu rozprawiając się z A-wem: — „Rozumiesz ty, co to jest major! I oto jakiegoś nikczemnika katorżnego śmiesz nazywać majorem, mnie w oczy, w mojej obecności!...” Tylko A -w mógł żyć w dobrym porozumieniu z takim człowiekiem.

Od pierwszego dnia życia więziennego zacząłem już marzyć o swobodzie. Najulubieńszym moim zajęciem było obliczać na tysiąc rozmaitych sposobów i kombinacji, kiedy się skończą lata mego więzienia. Nie mogłem nawet myśleć o czymś innym i jestem pewny, że to samo się dzieje z każdym pozbawionym wolności na określony czas. Nie wiem, czy inni katorżni myśleli i obliczali zupełnie tak samo jak ja, ale dziwna lekomyślność w ich nadziejach uderzyła mnie od razu. Nadzieja człowieka zamkniętego, pozbawionego wolności, jest zupełnie innego rodzaju aniżeli człowieka wolnego. Człowiek wolny, niewątpliwie, spodziewa się czegoś (na przykład odmiany losu, dokonania jakiegoś przedsięwzięcia), ale on żyje, działa; życie obecne porywa go w swój wir i owłada nim. Inaczej jest z uwięzionym. I tu jest wprawdzie życie — więzienne, katorżne; ale kimkolwiek jest katorżnik i na jakkolwiek długo jest zesłany, instynktownie nie może uznać swego losu za coś stałego, istotnego, za część rzeczywistego życia. Każdy katorżnik czuje, że on nie u siebie w domu, ale jak gdyby w gościnie. Na dwadzieścia lat spogląda jak

Więzień, Nadzieja

¹⁰⁹niepodobieństwo (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

¹¹⁰padlec (ros.) — łajdak. [przypis edytorski]

na dwa lata i jest głęboko przekonany, że i mając pięćdziesiąt pięć lat, po wyjściu z ostrogu będzie takim zuchem, jakim jest teraz, mając trzydzieści pięć. „Pożyjemy jeszcze” — myśli sobie i uporczywie odpycha od siebie wszelkie wątpliwości i różne dręczące myśli. Nawet bezterminowi skazańcy, z osobnego oddziału, i ci nieraz cieszyli się nadzieją: a nuż nagle przyjdzie dekret z Petersburga: „wyprawić do Nerczyńska, do kopalni i naznaczyć termin”. Wtedy rozkosz: naprzód do Nerczyńska trzeba iść bodaj nie pół roku, a iść w partii nierównie lepiej niż siedzieć w ostrogu. A potem dosiedzieć w Nerczyńsku, i wtedy... I tak obliczał przyszłość niejedyn siwy już człowiek!

W Tobolsku widziałem przykutych do ściany. Siedzi na łańcuchu sążniowej¹¹¹ długości i ma tuż przy sobie tapczan. Przykuto go za jakieś straszne wykroczenie, popełnione już na Syberii. Siedzą tak na łańcuchu po pięć lat, siedzą i po dziesięć. Są to po większej części rozbójnicy. Jednego tylko widziałem między nimi z panów; gdzieś kiedyś pełnił jakąś służbę rządową. Mówił pokorniotko, sepleniąc trochę, uśmiezek słodziutki. Pokazywał nam swój łańcuch, pokazywał, jak trzeba kłaść się na tapczanie, ażeby było wygodniej. Musiał to być kiedyś dobry ptaszek! Wszyscy tacy w ogóle zachowują się bardzo spokojnie i zdają się być zadowoleni, a tymczasem każdy z nich niezmiernie pragnie, aby jak najprędzej nadszedł termin zdjęcia z łańcucha. I dlaczego, zdawałoby się, ma tak pragnąć tego? A oto dlaczego: wyjdzie wówczas z dusznej, zatęchłej izby z niskim, ceglany sklepieniem i przejdzie się po dziedzińcu ostrogu — oto i wszystko. Za ostróg nigdy go już nie puszczą. Sam wie, że spuszczeni z łańcucha na zawsze trzymani są w ostrogu, do samej śmierci i w kajdanach. Wie o tym i pomimo tego z ogromnym upragnieniem oczekuje zdjęcia z łańcucha. Czyż bez tego pragnienia mógłby przesiedzieć pięć lub sześć lat na łańcuchu i nie umrzeć lub nie oszaleć? Czy inny nie wolałby zginąć raczej, niż tak siedzieć?

Czułem, że praca może mnie ocalić, wzmocnić moje zdrowie, ciało. Ciągły niepokój wewnętrzny, rozdrażnienie nerwowe, zamknięte powietrze koszar, to wszystko mogło mnie zniszczyć zupełnie. „Jak najczęściej być na wolnym powietrzu, co dzień doznawać znużenia, przyuczać się do dźwigania ciężarów, w ten sposób przynajmniej ocalę siebie — tak rozmyślałem — wzmocnię się fizycznie, wyjdę stąd zdrowy, czerstwy, silny, niestary”. Nie omyliłem się: praca i ruch wielką przyniosły mi korzyść. Z przestachem spoglądałem na jednego z moich towarzyszy (ze szlachty), jak gasnął w ostrogu jak świeczka. Wszedł tam razem ze mną, jeszcze młody, piękny, pełen sił, a wyszedł na wpół zrujnowany, siwy, ledwie włócząc nogami i z astmą. „Nie — myślałem sobie, patrząc na niego — ja chcę żyć i żyć będę”. Ale też dostawało mi się z początku od katorżników za moje zamiłowanie do pracy i długo ścigali mnie pogardą i szyderstwami. Ale się nie oglądał na nikogo i ochoczo ruszałem wszędzie, na przykład do palenia i tłuczenia alabastru, jednej z pierwszych robót, które poznałem.

Była to lekka praca. Władza inżynieryjna gotowa była według możliwości dawać ulgę w pracy szlachcie, co zresztą nie było wcale pobbłażaniem, ale tylko sprawiedliwością. Dziwne by było zadawać człowiekowi, który był o połowę słabszy fizycznie i nigdy nie pracował, tyleż pracy dziennie, ile według ustawy zadawało się prawdziwemu robotnikowi. Ale to „pobbłażanie” nie zawsze było praktykowane, a nawet kiedy było praktykowane, to jakby ukradkiem, czujnie bowiem pilnowano z boku, aby tego nie było. Dość często praca była ciężka i wtedy naturalnie dla szlachty ciężar jej był dwa razy większy niż dla innych robotników. Do alabastru wyznaczano zwykle trzech, czterech ludzi, starców lub ludzi słabszych, w tej liczbie naturalnie i nas; prócz tego dawano jednego prawdziwego robotnika, znajdującego się na rzeczy. Zazwyczaj chodził przez lat kilka z rzędu ten sam robotnik, Almazow, człowiek smagły, chudy, już w latach, surowy, nietowarzyski i opryskliwy. Czuł on ku nam głęboką pogardę. Zresztą tak był nierozmowny, że nawet lenił się burczeć na nas. Szopa, w której wypalano i tłuczono alabaster, stała na pustym i stromym brzegu rzeki. Zimą, szczególnie w dzień pochmurny smutno było stamtąd patrzeć na rzekę i na daleki przeciwny brzeg. Coś dziwnie tęsknego, rozrywającego serce było w tym dzikim i pustynnym krajobrazie. Ale bodaj czy nie tęskniejszy jeszcze był widok, gdy na nieskończonej białej zasłonie śnieżnej jaskrawo świeciło słońce; chciało się ule-

Więzień, Nadzieja

¹¹¹ sążeń — dawna jednostka długości, tu: sążeń rosyjski, wynoszący 2,13 m. [przypis edytorski]

cieć wówczas w ten step, który zaczynał się na drugim brzegu rzeki, a rozścielał się ku południowi jednym nieprzerwanym płatem na półtora tysiąca wiorst.

Almazow zwykle w milczeniu i z wielką powagą zabierał się do roboty; wstydziliśmy się prawie, że nie możemy w należyty sposób mu pomagać, a on umyślnie sam dawał sobie radę, umyślnie nie żądał od nas żadnej pomocy, jakby po to, żebyśmy czuli całą naszą winę wobec niego i korzyli się w naszej nieużyteczności. A nie chodziło o nic więcej jak o rozgrzanie pieca, ażeby wypalić nakładziony do niego alabaster, któryśmy przedtem naznosili. Następnego dnia, kiedy już alabaster był zupełnie przepalony, zaczynało się wygarnianie z pieca. Każdy z nas brał ciężki młotek, nakładał do osobnego pudła alabastru i zaczynał go rozbijać. Było to bardzo przyjemne zajęcie. Kruchy alabaster bardzo łatwo się dawał rozbijać i zamieniał się szybko w błyszczący pył. Wywijaliśmy ciężkimi młotami i robiliśmy tyle łoskotu, że aż nam samym było przyjemnie. Wreszcie, zmęczeni, ustaliliśmy i robiło się nam lekko; na twarze występował rumieniec, krew bystrzej krążyła. Wówczas i Almazow zaczynał spoglądać na nas łaskawie, jak się patrzy na małe dziecię; łaskawie pytał ze swojej fajeczki, ale i wtedy nie mógł się burknąć, gdy wypadło coś do nas przemówić. Zresztą był on taki wobec wszystkich, a w gruncie, jak się zdaje, dobry człowiek.

Drugą robotą, na którą mnie posyłano, było obracanie koła w warsztacie tokarskim. Koło było wielkie i ciężkie. Trzeba było niemało wyęźać siły przy obracaniu go, szczególnie jeśli tokarz (z majstrów inżynierskich) toczył coś w rodzaju słupków do poręczy schodowej albo do nóg wielkiego stołu dla jakiegoś urzędnika, do czego brano grube kawały drzewa. W takim razie siły jednego człowieka nie starczały i posyłano zwykle do obracania koła dwóch: mnie i jeszcze jednego ze szlachty, Polaka B. W ciągu kilku lat, jeżeli trzeba było coś toczyć, zawsze nam tę robotę oddawano. B. był to jeszcze człowiek młody, ale bez sił, słabowity, cierpiący na piersi. Przybył do ostrogu na rok przede mną razem z dwoma innymi swymi towarzyszami: pewnym starcem, który ciągle, dniem i nocą modlił się w więzieniu (za co go aresztanci bardzo poważali) i który umarł przy mnie, i z drugim jeszcze bardzo młodym człowiekiem, świeżym, rumianym, silnym i śmiałym, który w drodze z pół etapu niósł na swoich ramionach upadającego ze zmęczenia B., co się powtarzało na przestrzeni siedmiuset wiorst. Trzeba było widzieć, jaka ich przyjaźń łączyła. B. miał wysokie wykształcenie, charakter szlachetny i wzniosły, ale był chorobliwie rozdrażniony. Obracaliśmy we dwóch kołem, to nas nawet zajmowało. Dla mnie ta robota była wyborną gimnastyką.

Szczególnie też lubiłem odgarniać śnieg. Bywało to zwykle po przejściu buranów i zdarzało się dość często w zimie. Po buraniu, który trwał całą dobę, niejeden dom stał zawiany do połowy okien, a inny niemal całkiem zasypany był śniegiem. Kiedy buran ustał i słońce zabłysło, wypędzano nas wielkimi gromadami, a czasem całym ostrogiem — odrzucać zasypy śnieżne od budynków rządowych. Każdemu dawano łopatę i wyznaczano robotę, czasem tak wielką, że trzeba się było dziwić, jak jeden człowiek może z tym sobie dać radę, i wszyscy razem ochoczo zabierali się do roboty. Pulchny, z wierzchu tylko z lekka przymarznięty śnieg łatwo się nabierał łopatą, ogromnymi kęsami, i rozrzucony wkoło, jeszcze w powietrzu obracał się w lśniący pył. Łopata z łatwością wrzynała się w białą, lśniącą od słońca masę. Aresztanci prawie zawsze wesoło odbywali tę robotę. Świeże zimowe powietrze i ruch ożywiały ich. Wszyscy stawali się weselsi, rozlegał się śmiech, wykrzykiwania, dowcipy. Zaczynano bawić się w śnieżki, nie bez tego naturalnie, żeby po chwili ludzie rozsądni i gorszący się śmiechem i wesołością nie zakrzyczeli na to i powszechne ożywienie kończyło się zwykle połajanką.

Powoli zacząłem rozszerzać koło moich znajomości. Sam zresztą nie myślałem o znajomościach; ciągle jeszcze byłem niespokojny, posępny i niedowierzający. Znajomości moje same się zawiązywały. Jednym z pierwszych, którzy mnie raczyli odwiedzać, był aresztant Pietrow. Mówię: odwiedzać, i kładę szczególny nacisk na to słowo. Pietrow mieszkał w osobnym oddziale i w najdalszej ode mnie kazarmie. Stosunków między nami nie mogło być żadnych; nic też ani trochę wspólnego nas nie łączyło i nie mogło nas łączyć. A tymczasem Pietrow w początkach mego życia więziennego uważał sobie jakby za obowiązek niemal codziennie zachodzić do mnie albo zatrzymywać mnie, kiedy w wolnych chwilach przechadzałem się za kazarmami jak najdalej od oczu ludzkich.

Z początku sprawiało mi to przykrość. Ale on umiał jakoś tak zrobić, że jego odwiedziny zaczęły mnie nawet rozrywać, pomimo iż nie był wcale towarzyski i rozmowny. Co się tyczy powierzchowności, był niewysokiego wzrostu, silnie zbudowany, zgrabny, ruchliwy, o bladej, dość przyjemnej twarzy z wystającymi kośćmi policzkowymi, o śmiałym spojrzeniu i białych, gęstych drobnych zębach i wiecznie ze szczyptą tabaki za dolną wargą. Brać w usta tarty tytoń było zwyczajem wielu katorżnych. Wydawał się młodszy, niż był w istocie; miał lat czterdzieści, a wyglądał na trzydzieści. Rozmawiał ze mną zawsze bez wszelkiego przymusu, zachowywał się w stosunku do mnie bardzo przyzwoicie i delikatnie. Jeśli zauważył na przykład, że szukam samotności, to pomówiwszy ze mną z parę minut, natychmiast opuszczał mnie i każdym razem dziękował za uwagę z mojej strony, czego, rozumie się, nie czynił nigdy z nikim w całej katordze. Rzecz godna uwagi, że taki stosunek był między nami nie tylko na początku, ale utrzymywał się przez kilka lat z rzędu i nigdy nie stał się bliższy, chociaż Pietrow rzeczywiście był mi oddany. Nawet i teraz nie wiem dobrze: czego on chciał ode mnie i po co każdego dnia laził do mnie? Zdarzało się wprawdzie później, że ukradł coś u mnie, ale kradł jakoś niespodzianie; o pieniądze zaś prawie nigdy nie prosił, nie przychodził więc dla pieniędzy ani też dla jakiegokolwiek innego interesu.

Nie wiem także dlaczego, ale zawsze mi się zdawało, że on jak gdyby wcale nie mieszkał ze mną razem w ostrogu, lecz gdzieś daleko, w innym domu, w mieście, i tylko odwiedzał ostróg, ażeby zasięgnąć nowin, dowiedzieć się czegoś o mnie, zobaczyć, jak żyjemy. Zawsze dokądś się spieszył, zupełnie jak gdyby gdzieś zostawił kogoś, kto na niego czeka, jak gdyby miał za sobą jakąś niedokończoną robotę. A mimo to nie zdawał się być bardzo zajęty. Dziwny też miał wzrok: wyteżony, z odcieniem śmiałości i jakby szyderstwa, ale patrzył zwykle gdzieś daleko, poza przedmiot, który miał przed sobą, jak gdyby chciał jakiś dalszy przedmiot rozpatrzyć. Stąd wyglądał jak roztargniony. Umysłnie czasem patrzyłem: dokąd pójdzie ode mnie Pietrow? Gdzie to go tak oczekują? Ale on ode mnie ruszał spiesźnie do jakiejś kazarmy lub do kuchni, siadał tam obok kogoś z rozmawiających, słuchał uważnie, czasem mieszał się do rozmowy, i to z wielkim ożywieniem, a potem nagle urywał i milkł. Ale czy mówił, czy milczał, widać było zawsze, że on tu jest tylko przelotnie, a rzecz, która go obchodzi, jest gdzie indziej, i że go tam oczekują. Najdziwniejsze to było, że nie miał żadnego zajęcia, nic zupełnie nie robił (naturalnie z wyjątkiem robót rządowych). Rzemiosła żadnego nie umiał, pieniędzy też prawie nigdy nie miał i nie zdawał się wcale nie troszczyć o nie. I o czym ze mną rozmawiał? Rozmowa jego była równie dziwna, jak on sam. Zobacz, na przykład, że chodzę samotny za ostrogiem, i wnet zrobi nagły zwrot w moją stronę. Chodził zwykle prędko, obracał się nagle. Przyjdzie, bywało, równym krokiem, a zdawało się, że podbiegł.

— *Zdrowstwuujcie* (zdrowia wam życzę).

— *Zdrowstwuujcie*.

— Czy nie przeszkadzam?

— Nie.

— Chciałem was zapytać o Napoleona¹¹². Wszak on krewny tego, co był w dwunastym roku?

— Krewny.

— Cóż on takiego? Mówią, że prezydent?

Pytał zwykle prędko, urywając, jak gdyby potrzebował czym prędzej dowiedzieć się o czymś. Zdawało się, że zasięga wiadomości do jakiejś ważnej sprawy, która nie cierpi najmniejszej zwłoki.

Objąłem mu, jakim on jest prezydentem, i dodałem, że może wkrótce i cesarzem zostanie.

— A to jak?

Objąłem mu, i to według możliwości. Pietrow uważnie słuchał, aż nachyliwszy ucha ku mnie, i prędko rzecz pojmował.

¹¹²*Napoleon III Bonaparte*(1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał przewrotu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w lipcu 1870 wypowiedział wojnę Prusom, w bitwie pod Sedanem (1 września 1870) skapitulował i oddał się wraz ze swą stutysięczną armią do niewoli, co stało się bezpośrednią przyczyną jego detronizacji oraz proklamowania III Republiki. [przypis edytorski]

— Hm... A oto chciałem was, Aleksandrze Piotrowiczu, zapytać: czy to prawda co mówią, że są małpy z rękami do pięt, a wysokie jak najwyższy człowiek?

— Tak jest, są takie.

— Jakże to one wyglądają?

Objaśniłem i to, o ile wiedziałem.

— A gdzie mieszkają?

— W gorących krajach. Są na wyspie Sumatrze.

— Czy to w Ameryce? Mówią, że tam ludzie chodzą głowami na dół?

— Nie, głową w dół nie chodzą. Pytacie zapewne o antypodów¹¹³.

Objaśniłem, co to jest Ameryka i o ile można było, co to antypodzi. Słuchał z równą uwagą, jak gdyby umyślnie dla antypodów tu przybiegł.

— A-a! A oto przeszłego roku o hrabinie Lavalliere¹¹⁴ czytałem od adiutanta, przynosił książki Arefjew. Czy to prawda, czy to tylko wymyślono? Napisał Dumas.

— Rozumie się, że wymyślono.

— No, bądźcie zdrowi. Dziękuję.

I Pietrow zniknął. Prawie nigdy nie rozmawialiśmy inaczej, jak w ten sposób.

Zacząłem wywiadywać się o nim. M. (Polak), dowiedziawszy się o tej mojej znajomości, ostrzegał mnie nawet. Powiedział mi, że wielu katorżnych budziło w nim przestrasz, szczególnie z początku, w pierwszych dniach katorgi, ale żaden z nich, nawet Gazin, nie przerażał go tak, jak ów Pietrow.

Ta opinia bardzo mnie zainteresowała. Ale M. nie mógł mi dokładnie objaśnić, dlaczego mu się tak zdawało.

— Jest to najbardziej stanowczy, najodważniejszy ze wszystkich katorżnych — mówił M. — Na wszystko gotów się ważyć, nic go nie powstrzyma, jeśli mu przyjdzie do czegoś ochota. I pana zarżnie, kiedy mu taki pomysł przyjdzie do głowy, tak po prostu zarżnie i ani się zmarszczy, ani nie poczuje skruchy. Myślę nawet, że jest niespełna rozumu.

I rzecz dziwna: kilka lat z rzędu obcowałem potem z Pietrowem, prawie co dzień rozmawiałem z nim, przez cały ten czas był szczerze do mnie przywiązany (choć stanowczo nie wiem, za co) — i przez te kilka lat, pomimo iż Pietrow prowadził się w ostrogu przyzwoicie i nie zrobił nic przerażającego, każdego razu jednak, kiedym na niego patrzył i z nim rozmawiał, nabierałem przeświadczenia, że M. miał słusność i że Pietrow jest w istocie człowiekiem najbardziej stanowczym, nieznającym strachu ani żadnego nad sobą przymusu. Ale dlaczego mi się tak zdawało, nie mogłem także zdać z tego sprawy.

Dodać zresztą trzeba, że to Pietrow był owym aresztantem, który chciał zabić plac-majora, kiedy go wezwano dla ukarania i kiedy major „cudem się ocalił” — jak mówili aresztanci — odjechałszy przed samą chwilą kary. Innym razem, jeszcze przed katorgą, zdarzyło się, że pułkownik uderzył go na musztrze. Prawdopodobnie nieraz go i przedtem bito, ale tym razem Pietrow nie chciał znieść uderzenia i zabił bagnetem pułkownika jawnie, w biały dzień, przed rozwiniętym frontem. Zresztą nie znam szczegółowo całej jego historii; nigdy mi jej nie opowiadał. Naturalnie były to tylko wybuchy, kiedy natura występowała niczym niekrępowana. Wybuchy takie były w nim bardzo rzadkie; zwykle był rozsądny, a nawet spokojny. Namiętności w nim tały się, i to silne, palące, ale żar pokryty był popiołem i tłał powoli. Nie spostrzegałem w nim ani cienia fanfaronady lub próżności, jak w innych. Kłócił się rzadko, z nikim się też nie przyjaźnił, z wyjątkiem chyba Sirotkina, i to, gdy ten mu był potrzebny. Raz jeden widziałem, jak się mocno rozgniewał. Czegoś mu nie chciano dać, jakiejś drobnostki, która mu się należała. Spierał się z nim aresztant siłacz, wysokiego wzrostu, zły, zawadiaka, szyderca i wcale nie tchórz, Wasilij Antonow, z oddziału cywilnego. Długo już krzyczeli i sądziłem, że sprawa skończy się co najwyżej na prostym pobiciu się, ponieważ i Pietrow czasem, chociaż rzadko, bił się i kłął, jak ostatni z katorżnych. Ale tym razem stało się coś innego: Pietrow nagle pobladł, wargi mu zadrżały i posiniały, dech mu zapało. Wstał z miejsca i powoli, bardzo

¹¹³antypoda — człowiek zamieszkujący obszar położony po przeciwnej stronie kuli ziemskiej względem kogoś innego. [przypis edytorski]

¹¹⁴La Vallière, Louise de (1644–1710) — faworyta króla Francji Ludwika XIV; jednym z głównych wątków powieści przygodowej A. Dumasa *Wicebrabia de Bragelonne* (1847–1850) jest nieszczęśliwa miłość tytułowego bohatera do Luisy de La Vallière, która chce zostać dwórką króla. [przypis edytorski]

powoli swoimi cichymi, bosymi krokami (latem lubił chodzić boso) podszedł do Antonowa. Naraz w całej hałasującej i wrzaskliwej kazarmie wszyscy ucichli; muchę można było posłyszeć. Wszyscy czekali, co to będzie? Antonow skoczył naprzeciw niego; twarz miał zmienioną... Nie mogłem się patrzeć i wyszedłem z kazarmy. Myślałem, że nie dojdę jeszcze do ganku, gdy usłyszę krzyk zarżniętego człowieka. Ale do tego nie doszło; Antonow, zanim jeszcze Pietrow doszedł do niego, milcząc, co prędzej, rzucił mu to, o co się spierali. (Chodziło o jakieś nędzne szmaty do obwijania nóg). W parę minut potem Antonow skłął Pietrowa, dla przyzwoitości, żeby pokazać, że niezupełnie stchórzył. Ale na łajanie Pietrow nie zwrócił wcale uwagi, nawet nie odpowiedział; nie o obelgi chodziło w sporze, ale o rzecz, którą Pietrow zabrał i z której był wielce rad. W kwadrans potem po dawnemu wałęsał się po ostrogu z miną człowieka niemającego nic do roboty i jak gdyby szukał, czy nie mówią gdzieś o czymś ciekawym, żeby i swój nos tam wetknąć i posłuchać. Zdawało się, że wszystko go zajmuje, a jednak jakoś tak się zdarzyło, że na wszystko po większej części był obojętny i tylko tak bez celu włóczył się po ostrogu, jakby nim coś miotano w różne strony. Można go było porównać z robotnikiem, z tęgim robotnikiem, w którego rękach robota aż trzeszczy, ale któremu nie dają roboty i oto on siedzi, czekając na nią, i bawi się z małymi dziećmi.

Nie zrozumiałem też, dlaczego nie ucieknie z ostrogu, bo byłem pewny, że nie zawahałby się uciec, gdyby tego mocno zapragnął. Nad takimi ludźmi rozsądek ma władzę dopóty, dopóki czegoś nie zapragną, a wtedy nie ma już żadnej przeszkody ich zachceni. Jestem przekonany, że wybornie potrafiłby uciec, zmyliłby wszystkich, po tygodniu mógłby siedzieć bez chleba gdziekolwiek w lesie lub w trzcinie rzecznej. Ale widocznie na tę myśl jeszcze nie wpadł, nie zapragnął ucieczki w całej pełni. Jakiejś większej rozwagi ani szczególnego rozsądku nigdy w nim nie spostrzegłem. Tacy ludzie rodzą się z jedną ideą, która przez całe życie nieświadomie rzuca ich tędy i owędy; tak miotają się przez całe życie, dopóki nie znajdą czegoś, co w całej pełni odpowiada ich chęci: wtedy już rozsądek na nic się im nie przyda. Dziwiłem się nieraz, jak to człowiek, który zarżnął swego naczelnika za uderzenie, kładzie się u nas bez wszelkiego oporu pod różgi. A Pietrowa bito czasem różgami, gdy go schwytano z wódką, bo i on, jak wszyscy katorżnicy bez rzemiosła, puszczał się na kontrabandę. Ale Pietrow i pod różgi kładł się jakby za własną zgodą, to jest jak gdyby z przekonania, że kara zasłużona; w przeciwnym razie dałby się zabić, a nie poddałby się. Dziwiło mnie to również, że pomimo widocznego do mnie przywiązania, okradał mnie. Miewał on periodyczne napady złodziejstwa. To on ukradł mi Biblię, którą mu dałem, aby przeniósł z jednego miejsca w drugie. Miał z nią iść wszystkiego kilka kroków, ale po drodze zdołał znaleźć kupca, sprzedał ją, a pieniądze przepił. Zapewne pić mu się bardzo zachciało, a już co się bardzo zachciało, musiało być wypełnione. Taki jak on zarżnię człowieka dla kilkudziesięciu kopiejek, żeby za te pieniądze wypić kwaterek wódki, a w innym czasie przepuści i ze stoma tysiącami. Wieczorem sam mi wyjawiał o swoim złodziejstwie, ale bez najmniejszego zmieszania i żalu, zupełnie obojętnie, jako o rzeczy najzwyczajniejszej. Spróbowałem porządnie go wyłajać; żał mi też było mojej Biblii. Pietrow słuchał bez rozdrażnienia, spokojnie; zgadzał się, że Biblia jest bardzo pożyteczną książką, szczerze żałował tego, że ukradł, i patrzył na mnie z taką pewnością siebie, że natychmiast przestałem go lajać. Łajanie zaś moje znosił prawdopodobnie w tym przekonaniu, że nie może być przecież bez tego, żebym go nie wyłajał za takie przestępstwo, więc niechże ulży swemu sercu, niech się pocieszy, niech wyłaje; ale w gruncie rzeczy uważał to za głupstwo, za takie głupstwo, o którym poważny człowiek i mówić by nie chciał. W ogóle zdaje mi się, że Pietrow uważał mnie za dziecko, niepojmujące najprostszych rzeczy na świecie. Jeżeli na przykład sam z nim zaczynałem rozmowę, i to o naukach i książkach, to odpowiadał mi wprawdzie, ale jakby tylko z grzeczności, ograniczając się do najkrótszych odpowiedzi.

Często zadawałem sobie pytanie: po co mu te książkowe wiadomości, o które się mnie zazwyczaj wypytuje? Zdarzało się, że podczas takich rozmów spojrzę na niego z boku: czy się też nie śmieje ze mnie? Ale nie; słuchał zwykle poważnie, uważnie, chociaż zresztą co się tyczy uwagi, to nie bardzo, i ta właśnie okoliczność niekiedy mnie gniewała. Pytania zadawał dokładne, wyraźnie określone, ale niezbyt się dziwił otrzymany wiadomościom i przyjmował je nawet z roztargnieniem... Zdawało mi się również, że powziął o mnie, niewiele sobie łamiąc głowę, wyobrażenie jako o człowieku, z którym

nie można rozmawiać jak z innymi ludźmi, że oprócz rozmowy o książkach nic innego nie rozumiem i nawet niezdolny jestem rozumieć, więc i nie warto mnie niepokoić pytaniami.

Jestem pewny, że Pietrow mnie nawet lubił, i to mnie bardzo zastanawiało. Może uważał mnie za człowieka niedorosłego, niepełnego, może miał dla mnie to szczególnego rodzaju współczucie, które instynktownie budzi się w każdej istocie silnej względem słabszej... nie wiem. I choć to wszystko nie przeszkadzało mu okradać mnie, wszakże jestem pewny, iż okradając, żałował mnie. „Ech — myślał sobie zapewne, sięgając ręką po moją własność — cóż to za człowiek, który nie umie bronić nawet swojego mienia!” Ale za to właśnie, jak się zdaje, mnie lubił. Sam mi to pewnego razu powiedział, wyrwało mu się to, że jestem „nazbyt dobroduszny człowiek” i „już tak prosty, tak prosty, że żal bierze. Tylko wy, Aleksandrze Piotrowiczu — dodał po chwili — nie bierzcie tego za obrazę, ja to tak z głębi duszy powiedziałem”.

Zdarza się niekiedy, że tacy ludzie trafiają na odpowiednią dla siebie rolę i zarysowują się świetnie w chwilach jakiegoś silnego zbiorowego działania lub przewrotu. To nie są ludzie słowa i nie mogą być inicjatorami i głównymi przywódcami, ale są głównymi wykonawcami i pierwsi zaczynają. Zaczynają po prostu, bez wykrzykników, ale pierwsi przeskakują główną przeszkodę, bez wahania i strachu idąc na ostrza — i wszyscy rzucają się za nimi i idą ślepo, idą, aż do ostatniej ściany, gdzie zwykle kładą głowy. Nie wierzę, żeby Pietrow dobrze skończył; znajdzie się jakaś chwila, w której się cały zaprzepaści, i jeżeli jeszcze dotychczas nie zginął, to znaczy, że jeszcze sposobność się nie nadarzyła. Zresztą, kto wie? Może i dożyje siwych włosów i najspokojniej umrze ze starości, przewałęawszy bez celu całe życie. Ale zdaje mi się, że M. miał słuszność, mówiąc, że to był najbardziej stanowczy z całej kategorii człowiek.

VIII. ICEK BUMSZTEJN. ŁAŹNIA PAROWA

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia. Aresztanci oczekiwali ich w jakimś uroczystym usposobieniu i patrząc na nich, ja sam zacząłem oczekiwać czegoś nadzwyczajnego. Na cztery dni przed świętami poprowadzono nas do łaźni parowej. Za moich czasów więziennych, szczególnie w pierwszych latach, rzadko się kiedy to działo, więc wszyscy się ucieszyli i ochoczo gotowali do tej wyprawy. Wyznaczono na to czas poobiedni i tego dnia nie było już po obiedzie roboty. Spomiędzy wszystkich w naszej kazarmie najwięcej krzątał się i najwięcej objawiał radości Isaj Fomicz (Izajasz, syn Tomasza) Bumsztejn, Żyd zesłany do katorgi, o którym już przedtem wspomniałem. Lubiał on parzyć się w łaźni do utraty zmysłów, i ile razy teraz, rozpatrując dawne wspomnienia, przypomnę sobie naszą łaźnię (która zasługuje na to, aby jej nie zapomnieć), zaraz na pierwszy plan obrazu występuje przede mną twarz uszczęśliwionego Isaja Fomicza, towarzysza mojej katorgi i współmieszkańca w kazarmie.

Boże, co za nieskończenie śmieszna figura! Lat pięćdziesięciu, chudy, cherlawy, pomarszczony, o skórze oskubanego kurczęcia i ze straszliwymi piętami na policzkach i na czole. A jednak na jego twarzy widać było nieustanne, niczym niezmacone zadowolenie z siebie, a nawet uszczęśliwienie. Zdawało się, że on wcale nie żałuje tego, iż dostał się do katorgi. Ponieważ był jubilerem, a w mieście innego nie było, więc miał dużo roboty jubilerskiej, którą wyłącznie był zajęty i za którą mu coś jednak płacono. Żył stosunkowo jak bogacz, a zarabiane pieniądze pożyczal na zastaw. Miał swój samowar, dobry materac do spania, szklanki, całe naczynie do obiadu. Żydzi w mieście utrzymywali z nim stosunki i otaczali go opieką. Co sobota chodził pod konwojem do boźnicy (na co prawo pozwalało). Była w nim najkomiczniejsza mieszanina naiwności, głupoty, chytryści, zuchwalstwa, dobroduszności, lękliwości, samochwalstwa i natręctwa. Bardzo mnie to dziwiło, że katorżnicy wcale go nie wyśmiewali, a chyba tylko dla zabawy z lekka żartowali z niego. Isaj Fomicz widocznie był tylko przedmiotem j rozrywki dla wszystkich. „My jego jednego tylko mamy, nie wolno ruszać Isaja Fomicza” — mawiali aresztanci, a Isaj Fomicz, choć wiedział, o co chodziło, pysnił się swoim znaczeniem, co bardzo bawiło aresztantów.

Pierwsze jego zjawienie się w katordze było niezmiernie zabawne (jeszcze przed moim przybyciem, ale mi opowiadano). Pewnego razu ku wieczorowi rozbiegła się nagle wieść w ostrogu, że przyprowadzono Żydka, że gołą go w kordegardzie i że niebawem

Żyd

Żyd

się zjawi. Nie było jeszcze wtedy ani jednego Żyda w kazarmie. Aresztanci oczekiwali go niecierpliwie i jak tylko wszedł na dziedziniec, natychmiast obścąpili. Podoficer przeprowadził go do cywilnej kazarmy i wskazał miejsce na narach. W rękę Icek Bumsztejn trzymał worek z wydanymi mu rzeczami rządowymi i ze swoimi własnymi. Przyszedłszy do nar, włożył na nie, położył worek koło siebie, podgiął nogi pod siebie i siedział, nie śmiejąc podnieść oczu na nikogo. Dokoła niego rozlegał się śmiech i aresztanckie żarty, których przedmiotem było jego żydowskie pochodzenie. Nagle przez tłum przecisnął się młody aresztant, niosąc w rękę jakieś brudne, stare, porwane spodnie letnie z dodatkiem rządowych onuc. Usiadłszy koło Icka, uderzył go po ramieniu.

— No, przyjacielu, ja już szósty rok czekam na ciebie. Popatrz no, wiele dasz za to?

I rozłożył przed nim przyniesione łachmany.

Icek Bumsztejn, który przy wejściu do ostroga tak był przelękły, że nawet oczu nie śmiał podnieść na tłum, który go szczelnie otoczył, na szydercze, straszne, piętnami oszpecone twarze, i który z przelęknienia nie zdołał jeszcze słowa przemówić — ujrawszy zastaw, ocknął się i zaczął żwawo przebierać palcami w łachmanach. Wysunął je nawet ku światłu. Wszyscy czekali, co powie.

— Cóż, rubla srebrem dasz przecie? Wszak warto! — ciągnął dalej zastawiający, mrużąc w stronę Icka.

— Rubla srebrem nie dam, a siedem kopiejek dać można.

I oto były pierwsze słowa, wypowiedziane przez Icka w ostrogu. Wszyscy aż się zacyzyli od śmiechu.

— Siedem! No, dawaj choć siedem! Ale pamiętaj, strzeż zastawu; głową mi za niego odpowiesz.

— Procentu trzy kopiejki, razem dziesięć — urywanym i drżącym głosem mówił dalej Żydek, sięgając ręką do kieszeni po pieniądze i bojaźliwie spoglądając na aresztantów. I tchórzył straszliwie, i chciało mu się interes załatwić.

— Trzy kopiejki procentu? Co? Chyba na rok?

— Nie, nie na rok, ale na miesiąc.

— Tęgiś, Żydzie. A jakże cię tytułować?

— Isaj Fomicz.

— No, Isaj Fomicz, daleko ty u nas zajdziesz! Bądź zdrów.

Isaj Fomicz jeszcze raz obejrzał zastaw, złożył i porządnie wsunął go do swego worka, wśród ciągłego śmiechu aresztantów.

Zdawało się nawet, że go wszyscy lubili, i nikt go nie obrażał, choć każdy był mu coś winien. Sam on był niezłotliwy jak kura i widząc powszechne dla siebie dobre usposobienie, udawał niekiedy zucha, ale z tak naiwnym komizmem, że to mu się natychmiast wybaczało. Jeden ze zbrodniarzy, Łuczka, który znał dobrze Żydów, drażnił go często, ale nie ze złości, tylko tak dla zabawy, podobnie jak się bawią z pieskiem, papugą, z uczonymi zwierzątkami. Icek wiedział o tym dobrze, ale się wcale nie obrażał i nadzwyczaj zręcznie odpierał żarty.

— Ej, Żydzie, walnę cię!

— Ty mnie raz uderzysz, a ja ciebie dziesięć — zuchowato odpowiadał Icek.

— Parch przekłęty.

— Niech będzie parch.

— Żyd parszywy!

— Niech i tak będzie. Choć parszywy, ale bogaty, ma pieniądze.

— Chrystusa sprzedał.

— Niech będzie.

— Dzielnie, Isaj Fomicz, zuch! Nie tykajcie go, on u nas jeden! — wołają ze śmiechem aresztanci.

— Ej, Żydzie, pokosztujesz knuta, pójdiesz na Sybir.

— Ja już i tak na Sybirze.

— Jeszcze dalej poślą.

— A czy tam Pan Bóg jest?

— No, Pan Bóg jest.

— To niechaj poślą; byle był tylko Pan Bóg i pieniądze, a wszędzie będzie dobrze.

Żyd

— Zuch Isaj Fomicz, widać, że zuch — wołają dokoła, a Icek chociaż widzi, że drzwi z niego, nadrabia miną; ogólne pochwały sprawiają mu widoczne zadowolenie i zaczyna śpiewać na cały głos cieniutkim dyszkantem: „La-la-la!” — jakąś koślawą i śmieszną melodię bez słów, jedyną, jaką śpiewał w ciągu całej katorgi. Potem, zaznajomiwszy się ze mną bliżej, zapewniał mnie pod przysięgą, że to jest ten sam motyw, który śpiewali Żydzi od najmłodszego do najstarszego w liczbie sześciuset tysięcy, przechodząc Morze Czerwone, i że jest nakaz, aby każdy Żyd śpiewał tę melodię w chwili zwycięstwa i triumfu.

W wigilię każdej soboty, w piątek wieczorem, przychodzili do nas z innych kazarm aresztanci, aby popatrzeć, jak Isaj Fomicz będzie odprowadzał szabas. A on był do tego stopnia chępliwym i próżnym, że ta powszechna ciekawość sprawiała mu zadowolenie. Z pedantyczną, umyślną powagą nakrywał w kąciku swój małeńki stoliczek, otwierał księgę, zapalał dwie świece i mrucząc jakieś tajemnicze słowa, zaczynał oblekać się w modlitewną szatę. Była to kraciasta chustka z wełnianej materii, którą starannie chował w swoim kufrze. Obie ręce przystrajał w rękawki, a na środku czoła przymocowywał jakieś drewniane pudełeczko, tak iż zdawało się, że Ickowi z czoła jakiś róg śmieszny sterczy. Potem zaczynała się modlitwa. Czytał ją ze śpiewną modulacją głosu, krzyczał, opluwając się, obracał się wokół, robił dzikie i śmieszne ruchy. Naturalnie, wszystko to było według przepisów obrzędowych i nic w tym nie było śmiesznego, chyba to, że Icek jakby umyślnie z tym wszystkim popisywał się przed nami. Bywało, nagle zakryje rękami głowę i zaczyna czytać, łkając. Łkanie wzmagą się, Icek jakby w omdleniu, niemal z wyciem chyli głowę uwieńczoną Arką Przymierza na księgę; gdy wtem nagle pośród najsilniejszego łkania zaczyna chichotać i wyśpiewywać jakimś słodko uroczystym, jakby od zbytku szczęścia osłabionym głosem. „Widzisz go, jak go rozbiera” — mawiali, przypatrując mu się aresztanci. Spytałem raz Isaja Fomicza, co znaczą te łkania i te nagle potem przejścia w ton szczęścia i błogości? Icek niezmiernie był rad, gdy o takie rzeczy zapytywałem. Natychmiast objaśnił mi, że płacz i łkania oznaczają myśl o utracie Jerozolimy, i że zakon¹¹⁵ nakazuje przy tej myśli jak najgłośniej płakać i bić się w piersi. Ale wśród najsilniejszego łkania, on, Isaj Fomicz, powinien nagle, jakby mimowolnie przypomnieć sobie (to nagle jest także zakonem przepisane), że jest przepowiednia o powrocie Żydów do Jerozolimy. I tuż natychmiast powinien wybuchnąć radością, pieśniami, śmiechem i odmawiać modlitwy w taki sposób, żeby samym głosem wyrazić jak najwięcej szczęścia, a w twarzy jak najwięcej triumfu i szlachetności. To nagle przejście i konieczny obowiązek tego przejścia nadzwyczaj podobały się Ickowi; widział w tym jakiś szczególny, niezmiernie dowcipny kunsztyk¹¹⁶ i z chępliwym wyrazem twarzy mówił mi o tym przepisie obrzędowym.

Pewnego razu wśród najgorętszej modlitwy Icka wszedł do izby plac-major w towarzystwie oficera karaulnego i straży wojskowej. Wszyscy aresztanci stanęli u swoich nar, wyciągnięci jak struny, jeden tylko Icek jeszcze silniej zaczął krzyżeć i gestykulować. Wiedział, że modlitwa dozwolona, że przerywać jej nie wolno, i krzyżąc wobec majora na nic się, naturalnie, nie narażał. Sprawiało mu to wielką przyjemność, że może wobec majora zucha udawać i popisać się przed nami. Major podszedł ku niemu i stanął na krok przed nim: Icek obrócił się tyłem ku swemu stolikowi i prosto w twarz majorowi zaczął wyśpiewywać swoje uroczyste proroctwo, wymachując przy tym rękami! Ponieważ i w tej chwili według przepisów religijnych należało mu wyrazić w twarzy bezmiar szczęścia i radości, więc uczynił to niezwłocznie, przymykając oczy, śmiejąc się i kiwając do majora głową. Major był zdziwiony; wreszcie parsknął mu w oczy śmiechem, nazwał głupcem i odszedł, a Icek jeszcze z większym wyteżeniem począł krzyżeć. W godzinę potem, kiedy wieczerał, zapytałem go:

- A cóż by się stało, gdyby plac-major przez głupotę obraził się na was?
- Jaki plac- major?
- Jak to jaki? Czyście go nie widzieli?
- Nie!
- A przecież on stał tuż przed wami, wprost twarzą w twarz.

¹¹⁵zakon (daw.) — prawo, powinność religijna a. prawna; wiara, religia. [przypis edytorski]

¹¹⁶kunsztyk (daw.) — dzieło sztuki, majstersztyk; sztuczka, żart. [przypis edytorski]

Ale Isaj Fomicz zaczął najpoważniej zapewniać, że stanowczo nie widział żadnego majora, że w takiej chwili przy podobnych modlitwach wpada w ekstazę i nic już wtedy nie widzi, co się wkoło niego dzieje.

Jak dziś widzę Isaja Fomicza, jak, bywało, w sobotę wałęsa się po całym ostrogu, usiłując jak najgorliwiej nic nie robić, stosownie do przepisów zakonu. Jakie mi niemożliwe anegdoty opowiadał za każdym razem, gdy powracał ze swojej bożnicy; jakie nieprawdopodobne przynosił wieści z Petersburga, zapewniając, że ma je od swoich Żydków, a ci z najpierwszych rąk.

Ale już za wiele rozwodzę się nad Isajem Fomiczem.

W całym mieście były tylko dwie publiczne łaźnie parowe. Pierwsza, należąca do jakiegoś Żyda, miała numery po 50 kopiejek i urządzona była dla grubych ryb. Druga, przeznaczona przede wszystkim dla pospólstwa, była stara, błotnista, ciasna i tam to poprowadzono nasz ostróg. Było mroźno i słonecznie; dla aresztantów już to było uciechą, że wyjdą z fortecy i popatrzą na miasto. Żarty i śmiechy nie ustawały w drodze. Pół roty żołnierzy z nabitą bronią prowadziło nas na podziw całemu miastu. W łaźni natychmiast podzielono nas na dwie zmiany: druga czekała w chłodnej sieni łaźiebnej, dopóki się pierwsza myła, co było rzeczą konieczną z powodu ciasnoty łaźni. Ale nawet pomimo tego podziału trudno było sobie wyobrazić, jakim sposobem połowa naszych mogła się w niej pomieścić. Pietrow nie odstępował mnie; bez wezwania z mojej strony poskoczył, aby mi usługiwać, i ofiarował się nawet wymyć mnie.

Kiedyśmy otworzyli drzwi z sieni do łaźni, zdawało mi się, że jestem w piekle. Wyobraźcie sobie izbę dwanaście kroków długą, tyleż szeroką, w której ścisnęło się do stu może ludzi, a już z pewnością nie mniej niż osiemdziesięciu, ponieważ aresztanci podzieleni byli na tylko dwie zmiany, a wszystkich nas przyszło do dwustu ludzi. Para zasłaniająca oczy, swąd, brud, ciasnota taka, że nie ma gdzie postawić nogi. Przeląknęłam się i chciałam wracać, ale Pietrow dodał mi zaraz ducha. Z wielkim trudem przedostaliśmy się do ławek przez głowy siedzących na podłodze ludzi, prosząc ich, aby się nagięli i pozwolili przejść nad sobą. Pietrow oświadczył mi, że miejsce trzeba kupić i natychmiast rozpoczął targ z aresztantem, który się usadowił koło okienka. Ten za kopiejkę ustąpił swego miejsca, otrzymał natychmiast zapłatę od Pietrowa, który ją niósł w ściśniętej pięści, zawczasu ją przygotowywawszy, i zaraz ukrył się pod ławą, tuż pod moim miejscem, gdzie było ciemno i błotno. Ale i pod ławkami miejsca były zajęte, i tam roilo się od ludu więziennego. Nigdzie na podłodze nie było ani na dłoń wolnego miejsca, gdzieby nie siedzieli, skurczywszy nogi, aresztanci, opluskując się wodą z konewczek. Pomiedzy siedzącymi niektórzy myli się, stojąc z konewkami w rękach, a brudna woda spływała z nich wprost na golone głowy siedzących obok. Na wzniesionym pomoście i prowadzących do niego stopniach wszędzie także siedzieli myjący się, skurczywszy się i najeżywszy. Ale mycia było niewiele; prosty lud mało się myje wodą gorącą i mydłem, straszliwie się tylko parzy i oblewa potem zimną wodą — otóż i cała łaźnia. Pięćdziesiąt mioteł na górze podnosiło się i spadało naraz; chłostano się bez pamięci. Co chwila dodawano pary: to już nie gorąco było, ale piekło. Zewsząd słychać wołania, krzyki, piski, śmiechy i dźwięk stu łańcuchów wleczonych po podłodze... Niektórzy, chcąc przejść z jednego miejsca w drugie, zaplątywali się w cudzych łańcuchach i sami zaczepiali łańcuchami o głowy siedzących niżej, padali, klęli i ciągnęli za sobą zaczepionych. Brud lał się ze wszystkich stron. Wszyscy byli w stanie szczególnego ożywienia, jakby pijani. Przy okienku, skąd podawano wodę z sieni łaźiebnej, był natłok, łajano się, kłócono, popychano. Gorąca woda, którą stamtąd otrzymywano, rozlewała się na głowy siedzących w dole, zanim ją doniesiono do miejsca przeznaczenia. Co chwila przez okna lub przymknięte drzwi zaglądała wąsata twarz żołnierza z bronią w ręku, aby się przekonać, czy nie ma nieporządku. Ogolone głowy i rozparzone do czerwoności ciała aresztantów wydawały się jeszcze potworniejsze. Na rozparzonych grzbietach jaskrawo zazwyczaj występują blizny po otrzymanych knutach i kijach, i teraz więc wszystkie te grzbiety wydawały się na nowo pokrwawione. Straszliwie blizny! Mróz przeszedł mi po skórze, gdy patrzyłam na nie.

Dodadzą pary — i jej gęsty obłok zakryje całą łaźnię; wszystko zahuczy i zawyje. W obłoku pary migają zranione grzbiety, ogolone głowy, skurczone ręce i nogi, a nad tym wszystkim, na najwyższym stopniu łaźni Isaj Fomicz wrzeszczy na całe gardło. Parzy się bez pamięci, ale zdaje się, że nie ma gorąca, które by mogło go nasycić; za kopiejkę

Pieniądz

najmuje łaziebника, który go ćwiczy miotłą, ale i łaziebnik w końcu wytrzymać nie może, rzuca miotelkę i biegnie oblać się zimną wodą. Isaj Fomicz nie daje za wygraną i najmuje drugiego, trzeciego; w takim razie postanawia już nie oglądać się na wydatki i zmienia do pięciu łaziebników. „Dobrze się parzy, zuch Isaj Fomicz” — wołają doń z dołu aresztanci. Icek czuje, że w tej chwili przewyższył wszystkich, wszystkich zostawił za sobą; triumfuje i jak szalony, ostrym, krzykliwym głosem wyśpiewuje swoją arię: „La-la-la-la-la”, wybijającą się nad wszystkie głosy. Przyszło mi na myśl, że jeśli kiedyś znajdziemy się tak razem w piekle, to będzie ono bardzo podobne do tego miejsca. Nie wytrzymałem, żeby nie podzielić się mym domysłem z Pietrowem; ten popatrzył tylko dokoła i nic nie odpowiedział.

IX. PRZEDSTAWIENIE AMATORSKIE

Na trzeci dzień Bożego Narodzenia, wieczorem, odbyło się pierwsze przedstawienie w naszym teatrze. Wiele było zapewne przedwstępnych starań i kłopotów około urządzenia widowiska, ale aktorzy wszystko wzięli na siebie, tak że my wszyscy inni nie wiedzieliśmy nic o nich, nie wiedzieliśmy, co i jak się robi, a nawet jakie sztuki będą grane. Aktorzy przez trzy dni poprzedzające widowisko, wychodząc na robotę, starali się wydostać jak najwięcej kostiumów. Niektórzy mieszkańcy Omska obiecali pożyczyć ubiory do ról aktorskich, nawet dla kobiecych, a za pośrednictwem pewnego dieńszczyka spodziewano się nawet dostać oficcerski ubiór z akselbantami¹¹⁷. Obawiano się tylko, żeby plac-major nie zabronił widowiska, jak to się stało roku poprzedniego. Ale w zeszłym roku podczas świąt major był w złym humorze: zgrał się gdzieś w karty, a przy tym w ostrogu były awantury, toteż ze złości zabronił przedstawienia. Teraz nie wiedzieliśmy wcale, czy wiedział coś o teatrze, a jeśli wiedział, czy dał formalne pozwolenie, czy też postanowił tylko patrzeć przez palce, machnąwszy ręką na tę aresztancką zabawę i zezwoliwszy na nią w milczeniu, pod warunkiem naturalnie, że wszystko się odbędzie w porządku. Myślę, że wiedział o teatrze, nie mógł nie wiedzieć; ale nie chciał się w to wdawać i zabraniać, rozumiejąc, że z zakazu może coś gorszego wyniknąć: aresztanci zaczną hulać, pić, więc daleko lepiej, że się czymś zajmą. Zresztą, domyślałem się, że major tak rozumował, tylko dlatego, że to najprostsze i najrozsądniejsze rozumowanie. Można powiedzieć nawet, że gdyby aresztanci nie zamierzali podczas świąt grać teatru lub nie mieli jakiegoś podobnego zajęcia, to władzy wypadłoby je wymyślić. Ale ponieważ nasz plac-major odznaczał się wręcz odmiennym sposobem myślenia, to czuję, że biorę wielki grzech na siebie, przypuszczając, że wiedział coś o teatrze i pozwolił na przedstawienie.

Taki człowiek jak plac-major czuł potrzebę wszędzie kogoś przydusić, coś odjąć, kogoś pozbawić prawa; pod tym względem znany był w całym mieście. Co mu do tego, że wskutek tych dokuczań mogą wyniknąć zaburzenia w ostrogu? Na zaburzenia są kary (tak rozumieją tacy jak nasz plac-major), a z łotrami aresztantami surowość i nieustanne stosowanie litery prawa — to i wszystko, czego potrzeba! Tacy niezdarni wykonawcy prawa stanowczo nie pojmują i nie są zdolni pojąć, że samo stosowanie litery prawa bez rozumienia jego ducha wiedzie wprost do nieporządków i nigdy do niczego innego nie wiodło. „Tak w prawie powiedziano, czegoż chcieć więcej?” — mówią oni i szczerze są zadziwieni, że w dodatku do prawa żądają od nich zdrowego rozsądku i trzeźwej głowy.

Jakkolwiek tam było, dość że starszy podoficer nie występował przeciw teatrowi, a tego im tylko było potrzeba. Powiem stanowczo, że teatr i wdzięczność za to, że nań pozwolono, sprawiły, że przez święto nie było ani jednego ważniejszego nieporządku: ani jednej bójki, ani jednego złodziejstwa. Sam byłem świadkiem, jak aresztanci powściągali tych, co się zbyt rozahulali lub pokłócili, jedynie pod tym pretekstem, że mogą zabronić teatru. Dali oni słowo podoficerowi, że przez ten czas będzie cisza i spokój i wszyscy będą się dobrze prowadzili. Obietnicę spełniali święcie, a schlebiali im to, że wierzą ich słowu. Trzeba zresztą dodać, że urządzenie teatru nie wymagało najmniejszych ofiar ze strony rządu: miejsce nie było uprzednio ogradzane, cały teatr budowano i rozbierano w ciągu jednego kwadransa. Przedstawienie trwało półtorej godziny i gdyby nagle nadszedł rozkaz z góry: przerwać je — teatr zniknąłby w jednym mgnieniu oka. Kostiumy były przechowane

Władza

¹¹⁷ *akselbant* — sznur galowy, ozdobny pleciony sznur naramienny, będący częścią stroju wojskowego. [przypis edytorski]

w kufkach aresztanckich. Ale zanim opiszę urządzenie teatru i kostiumy, powiem nieco o afiszu teatralnym, to jest, co mianowicie zamierzano grać.

Właściwie mówiąc, nie było pisanego afisza. Dopiero na drugie, trzecie przedstawienie zjawił się jeden, napisany przez Bakłuszyna dla pp. oficerów i w ogóle szlachejnych widzów, którzy raczyli przybyć jeszcze na pierwsze przedstawienie do naszego teatru. Z oficerów mianowicie bywał zwykle na przedstawieniach karaulny, raz zaszedł sam dyżurny, raz także oficer inżynieryjny; dla takich to gości napisany był nasz afisz. Rojono sobie, że sława aresztanckiego teatru rozgrzmi daleko po fortocy, a nawet w mieście, zwłaszcza że w mieście nie było teatru. Były wieści, że amatorzy zdobyli się w mieście na jedno przedstawienie i tyle tylko. Aresztanci jak dzieci cieszyli się z najmniejszego powodzenia, chępli się nawet. „Kto tam wie — myśleli i mówili do siebie — może i wyższa władza dowie się o teatrze; przyjdą i popatrzą; dowiedzą się wtedy, jakich mają aresztantów. To nie proste żołdackie przedstawienie ze straszidłami na wróble, z płynącymi łódkami, z chodzącymi niedźwiedziami i kozami. Tu są aktorzy, prawdziwi aktorzy, pańskie komedie grają; takiego teatru nawet w mieście nie ma. U generała Abrosimowa było raz, mówią, przedstawienie i jeszcze będzie; no, zapewne kostiumami przewyższą, ale co się tyczy *rozmowy*, to jeszcze nie wiadomo, czy naszych prześcigną! Kto wie, może i do gubernatora dojdzie wieść o tym, i — diabeł nie śpi — może i sam zechce przyjść i popatrzeć. W mieście nie ma teatru”... Jednym słowem fantazja aresztantów, szczególnie po pierwszym powodzeniu, wybujała podczas świąt do najwyższego stopnia, roiła nieomal o nagrodach i o skróceniu czasu kary, choć też prawie jednocześnie poczynali się oni najdobroduszniej śmiać ze swoich rojeń. Jednym słowem były to dzieci, prawdziwe dzieci, pomimo iż niektórzy z nich mieli po lat czterdzieści.

Chociaż nie było z początku afisza, wiedziałem, z czego się ma składać przedstawienie. Pierwsza sztuka miała nazwę: *Filatka i Miroszka współzawodnicy*¹¹⁸. Bakłuszyn — jeden z tych, co brali największy udział w urządzeniu teatru — jeszcze na tydzień przed widowiskiem chwalił się przede mną, że rola Filatki, którą wziął na siebie, będzie tak przedstawiona, jak nie bywa nawet na *sankt-petersburskim* teatrze. Przechadzając się po kazarmach, chępli się niemilosiernie i bezczelnie, ale zarazem zupełnie dobroduszenie swoją grą, a naraz, bywało, wypali „tyatralnie” jakiś ustęp ze swojej roli, i czy to śmieszny, czy nie śmieszny słuchacze kładą się od śmiechu.

Zresztą trzeba przyznać, że i w tym względzie aresztanci umieli zachować pozory i strzec swej godności. Wyskokami Bakłuszyna i opowiadaniem o przyszłym teatrze zachwycały się tylko albo młokosy, nieumiejące utrzymać się w aresztanckiej powadze, albo najznakomitsi z aresztantów, których powaga była niewzruszona, tak, że mogli się nie kępować w wynurzaniu wrażeń jak najbardziej naiwnych (co w ostrogu uchodziło za nieprzyzwoitość). Wszyscy inni słuchali wieści i rozpraw o teatrze w milczeniu; nie ganiłi wprawdzie, nie przeczyli, ale ze wszystkich sił starali się okazać obojętność dla teatru, a nawet spoglądać na niego z góry. Dopiero w ostatniej chwili, w sam dzień przedstawienia wszyscy zaczęli się interesować: co to będzie? Jakże tam nasi? Cóż plac-major? Czy uda się tak jak w zaprzeszłym roku? itd. Bakłuszyn zapewniał mnie, że wszyscy aktorzy dobrani wspaniale, że nawet kurtyna będzie, że narzeczoną Filatki będzie grał Sirotkin i — „no, sami zobaczycie, jak on w kobiecym ubiorze wygląda” — mówił, mrużąc oczy i przymlaskując językiem. Dobroczyzna *pomieszczycyca* (obywatelka wiejska) będzie miała suknię z falbaną i pelerynką i parasolkę w ręce, a dobroczynny *pomieszczczyk* (właściciel dóbr) wyjdzie w oficerskim surducie z akselbantami i z laseczką.

Druga sztuka, którą miano grać, nazywała się: *Kiedrył-obżara* (Kiedrył-żarłok). Nazwa zaciekała mnie, ale choć dopytywałem się o treść sztuki, nic się o tym naprzód nie mogłem dowiedzieć. Dowiedziałem się tylko, że nie z książki wzięta, ale z rękopisu, że dostano ją od jakiegoś podoficera na przedmieściu, który prawdopodobnie sam kiedyś brał udział w jej przedstawieniu na scenie żołnierskiej. W istocie są u nas w odległych miastach i guberniach takie sztuki teatralne, które nikomu nieznanne, nigdy może nie drukowane, skądś jednak przybyły i stanowią niezaprzeczoną własność każdego ludowego teatru w pewnym pasie Rosji. Nawiasem dodam, że byłoby bardzo a bardzo dobrze, gdyby

¹¹⁸*Filatka i Miroszka współzawodnicy*, czyli *czterech panów młodych i jedna panna młoda* — popularny wodewil rosyjskiego aktora i dramaturga Piotra Grigoriewicza Grigoriewa (1807–1854), wystawiany w petersburskim Teatrze Aleksandryjskim. [przypis edytorski]

któryś z naszych badaczy podjął nowe i bardziej staranne niż dotąd poszukiwania w dziedzinie teatru ludowego, który jest, istnieje i może nawet ma niemałą wartość. Nie chce mi się wierzyć, ażeby wszystko, co potem widziałem w naszym teatrze w ostrogu, było dziełem naszych aresztantów. Trzeba się koniecznie domyślać tradycyjnego przechodzenia z pokolenia na pokolenie ustalonych sposobów i pojęć, a należy ich szukać wśród żołnierzy, robotników fabrycznych, w miastach przemysłowych, a nawet w pewnych nieznanymi ubogich miasteczkach u mieszczan. Zachowały się one także po wioskach i miastach gubernialnych, wśród służby dworskiej i bogatszych właścicieli ziemskich. Sądzę nawet, że stare sztuki teatralne w Rosji nie inaczej się rozplodziły w licznych kopiach pisanych, jak za pośrednictwem służby dworskiej. U dawnych *pomieszczyków* i moskiewskich panów były własne teatry, które się składały z artystów-poddanych. I w tych to teatrach trzeba szukać początku naszej ludowej sztuki dramatycznej, której cechy są niewątpliwe.

Co się tyczy *Kiedryła-żartoka*, to pomimo wszelkich usiłowań nie mogłem się dowiedzieć uprzednio o nim nic więcej nad to, że na scenie zjawiają się złe duchy i ciągną Kiedryła do piekła. Ale co znaczy ten Kiedrył? i dlaczego Kiedrył, a nie Kirył (Cyryl)? Czy to ma być rosyjskie zdarzenie, czy cudzoziemskie? — nie mogłem się tego dopytać. W końcu, jak ogłaszano, miała być „pantomina z muzyką”. Niewątpliwie wszystko to było rzeczą bardzo ciekawą. Aktorów było piętnastu, wszystko lud żwawy i dzielny. Krzątali się, odbywali próby, niekiedy chowali się za kazarmami, otaczali tajemnicą. Jednym słowem chcieli nas olśnić czymś niezwykłym i niespodziewanym.

W dzień powszedni ostróg zamykano wcześniej, jak tylko noc nadeszła. W święta Bożego Narodzenia wyjątkowo nie zamykano aż do wieczornego capstrzyku¹¹⁹. Ulgę tę robiono właściwie dla teatru. W ciągu świąt codziennie przed wieczorem posyłano do karaulnego oficera z najpokorniejszą prośbą, by „zezwoić na teatr i nie zamykać wcześniej ostrogu”, i z dodatkową uwagą, że i wczoraj było przedstawienie i ostróg długo pozostawał niezamknięty, a nieporządków nie było. Oficer karaulny tak rozumował: nieporządków w istocie wczoraj nie było, a skoro sami dają przyrzeczenie, że i dziś ich nie będzie, więc sami będą siebie pilnować, a takie bezpieczeństwo najlepsze. A jeśli się nie pozwoli na teatr, to kto ich wie, wszak lud katorżny, mogą umyślnie coś nabroić i nawarzyć karaulnym piwa. A nareszcie i to coś znaczy: na straży stać nudno, a tymczasem teatr, i to nie zwykły żołdacki, ale aresztancki, a aresztanci ludzie ciekawi: wesoło będzie popatrzeć. A patrzeć karaulnemu oficerowi zawsze wolno.

Przyjedzie dyżurny: „Gdzie karaulny oficer?” — „Poszedł do ostrogu obliczać aresztantów i zamykać kazarmy” — odpowiedź prosta i usprawiedliwienie naturalne. Tym sposobem oficerowie karaulni podczas świąt co wieczór zezwalali na teatr i nie zamykali kazarmów aż do wieczornego capstrzyku. Aresztanci z góry wiedzieli, że straż wojskowa nie będzie stawiała przeszkód i byli spokojni.

O godzinie siódmej przyszedł po mnie Pietrow i razem udaliśmy się na przedstawienie. Z naszej kazarmy poszli prawie wszyscy z wyjątkiem czernihowskiego starowierca i Polaków. Polacy dopiero na ostatnie przedstawienie, czwartego stycznia, zdecydowali się pójść do teatru, i to po wielu zapewnieniach, że tam i dobrze, i wesoło, i bezpiecznie. Wybredność Polaków bynajmniej nie rozdrażniała aresztantów i czwartego stycznia bardzo grzecznie ich przyjęto, a nawet ustąpiono lepszych miejsc. Co się tyczy Czerkiesów i Icka, to im nasz teatr sprawiał prawdziwą rozkosz. Icek za każdym razem dawał trzy kopiejki, a ostatniego razu położył aż dziesięć kopiejek na talerzu i uszczęśliwienie malowało się na jego twarzy. Aktorzy postanowili zbierać składkę od obecnych, kto co da, na rozchody teatralne, a także i na własne „pokrzenie”. Pietrow zapewniał mnie, że choćby teatr był najbardziej nabity, to jednak mnie puszcza na jedno z pierwszych miejsc, dlatego naprzód, że jako bogatszy od innych zapewne dam więcej, a po wtóre, że się więcej od nich znam na rzeczy. Tak się też i stało. Ale opiszę naprzód salę i urządzenie teatru.

Nasza wojskowa kazarma, w której urządzono teatr, miała piętnaście kroków długości. Z dziedzińca wchodziło się na ganek, z ganku do sieni, z sieni do kazarmy. Ta długa izba, jak to już powiedziałem przedtem, była szczególnie urządzona: pod ścianami cią-

Teatr

¹¹⁹capstrzyk — w wojsku: ustalony sygnał wzywający na apel wieczorny lub do udania się na spoczynek. [przypis edytorski]

gnęły się nary, środek zaś kazarmy był wolny. Połowa izby bliższa wejściu z ganku oddana była widzom; druga połowa, z której było przejście do innej kazarmy, przeznaczona była na scenę. Przede wszystkim uderzyła mnie kurtyna. Ciągnęła się w poprzek całej kazarmy na dziesięć kroków. Kurtyna była zbyt kownym przedmiotem, że było się czemu przypatrzyć. Malowana była olejno: wyobrażono na niej drzewa, altanki, sadzawki, gwiazdy. Zrobiono ją ze starego i nowego płótna, ile kto dał i zaofiarował; ze starych aresztanckich onuc i koszul, byle jak zszytych w jedną wielką płachtę, a wreszcie część jej, na którą zabrakło płótna, składała się już tylko z papieru, który wyproszone po arkuszu w różnych kancelariach i urzędach. Nasi malarze, między którymi odznaczał się aresztancki Briułłow, A-w, postarali się o pomalowanie kurtyny. Taki przepych rozradował nawet najbardziej ponurych i ze wszystkiego niezadowolonych aresztantów i wszyscy oni, gdy doszło do przedstawienia, okazali się takimi samymi dziećmi, jak i ci, co byli najgorętsi i najniecierpliwsi. Wszyscy byli mocno zadowoleni, nawet chełpliwie zadowoleni.

Oświetlenie składało się z kilku lojowych świeczek, pokrajanych na kawałki. Przed kurtyną stały dwie ławki z kuchni, a przed ławkami trzy — cztery krzesła, jakie się znalazły w izbie podoficerskiej. Krzesła te przeznaczone były dla najwyższych osób ze stanu oficerskiego, ławki zaś dla podoficerów i pisarzy inżynieryjnych, konduktorów i innych ludzi należących do władzy, ale niemających stopnia oficerskiego, a to na wypadek gdyby chcieli zajrzeć do ostrogu. Tak się też i stało: postronnych świadków mieliśmy ciągle, przez całe święta, raz mniej, drugi raz więcej; na ostatnim przedstawieniu ani jedno miejsce na ławkach nie zostało niezajęte. Dopiero z tyłu za ławkami mieścili się aresztanci, stojąc, z szacunku do gości, bez czapek, w kurtkach albo półkożuszkach, pomimo duszącego powietrza w izbie. Naturalnie, miejsca dla aresztantów było bardzo mało. Ale nie dość, że literalnie jeden siedział na drugim, szczególnie w ostatnich rzędach, zajęte były także nary, kulisy, a wreszcie znaleźli się amatorzy, którzy na każde przedstawienie chodzili do drugiej, sąsiedniej kazarmy i stamtąd zza tylnej kulisy przypatrywali się widowisku. Ścisk w pierwszej połowie teatralnej kazarmy był nie do opisania i równał się chyba temu ściskowi, który niedawno przedtem widziałem w łaźni. Drzwi od sieni były otwarte; w sieniach, gdzie było ze dwadzieścia stopni mrozu, cisnął się także lud więzienny.

Nas, to jest mnie i Pietrowa, puszczone natychmiast naprzód, prawie do samych ławek, gdzie było daleko widniej niż w tylnych rzędach. We mnie po części ceniono znawcę, który bywał i nie w takich teatrach; aresztanci widzieli, jak przez cały czas przygotowań teatralnych Bakłuszyn naradzał się ze mną, jaki miał dla mnie szacunek, a więc należy mi się teraz — tak rozumowali — pierwszeństwo i honorowe miejsce. Prawda, aresztanci odznaczyli się próżnością i najwyższą lekkomyślnością, ale grunt w nich był inny. Śmiali się ze mnie, widząc, że jestem lichy w porównaniu z nimi robotnik; Almazow z pogardą spoglądał na nas, szlachtę, pyszniąc się wobec nas swoją umiejętnością wypalania alabastru. Ale do prześladowania i urągania z nas pobudzało ich jeszcze co innego: myśmy byli kiedyś szlachtą, należeliśmy do tego stanu, co ich dawniejsi panowie, o których nie mogli zachować dobrej pamięci. Teraz jednak w teatrze ustępowali przede mną. Uznawali, że ja o tym mogę lepiej od nich sądzić, że wiem i widziałem więcej od nich. Najbardziej niechętni dla mnie (wiem o tym) pragnęli teraz mojej pochwały dla swego teatru i bez wszelkiej trudności puścili mnie na lepsze miejsce. Tak sądzę teraz z wrażenia, które wówczas odniosłem. Zdawało mi się wówczas także, że w ich słusznym ocenianiu siebie nie było wcale unizniania się, tylko poczucie własnej godności. Najlepszy i najwybitniejszy rys charakteru naszego ludu to poczucie sprawiedliwości i jej pragnienie. Koguciego rozpędu, aby stawać zawsze na przedzie, i to za jakąkolwiek cenę, bez względu, czy ktoś na to zasługuje, czy nie — tego u ludu nie ma. Trzeba tylko zdjąć zewnętrzną, narośniętą korę i popatrzeć na samo jądro z bliska, uważnie, bez uprzedzeń, a niejeden dojrzy w ludzie takie rzeczy, których ani się domyślał. Niewiele mogą nauczyć lud mędracy nasi; i owszem, sami powinni się od niego pouczyć.

Pietrow powiedział mi naiwnie, gdyśmy się wybierali do teatru, że i dlatego jeszcze puszcza mnie naprzód, że dam więcej pieniędzy. Oznaczonej ceny nie było, każdy dawał, co mógł albo chciał. Kiedy obnoszono talerz na zbieranie pieniędzy, prawie wszyscy coś dali, choćby po groszu. Ale jeżeli mnie puszczone naprzód, po części i dlatego, że spodziewano

się ode mnie więcej pieniędzy, to znowu ile w tym było poczucia własnej godności! „Ty bogatszy ode mnie, a więc idź naprzód, i chociaż my tu wszyscy równi, ale ty położysz więcej, więc jesteś miłszy dla aktorów, więc tobie się należy pierwsze miejsce, a my, którzy nie kupujemy miejsc, powinniśmy się sami segregować”. Ile w tym prawdziwej szlachetnej dumy! To nie jest szacunek do pieniędzy, ale szacunek do samego siebie. W ogóle do pieniędzy, do bogactwa nie było w ostrogu szczególnego szacunku, zwłaszcza jeśli brać pod uwagę ogół aresztantów. A gdyby nawet rozpatrywać każdego z nich z osobna, to nie pamiętam ani jednego, który by się na dobre uniżał dla pieniędzy. Byli natręci, którzy i mnie dokuczali prośbami, ale w tym natręctwie było więcej swawoli, oszukaństwa niżeli zebraniny, więcej humoru, naiwności. Nie wiem, czy zrozumiałe się wyrażam...

Do podniesienia zasłony cała izba przedstawiała dziwny i pełen ożywienia obraz. Naprzód tłum widzów, zduszony, ściśnięty ze wszystkich stron, cierpliwie i z błogością w twarzy wyczekujący początku przedstawienia. W tylnych rzędach ludzie tłoczyli się jedni na drugich. Wielu z nich przyniosło ze sobą polana z kuchni: jako tako ustawivszy polano pod ścianą, aresztant włożył na nie, obu rękami opierał się na barkach stojącego przed nim widza i nie zmieniając położenia, stał tym sposobem przez dwie godziny, zupełnie zadowolony z siebie i ze swego miejsca. Inni włożyli na wystającą przystawkę koło pieca i tam cały czas przestali, opierając się na stojących przed nimi widzach. Działo się to mianowicie w tylnych rzędach, pod ścianą. Z boku, na narach, tłoczyła się również gęsta gromada, nad muzykantami. Tu były dobre miejsca. Pięciu ludzi wdrapało się aż na piec i leżąc na nim, patrzyli w dół. Toż to używali szczęścia! Przy oknach po drugiej stronie izby cisnęły się także tłumy tych, co się spóźnili lub nie znaleźli dobrego miejsca. Wszyscy zachowywali się cicho i przyzwoicie. Każdy chciał się z jak najlepszej strony pokazać przed panami i gośćmi. Na wszystkich twarzach odzwierciedlało się naiwne oczekiwanie. Wszystkie twarze były czerwone i złane potem od gorąca i zaduchu. Co za dziwny odblask dziecinnej radości, miłego, czystego zadowolenia jaśniał na tych pokiereszowanych, popiętnowanych czołach i twarzach, w tych spojrzaniach, dotychczas ponurych i mrocznych, w tych oczach, które nieraz migotały straszliwym ogniem! Wszyscy byli bez czapek i z prawej strony wszystkie głowy wydawały mi się jakby całkiem ogolone.

Ale oto na scenie słychać krzatanie się i bieganie. Wnet podniosą zasłonę, oto już zagrała orkiestra... Ta orkiestra zasługuje na wzmiankę. Z boku, na narach, usadowiło się ośmiu muzykantów: dwoje skrzypiec (jedne były w ostrogu, drugich pożyczono od kogoś w forticy, a artysta znalazł się wśród aresztantów), trzy bałajki, wszystkie własnego wyrobu, dwie gitary i tamburyn zamiast kontrabas. Skrzypce tylko piszczaly i drapały uszy, gitary były liche, za to bałajki niezrównane. Zręczność w przebieraniu po strunach palcami była nadzwyczajna. Grano same taneczne motywy. W miejscach, gdzie taneczność motywu bardziej się uwydatnia, artyści grający na bałajkach uderzali palcami w denko bałajki; ton, smak, wykonanie, sposób obchodzenia się z instrumentem, charakter oddania motywu — wszystko było swoje, oryginalne, aresztanckie. Jeden z gitarzystów również znakomicie znał się na swoim instrumencie. Był to ten szlachcic, który siedział za zabicie swego ojca. Co się tyczy grającego na tamburynie, to ten tworzył istne cuda: to zakręci go na palcu, to kciukiem przesunie po jego skórze, to słychać częste, dźwięczne, jednostajne uderzenia, to nagle ton silny i wyrazisty dźwięk rozsypuje się jakby grochem na niezliczoną ilość maleńkich, głucho dźwięczących i szepczących głosów. Na koniec zjawiły się dwie harmonie. Daję słowo honoru, nie miałem dotychczas pojęcia o tym, co można zrobić z prostych, ludowych instrumentów; zgodność dźwięków i instrumentów, a głównie duch, charakter pojęcia i oddania istoty motywu były wprost zadziwiające. Po raz pierwszy wtedy dobrze pojąłem, co jest nieskończenie hulaszczego i dzielnego w hulaszczycy rosyjskich pieśniach tanecznych.

Na koniec podniosła się zasłona. Wszyscy się poruszyli, przestąpili z jednej nogi na drugą, stojący z tyłu podnieśli się na palcach; ktoś spadł z polana; wszyscy co do jednego otwarli usta i wytyżyli oczy, i zapanowała najzupełniejsza cisza... Zaczęło się przedstawienie.

Koło mnie stał Alej, pośród swoich braci i innych Czerkiesów. Wszyscy oni namiętnie polubili teatr i potem co wieczór bywali na przedstawieniu. Miałem nieraz sposobność zauważyć, że wszyscy muzułmanie, Tatarzy i inni namiętnie lubią wszelkiego rodzaju widowiska. Koło nich przykucnął i Isaj Fomicz; zdawało się, że z podniesieniem zasłony

Muzyka

zamienił się cały w słuch i wzrok, i w najnaiwniejsze, gorące oczekiwanie cudów i rozkoszy, tak że aż przykro było pomyśleć sobie, że może doznać rozczarowania. Miła twarz Aleja świeciła taką dziecinną, rozkoszną radością, że miałem nadzwyczajną przyjemność patrzeć na niego i pamiętam, że mimo woli przy każdym jakimś śmiesznym lub zręcznym zwrocie aktora, kiedy się rozległ powszechny śmiech, natychmiast zwracałem się do Aleja i spoglądałem mu w twarz. On mnie nie widział; miał co innego do widzenia! Niedaleko ode mnie, z lewej strony, stał aresztant w podeszłym już wieku, zawsze nachmurzony, zawsze niezadowolony i mrukliwy. On także zwrócił uwagę na Aleja i widziałem, jak kilka razy z półśmiechem obracał się, by popatrzeć na niego, tak był miły Alej.

Zaczęto od *Filatki i Miroszki*. Filatka (Bakłuszyn) był rzeczywiście wspaniały. Odegrał swoją rolę z zadziwiającą dokładnością. Widać było, że rozmyślał nad każdą frazą, nad każdym swoim ruchem. Każdemu zwykłemu słowu, każdemu gestowi, umiał nadać sens i znaczenie, zupełnie odpowiadające roli. Do tej staranności, do tego zadziwiającego wystudiowania trzeba dodać niewymuszoną wesołość, prostotę, naturalność i gdybyście widzieli Bakłuszyna, zgodzilibyście się niewątpliwie, że to prawdziwy urodzony aktor, z wielkim talentem. Filatkę widziałem nieraz na scenie moskiewskiej i petersburskiej i mówię stanowczo: aktorzy stołeczni, którzy grali Filatkę, obaj grali gorzej od Bakłuszyna. W porównaniu z nim byli to wieśniacy, ale nie prawdziwi chłopci. Znadto silili się, aby przedstawić chłopca. Bakłuszyna prócz tego pobudzało współzawodnictwo: wszystkim wiadomo było, że w drugiej sztuce w roli Kiedryła występować będzie aresztant Pocijkin, aktor, który przez wszystkich nie wiadomo dlaczego uważany był za zdolniejszego, lepszego od Bakłuszyna i Bakłuszyn cierpiał z tego powodu jak dziecko. Ileż razy w ostatnich dniach przychodził do mnie i wynurzał przede mną swoje uczucia. Na dwie godziny przed przedstawieniem był jak w febrze. Teraz, kiedy widzowie śmiali się i kiedy wołano z tłumu: „Tęgo Bakłuszyn! *Aj-da maładiec!*”¹²⁰ — jego twarz jaśniała szczęściem, prawdziwe natchnienie błyszczało mu w oczach. Scena całowania się z Miroszką, kiedy Filatka woła do niego naprzód: „Obetrzyj nos” i sam się obciera, wypadła doskonale, była nieskończenie śmieszna. Wszyscy aż się zatoczyli od śmiechu.

Ale najwięcej mnie zajmowali widzowie; teraz już niczym się nie krępowali i oddawali się uciecze w całej pełni. Okrzyki zadowolenia rozlegały się coraz częściej. Oto jeden trąca swego towarzysza i naprędcę udziela mu swoich wrażeń, nawet nie troszcząc się, a może nawet nie widząc, kto koło niego stoi; drugi podczas jakiejś śmiesznej sceny nagle w zachwycie obraca się ku tłumowi, bystro obrzuca wszystkich wzrokiem, jakby wzywając do śmiechu, macha ręką i na powrót skwapliwie zwraca się ku scenie. Trzeci tylko kłaśnie językiem i palcami i nie może spokojnie ustać na miejscu, a ponieważ nie ma gdzie iść, więc tylko na miejscu przebiera nogami. Przy końcu sztuki wesołość ogólnego nastroju dosięgła najwyższego stopnia. Nic nie przesadzam. Wyobraźcie sobie ostróg, kajdany, niewole, długie, smutne lata w perspektywie, życie jednostajne jak ślota w chmurny dzień jesienny — i oto nagle tym wszystkim zamkniętym i niewolą przywalonym pozwolono na godzinę rozprostować się, poweselić, zapomnieć o ciężkim śnie, urządzić całkowity teatr i jeszcze jak urządzić: na chlubę dla siebie, na podziw dla całego miasta — niech się dowiedzą, cośmy to za areztanci!

Ich naturalnie wszystko zajmowało, na przykład kostiumy. Z niesłychaną ciekawością patrzali na to, jak na przykład taki Wańka Otpietyj albo Niecwietajew, albo Bakłuszyn występował w zupełnie innym ubiorze niż ten, w którym go od tylu lat codziennie widywali. „Przecież to areztant, ten sam areztant, kajdanami pobrzękuje, a teraz wychodzi w surducie, w okrągłym kapeluszu, w płaszczu — czysty *cywil!* Wąsy sobie przylepił i włosy. Oto czerwoną chusteczkę wyjął z kieszeni, pomachuje nią, pana udaje, sam jak dwie krople wody pan!”. I wszyscy w zachwycie. „Dobroczynny obywatel!” wyszedł na scenę w adiutanckim mundurze, choć co prawda bardzo wytartym, w czapce wojskowej z kokardą i wywołał nadzwyczajne wrażenie. Do tej roli było dwóch amatorów i jak małe dzieci straszliwie pokłócili się ze sobą o to, kto ma grać: tak się każdy z nich chciał pokazać w oficerskim mundurze i akselbantach. Inni aktorzy starali się ich pogodzić i większością głosów przysądzono rolę Niecwietajewowi, nie dlatego, żeby był pokaźniejszy i piękniejszy od tamtego i wskutek tego podobniejszy do pana, ale że Niecwietajew zapewnił

¹²⁰*Aj-da maładiec!* (ros.) — O tak, zuch! [przypis edytorski]

wszystkich, że wyjdzie na scenę z laseczką i będzie nią wymachiwał i po ziemi kreślił figury tak, jak to czyni prawdziwy pan i najpierwszy elegant, czego Wańka Otpietyj nie potrafi, bo on nigdy prawdziwych panów nie widywał. I w istocie Niecwietajew jak tylko raz ze swoją panią wystąpił przed publicznością, wciąż był zajęty swoją cienką, trzciniową laseczką, którą nie wiadomo skąd dostał, i kreślił nią biegle i zwinnie po ziemi, widząc w tym zapewne cechę najwyższej pańskości i elegancji. Prawdopodobnie kiedyś w dzieciństwie, gdy był bosym dworskim chłopakiem, zdarzyło mu się widzieć pięknie ubranego pana z laseczką w rękę i tak zachwyił się jego sztuką kręcenia laseczką, że to wrażenie na wieki niezatarte pozostało w jego duszy i teraz w trzydziestu latach przypominało mu się wszystko, jak było, ku zupełnemu oczarowaniu całego ostrogu. Niecwietajew tak był przejęty tym swoim zadaniem, że na nikogo nie patrzył, nawet mówił, nie podnosząc oczu i wpatrzony w swoją laseczkę i jej koniec. „Dobroczyzna obywatelka” była także w swoim rodzaju nadzwyczaj godna uwagi. Wystąpiła w starej, muślinowej sukni, wyglądającej jak ścierka, z gołymi rękami i gołą szyją, ze strasznie ubieloną i naróżowaną twarzą, w perkalowym czepku nocnym podwiązanym pod brodą i z parasolką w jednej ręce, a wachlarzem z upstrzonego papieru, którym się nieustannie wachlowała, w drugiej. Salwa śmiechu przywitała obywatelkę, a i ona też nie wytrzymała i kilka razy zaczęła chichotać. Obywatelką był aresztant Iwanow. Sirotkin przebrany za dziewczynę wyglądał bardzo ładnie. Kuplety¹²¹ również się udały. Jednym słowem sztuka odegrana była ku zupełnemu a powszechnemu zadowoleniu. Krytyki nie było, bo i być jej nie mogło.

Odegrano jeszcze raz uwerturę *Sieni, moje sieni*¹²² i znowu podniosła się kurtyna. Teraz Kiedrył. Kiedrył jest czymś w rodzaju Don Juana; i pana, i sługę pod koniec sztuki diabli porywają i unoszą do piekła. Dawano cały akt, ale to widocznie był urywek; początek i koniec zatracone. Sensu w tym ani odrobiny. Rzecz dzieje się w Rosji, gdzieś w zajeździe. Karczmarz wprowadza do izby pana w szynelu i w krągłym, pogiętym kapeluszu. Za nim idzie jego sługa Kiedrył z tłumokiem i z pieczoną kurą, zawiniętą w niebieski papier. Kiedrył w półkożuszku i w lokajskiej czapce. To on jest żarłokiem. Gra tę rolę Pocięjkin, współzawodnik Bakłuszyna; pana gra ten sam Iwanow, który w pierwszej sztuce występował jako dobroczyzna obywatelka. Karczmarz, Niecwietajew, uprzedza gości, że w tej izbie pojawiają się diabli, i odchodzi. Pan, ponury i pogrążony w myślach, mruczy coś pod nosem, że on dawno o tym wiedział, każe Kiedryłowi rozpakować rzeczy i przygotować wieczerzę. Kiedrył jest tchórzem i żarłokiem. Usłyszawszy o diablach, blednie i drży jak liść. Uciekłby, ale boi się pana. Zresztą i jemu się chce jeść. Jest łakomy, głupi, przebiegły po swojemu, tchórz, oszukuje pana na każdym kroku i jednocześnie boi się go: ciekawy typ sługi, w którym z daleka i niejasno widnieją rysy Leporella¹²³. Był też znakomicie oddany. Pocięjkin miał niezaprzeczony talent i moim zdaniem był to aktor jeszcze lepszy od Bakłuszyna. Rozumie się, że nie wypowiedziałem tego zdania przed Bakłuszynem, spotkawszy się z nim nazajutrz, bobym go bardzo zasmucił. Aresztant, który występował w roli pana, także grał niezłe. Prawił straszne niedorzeczności, bez żadnego sensu, ale dykcja była prawidłowa, rażna, ruchy odpowiednie. Dopóki Kiedrył mozolił się z tłumokami, jego pan zamyślony przechadza się po scenie i oznajmia publiczności, że dzisiejszy wieczór zakończy jego doczesną wędrówkę. Kiedrył ciekawie przysłuchuje się temu, stroi pocieszne miny, przemawia na stronie i każdym słowem śmieszy widzów. Nie żał mu pana, ale posłyszał o diablach, chciałby się dowiedzieć, co znaczy ta wzmianka, więc wdaje się w rozmowę z panem i rozpytuje się go. Pan w końcu wyjawia mu, że niegdyś w jakiejś potrzebie wezwał pomocy piekła i czarci mu pomogli, ale dziś termin i być może, że dziś według umowy przyjdą po jego duszę.

Kiedrył zaczyna tchóżyć. Ale pan nie traci ducha i każe mu przygotować wieczerzę. Posłyszawszy o wieczerzy, Kiedrył ożywia się, wyjmuje kurę, wyjmuje wino i już, już zabiera się do urwania kawałka kury i pokosztowania. Publiczność śmieje się. Wtem drzwi skrzypnęły, wiatr stuknął okiennicami. Kiedrył drży i naprędcę, prawie nieprzytomnie pakuje do ust ogromny kawał kury, którego przełknąć nie może. Znowu śmiech

Teatr

¹²¹ *kuplet* — żartobliwa, satyryczna piosenka o budowie zwrotkowej z wyrazistym refrenem, występująca jako element wodewila i operetki a. samodzielna forma kabaretowa. [przypis edytorski]

¹²² „Sieni, moje sieni” — tradycyjna rosyjska pieśń ludowa o dziewczynie, której ojciec zabrania widywać się z ukochanym. [przypis edytorski]

¹²³ *Leporello* — postać z opery Mozarta *Don Giovanni*: lokaj i powiernik Don Juana. [przypis edytorski]

się rozlega. „Cóż, czy wieczerza gotowa?” — woła pan, przechadzając się po izbie. — „Zaraz, jasnie panie... zaraz jasnie panie... przygotuję” — mówi Kiedrył, sadowi się za stołem i najspokojniej zaczyna uprzątać pańskie jedzenie. Publiczności widocznie podoba się przebiegłość i spryt sługi, i to, że pana oszukują. Trzeba też przyznać, że Pocijkin wart był w istocie pochwały. Słowa: „Zaraz ja panu przygotuję” wypowiedział znakomicie. Usiadłszy za stołem, zaczyna jeść łączywie i podskakuje za każdym krokiem pana, ze strachu, aby ten nie spostrzegł jego psich figlów; jak tylko pan zawraca na miejsce, Kiedrył chowa się pod stół i ciągnie tam za sobą kurę. Na koniec zaspokoił pierwszy głód; czas już pomyśleć o panu. „Kiedrył, a kiedyż tam dasz wieczerzę?” — woła pan. — „Już gotowa” — raźnie odpowiada Kiedrył, spostrzegłszy się, że dla pana prawie nic nie zostało. Na talerzu w istocie leży tylko noga z kury. Pan, ponury i zamyślony, nie spostrzegając ubytku kury, siada za stołem, a Kiedrył z serwetą na rękę staje za jego krzesłem. Każde słowo, każdy ruch, każdy grymas Kiedryła, kiedy zwracając się do publiczności kiwa głową nad głupotą swego pana, spotykają się z niepowstrzymanym śmiechem publiczności.

Ale oto zaledwie pan zabrał się do jedzenia, zjawiają się czarci. Tu już nic nie można zrozumieć, a i diabli zjawiają się jakoś zbyt nie po ludzku: w bocznej kulisie otwierają się drzwi i wychodzi z nich coś w białym okryciu, mając latarkę ze świecą zamiast głowy; drugie widziadło także z latarką na głowie i z kosą w ręku. Co znaczą te latarki, co znaczy kosa, dlaczego diabli w białym okryciu? Nikt tego objaśnić by nie mógł, ale nikt się nad tym nie zastanawia. Tak już widocznie być powinno. Pan dość odważnie zwraca się do czartów i woła, że gotów jest, aby go brali. Ale Kiedrył tchórzy jak zajac; lezie pod stół, nie zapominając zresztą pomimo całego przestachu ściągnąć butelki ze stołu. Czarci na chwilę znikają, Kiedrył wyłazi spod stołu, ale zaledwie jego pan znowu zabiera się do kury, znowu trzech diabłów wpada do izby, chwytają pana z tyłu i niosą go do piekła. „Kiedrył, ratuj mnie!” — woła pan. Ale Kiedrył ani myśli o tym. Tym razem ściągnął pod stół i butelkę, i talerz, i chleb nawet.

Ale teraz jest sam, nie ma diabłów, nie ma i pana. Kiedrył wyłazi, rozgląda się i uśmiech opromienia jego twarz. Figlarnie mruży oczy, siada na pańskim miejscu i kiwając głową do publiczności, mówi z cicha:

— No, teraz sam jestem... bez pana!

Wszyscy śmieją się z tego, że on bez pana; on zaś dodaje jeszcze półszepem, zwracając się konfidencjonalnie¹²⁴ do publiczności i coraz weselej pomrugując okiem:

— A pana diabli wzięli!...

Zachwył widzów nie ma granic! Nie dość, że pana diabli wzięli, ale słowa te były powiedziane z takim urwisostwem, z takim drwiąco-triumfującym grymasem, że w istocie trudno było nie oklaskiwać. Nie długo jednak trwa szczęście Kiedryła. Tylko co zabrał się do butelki, nalał szklankę i miał już pić, gdy nagle wracają czarci, skradają się z tyłu na palcach i cap! chwytają go pod boki. Kiedrył wrzeszczy na całe gardło; ze strachu nie śmie się obrócić. Bronić się także nie może: w rękach ma butelkę i szklankę, z którymi rozstać się nie zdoła. Otworzywszy usta z przerażenia, siedzi z pół minuty z wytrzeszczonymi na publiczność oczyma i z tak śmiesznym wyrazem tchórzostwa i przestachu, że warto go było odmalować w tej chwili. Na koniec diabli biorą go i unoszą; nie puszczając butelki, macha nogami i wrzeszczy. Krzyki jego rozlegają się jeszcze za kulisami. Ale zasłona spada, wszyscy śmieją się, wszyscy w zachwycie... Orkiestra zaczyna grać kamaryńską¹²⁵.

Zaczyna cicho, zaledwie ją słyhać, ale motyw wciąż rośnie i rośnie, tempo coraz prędsze, rozlegają się zuchowate uderzenia w denka bałałajki... To kamaryńska w całym swoim rozpędzie i zaiste warto by, aby Glinka¹²⁶ choć raz go posłuchał u nas w ostrogu. Zaczyna się pantomina z towarzyszeniem muzyki. Kamaryńska nie milknie przez cały czas pantomimy. Przedstawione jest wnętrze izby; na scenie młynarz i jego żona. W jednym

¹²⁴konfidencjonalnie (z łac.) — poufale, z zażyłością; w zaufaniu. [przypis edytorski]

¹²⁵kamaryńska (ros. *камаринская*) — skoczna rosyjska ludowa piosenka taneczna; także taniec do niej. [przypis edytorski]

¹²⁶Glinka, *Michaił Iwanowicz* (1804–1857) — rosyjski kompozytor; jako pierwszy zyskał szerokie uznanie w swoim kraju, uważany za twórcę narodowej opery rosyjskiej, łączącej tradycyjny folklor Rusi z nowymi prądami muzycznymi zachodniej Europy; autor m.in. powstałej na podstawie pieśni ludowej popularnej uwerturny symfonicznej *Kamaryńskaja* (1848), która stała się wzorem dla kolejnych kompozytorów szkoły rosyjskiej. [przypis edytorski]

kącie młynarz naprawia jakieś narzędzia, w drugim żona przędzie len. Żoną jest Sirotkin, młynarzem Niccwietajew.

Trzeba dodać, że nasze dekoracje są bardzo ubogie. I w tej, i w poprzedniej sztuce, i w innych trzeba to, co się widzi, uzupełniać wyobraźnią. Zamiast tylnej ściany przeciągnięty jakiś dywan czy kotara, z boku jakiś lichy parawan. Lewa strona zupełnie niezastłonięta, tak że widać nary. Ale widzowie niewybredni i chętnie uzupełniają rzeczywistość wyobraźnią: „Powiedziano ogród, więc niech będzie ogród, pokój — więc pokój, izba — więc izba, wszystko jedno, ceremonie niepotrzebne”. Sirotkin w ubiorze młodej kobieciny wyglądał bardzo ładnie. Wśród publiczności słychać kilka komplementów wypowiedzianych półgłosem. Młynarz kończy robotę, bierze czapkę, bierze knut, czyli nahajkę, podchodzi do żony i objaśnia jej znakami, że musi iść, ale jeżeli ona przyjmie kogoś bez niego, to... i pokazuje jej nahajkę. Żona słucha i kiwa głową. Ta nahajka prawdopodobnie dobrze jej znana: kobiecina lubi pohulać bez męża. Mąż odchodzi. Ledwie za drzwiami, żona grozi w jego stronę kulakiem. Wtem ktoś stuka; drzwi otwierają się i zjawia się sąsiad, także młynarz, chłop w kaftanie i z brodą. W ręku niesie podarunek, czerwoną chustkę. Kobiecina śmieje się, ale zaledwie sąsiad chce ją objąć, gdy znowu stuk we drzwi. Gdzie się podziać? Kobieta chowa sąsiada pod stołem, a sama zabiera się do wrzeciona¹²⁷. Zjawia się drugi adorator: to pisarz w wojskowym mundurze. Dotychczas pantomima była nienaganna, ruchy bez błędu. Można się było nawet dziwić, patrząc na tych improwizowanych aktorów, i mimo woli westchnąć: ile to sił i talentu ginie u nas w Rosji marnie, w niewoli i ciężkiej doli! Ale arestant, który grał pisarza, widział zapewne kiedyś jakiś prowincjonalny lub domowy teatr i wydało się mu, że nasi aktorzy wszyscy co do jednego nie znają się na rzeczy i nie tak chodzą, jak trzeba chodzić na scenie. I oto występuje tak, jak niegdyś podobno występowali klasyczni bohaterowie w teatrze: robi jeden długi krok i nie przysunawszy jeszcze drugiej nogi, nagle zatrzymuje się, odrzuca w tył korpus i głowę, dumnie spogląda wkoło i dopiero potem stawia drugi krok. Jeżeli taki chód był śmieszny u klasycznych bohaterów, to jeszcze śmieszniejszy u wojskowego pisarza, w komicznej scenie. Ale nasza publiczność sądziła, że tak tam pewno być musi i posuwiste kroki długonogiego pisarza przyjęła jako fakt spełniony, nie wdając się w krytykę.

Zaledwie pisarz znalazł się na środku sceny, kiedy znowu dało się słyszeć pukanie i gospodyni znów w przestrachu. Gdzie schować pisarza? Na szczęście stoi otwarty kufer; pisarz lezie do kufra, a kobieta nakrywa go wiekiem. Tym razem zjawia się gość szczególny, choć także jeden z zakochanych. Jest to bramin¹²⁸ i nawet w kostiumie. Niepowstrzymany śmiech rozlega się wśród widzów. Bramina gra arestanta Koszkin i gra wybornie, postać ma zupełnie bramińską. Gestami objaśnia swoją miłość, podnosi ręce ku niebu, potem przykładą je do piersi, do serca. Ale podczas tego czulenia się daje się słyszeć nagle silne uderzenie w drzwi. Po uderzeniu poznać, że to gospodarz. Przelękła żona traci przytomność, bramin miota się jak kot zagorzały i błaga, aby go ukryto. Kobieta naprędce chowa go za szafą, a sama, zapomniawszy otworzyć drzwi, rzuca się do swojej przędzy i przędzie, przędzie, nie słysząc stukania swego męża w drzwi, z przestrachu ciągnie nitkę, której nie ma w ręce, i kręci wrzeciono, zapomniawszy je podnieść z podłogi. Sirotkin bardzo udatnie wyobraził ten przestrach. Ale gospodarz wybija drzwi nogą i z knutem w ręce podchodzi do żony. Wszystko podpatrzył i widział, i od razu pokazuje jej palcami, że trzech jest u niej schowanych. Potem zaczyna ich szukać. Naprzód znajduje sąsiada i przeprowadza go, okładając szturchańcami, za drzwi. Przelękły pisarz chciał już uciekać, podniósł głową wieko skrzyni i tym się wydał. Gospodarz podcina go biczem i tym razem zakochany pisarz wyskakuje wcale nieklasycznie. Pozostaje bramin; gospodarz go długo szuka, na koniec znajduje w kącie za szafą, kłania mu się grzecznie i wyciąga za brodę na środek sceny. Bramin chce bronić się, woła: „okajannyj, okazannyj”¹²⁹ (jedyne słowa wypowiedziane w pantomimie), ale mąż go nie słucha i rozprawia się z nim po swojemu. Żona, widząc, że teraz na nią przyjdzie kolej, rzuca przędzę, wrzeciono i ucieka z pokoju,

¹²⁷wrzeciono — proste narzędzie do ręcznego przędzenia, w formie wałka zaostrego na obu końcach. [przypis edytorski]

¹²⁸bramin — kapłan i uczonec w religii bramińskiej w Indiach. [przypis edytorski]

¹²⁹okajannyj, okazannyj — wyrażenie cerkiewne, które oznacza tyle, co przeklęty, nieszczęsny, nędzny. [przypis tłumacza]

przędzica¹³⁰ wali się na ziemię, aresztanci śmieją się. Alej, nie patrząc na mnie, targa mi rękę i woła: „Patrz, bramin, bramin!” i ledwie się nie kładzie od śmiechu. Zasłona spada, zaczyna się inna scena.

Ale nie będę opisywał wszystkich scen. Było ich jeszcze dwie lub trzy, wszystkie zabawne i szczerze wesołe. Jeżeli to nie aresztanci je układali, to przynajmniej włożyli w każdą z nich coś swojego. Prawie każdy aktor improwizował coś w swojej roli, tak że podczas następnych wieczorów role te były nieco inaczej odegrane. Ostatnia pantomina, fantastyczna zakończyła się baletem. Chowano zmarłego. Bramin z licznym orszakiem służebnym czynili rozmaite zaklęcia nad trumną, ale nic to nie pomaga. Na koniec rozlega się *Słońce na zachodzie*¹³¹, zmarły wraca do życia i wszyscy z radości zaczynają tańczyć. Bramin tańczy z nieboszczykiem, a tańczy w sposób zupełnie odrębny, po bramińsku. Na tym się kończy przedstawienie, do następnego wieczora. Wszyscy nasi rozchodzą się, weseli, zadowoleni, chwalą aktorów, dziękują podoficerowi. Kłótni nie słyhać. Wszyscy w niezwykłym usposobieniu, jak gdyby szczęśliwi, i zasypiają nie jak zwykle, ale prawie ze spokojną myślą, choć nic się nie zmieniło w ich położeniu. A jednak to nie jest marą mojej wyobraźni. To prawda, rzeczywistość. Trochę tylko pozwolono tym biednym ludziom pożyć po swojemu, poweselić się po ludzku, choć godzinę przeżyć życiem niewięziennym — i aresztant zmienił się wewnętrznie, choć tylko na kilka chwil...

Ale oto już głęboka noc. Drgnąłem i ocknąłem się ze snu: starzec ciągle jeszcze modli się na piecu i tak przemodli całą noc do świtu; Alej cicho śpi koło mnie. Przypominam sobie, że nawet zasypiając, śmiał się jeszcze, prowadząc rozmowę z braćmi o teatrze, i mimo woli wpatruję się w jego twarz spokojną i dziecinną. Powoli przypominam sobie wszystko: ostatni dzień, święta, cały ten miesiąc... w przerażeniu podnoszę głowę i przy drżącym małym świetle więziennej świecy spoglądam na śpiących towarzyszy. Patrzę na ich nędzne twarze, na ich biedne posłanie, na całą tę bezbrzeżną goliznę i nędzę — wpatruję się — jak gdybym chciał przekonać się, że to wszystko nie jest dalszym ciągiem jakiegoś okropnego snu, ale rzeczywiście prawdą. Tak, to jest prawda; oto słyhać czyjś jęk, tam ktoś ciężko odrzucił rękę i brzęknął łańcuchem. Ktoś inny drgnął we śnie i zaczął mówić, a dziadek na piecu modli się za wszystkich „prawowiernych chrześcijan” i słyhać jego miarowe, ciche, przeciągłe: „Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nad nami!...”

„Jednak nie na zawsze tu jestem, a tylko na kilka lat” — myślę sobie i chylę znów głowę do poduszki.

X. LETNIA PORA

Oto już i początek kwietnia, zbliża się Wielkanoc. Powoli zaczynają się letnie roboty. Słońce z każdym dniem cieplej i jaskrawiej świeci, powietrze pachnie wiosną i drażniaco działa na organizm. Nadchodzące piękne dni wstrząsają i zakutym człowiekiem, budzą w nim jakieś żądze, pragnienia, tęsknotę. Żal za swobodą wydaje się jeszcze silniejszy pod jarzącymi promieniami słońca niż w pochmurny dzień jesienny lub zimowy, widać to na twarzach wszystkich aresztantów. Wprawdzie cieszą się oni z jasnych dni, ale jednocześnie wzmagają się w nich niecierpliwość i porywczosć. W istocie zauważyłem, że u nas na wiosnę częściej zdarzały się kłótnie więzienne, częściej rozlegał się krzyk, gwar, hałas, częściej bywały zajścia. A obok tego nieraz zdarzało się podpatrzeć na robocie czyjś zadumany wzrok, uporczywie wpatrzony w dal siniejącą hen na drugim brzegu Irtyszu, gdzie nieobjętym obrusem na półtora tysiąca wiorst zaczyna się wolny step kirgiski; można było podслуchać czyjeś głębokie, z całej piersi westchnienie, jak gdyby coś ciągnęło człowieka odetchnąć tym dalekim, swobodnym powietrzem i ulżyć swej przygniecionej i zakutej duszy. „Echma!” — mówi w końcu do siebie aresztant i nagle, jakby strząsnąwszy z siebie wszystkie rojenia i dumy, niecierpliwie i gniewnie chwyta za rydel lub cegły, które trzeba przenieść z jednego miejsca na inne. Za chwilę zapomina o nagłym wrażeniu, którego doznał, i zaczyna śmiać się lub łajać, stosownie do usposobienia; to znów z nadzwyczajnym i bynajmniej do potrzeby niezastosowanym zapałem rzuca się do zadanej roboty,

¹³⁰przędzica — drażek do zamocowania kądzieli, czyli pęku włókien lnianych, konopnych lub wełnianych, z którego prządka wysnuwała pasma i skręcała w nić. [przypis edytorski]

¹³¹„Słońce na zachodzie, czas stracony” — popularna wśród rosyjskiego ludu piosenka z tekstem Mitrofanowa z 1799. [przypis edytorski]

jeżeli robota jest zadana, i zaczyna pracować, pracować ze wszystkich sił, jak gdyby ciężarem pracy chciał przytłumić to, co go wewnątrz męczy i dręczy. Wszystko to lud silny, po większej części w kwiecie lat i sił... Ciężkie są kajdany w tym wieku! Nie poetyzuję, mówiąc to, i przekonany jestem o prawdzie tej mojej uwagi.

Nie dość, że w ciepłe, wśród blasku wiosennego słońca, kiedy całą duszą, całą istotą swoją czujesz i słyszysz wkoło siebie zmartwychwstającą z niepokonaną siłą przyrodę, jeszcze cięższe staje się zamknięte więzienie, konwój i cudza wola, prócz tego w tę wiosenną porę na całym Sybirze i w całej Rosji zaczyna się z pierwszym skowronkiem włóczęgowo i uciekają ludzie z ostrogów i chronią się po lasach. Po dusznym więzieniu, po sądach, kajdanach i kijach używają teraz w całej pełni swobody, wędrując, gdzie im się podoba, gdzie ich coś wabi i nęci; jedzą i piją, co się zdarzy, co Bóg ześle, a nocami zasypiają gdzieś w lesie albo w polu, bez wielkiego kłopotu, bez więziennej troski, jak leśne ptaki, żegnając się na noc tylko z gwiazdami niebieskimi pod okiem boskim.

Czasem jednakże bywa ciężka i głodna i wyczerpująca „służba u generała Kukuszki”. Całymi dniami nieraz zdarza się nie widzieć chleba; przed każdym trzeba się ukrywać; trzeba kraść i grabić, a niekiedy popełnić zabójstwo. „Posieleniec jak niemowlę, na co spojrzy, to i ciągnie” — tak mówią na Syberii o posielenicach. Przysłowie to w całej sile i z większą nawet słusznością może być zastosowane do włóczęgi. Włóczęga rzadko kiedy nie rozbójnik, a prawie zawsze złodziej, rozumie się więcej z konieczności niż z powołania. Są zatwardziali, niepoprawni włóczykije. Życie wśród lasów, w nędzy i strachu, ale wolne i pełne przygód, ma w sobie jakąś ponętę, jakiś tajemniczy urok dla tych, którzy go raz zakosztowali i oto nieraz zdarza się, że ucieka człowiek, nawet cichy i akuratny, który już przyrzekł zostać porządnym, osiadłym gospodarzem. Niejeden się nawet ożeni, ma dzieci i pięć lat przemieszka na jednym miejscu i nagle pewnego pięknego poranku znika, zostawiając żonę, dzieci i gminę, do której wpisany, bez wieści o sobie. Pokazywano mi w ostrogu jednego z takich zbiegów. Nie popełnił on jakichś szczególnych przestępstw, przynajmniej nic o nich nie było słychać, ale całe swoje życie spędził na włóczędze. Wszędzie bywał: i na południowej granicy rosyjskiej za Dunajem, i w stepie kirgiskim, i w wschodniej Syberii, i na Kaukazie. Kto wie, może wśród innych okoliczności stałby się jakimś Robinsonem Cruzoe z namiętą żądzą podróżowania. Zresztą wszystko to mówili mi o nim inni, sam on zaś rzadko w ostrogu rozmawiał, ograniczając się do rzeczy niezbędnych. Był to maleńki człowieczek, z pięćdziesiąt lat mający, nadzwyczajnie pokorny, z nadzwyczajną spokojną, bezmyślną, prawie idiotyczną twarzą. Latem lubił siedzieć na słońcu i zawsze, bywało, jakąś piosnkę mruczy pod nosem, ale tak cicho, że o pięć kroków już go nie słychać. Rysy jego twarzy były jak zdrętwiałe; jadał mało, najwięcej chleba; nigdy nie kupił sobie kolacza lub kieliszka wódki. I bodaj, czy miał kiedykolwiek pieniądze i czy umiał je liczyć! Względem wszystkiego zachowywał się z całkowitym spokojem. Psom więziennym dawał niekiedy pokarm z własnych rąk, a u nas psów więziennych nikt nie karmił i w ogóle Rosjanin nie lubi psów karmić. Mówiono, że był żonaty, i to nawet powtórnie, że gdzieś żyły jego dzieci... Za co się dostał do ostrogu, zupełnie nie wiem. Nasi oczekiwali ciągle, że i od nas się wyśliźnie; ale czy to jego czas jeszcze nie nadszedł, czy już lata jego wędrowania przeszły, dość że żył sobie wciąż spokojnie, kontemplacyjnie spoglądając na dziwną sferę, która go otaczała. Zresztą trudno było ręczyć, choć zdawało się na pozór, że nic by nie wygrał na ucieczce.

A jednak, w całości biorąc, życie leśne włóczęgi — to raj w porównaniu z życiem w ostrogu. Prawda, że jest ciężkie, ale swobodne i dlatego to każdy aresztant w Rosji, gdziekolwiek by siedział, staje się niespokojny na wiosnę, z pierwszymi wesołymi promieniami wiosennego słońca, choć nie każdy ma zamiar uciekać. Stanowczo można powiedzieć, że z powodu trudności i odpowiedzialności odważa się na to ze stu jeden; ale za to dziewięćdziesięciu dziewięciu pozostałych przynajmniej pomarzy o tym, jakby to można było uciekać i dokąd: samo wyobrażenie możliwości ucieczki przyniesie ulgę ich tęsknocie. Niejeden przynajmniej przypomni sobie, jak to on kiedyś uciekał... Mówię teraz tylko o zasądzonych; daleko zaś częstsze bywa zbiegostwo wśród zostających pod sądem. Zasądzeni na czas oznaczony zbiegają chyba na początku swego aresztantstwa. Aresztant przebywa dwa, trzy lata katorgi, zaczyna cenić te lata i powoli godzi się z myślą, że lepiej legalnym sposobem zakończyć lata robót więziennych i wyjść na posieleniec aniżeli hazardować i narażać się na zgubę w razie niepowodzenia.

Pies

A powodzenie tak trudne. Za ledwie dziesiątemu uda się los swój zmienić. Spomiędzy zasądzonych odważają się na ucieczkę częściej od innych ci, których skazano na długoletnie roboty. Piętnaście, dwadzieścia lat wydaje się nieskończonością; skazany na taki termin gotów jest zawsze pomarzyć o przemianie losu, choćby już dziesięć lat odsiedział w katordze. Wreszcie i piętna stanowią wielką przeszkodę w ucieczce. Wyrażenie zaś: „przemienić los” to termin techniczny. Toteż i przy śledztwie zbieg schwytyany odpowiada zwykle, że chciał swój los przemienić. To nieco książkowe wyrażenie daje się dosłownie zastosować do rzeczy. Każdy zbieg ma na widoku nie tyle zupełne wyzwolenie — on wie, że to prawie rzecz niemożliwa — ile nadzieję dostania się do innego zakładu karnego albo na posilenie, albo wreszcie spodziewa się, że go będą na nowo sądzić, wskutek nowego przestępstwa, które już jako włóczęga popełnił — jednym słowem chce się dostać dokądkolwiek, byle nie na dawne miejsce, które mu obrzydło, nie do dawnego ostrogu. Wszyscy ci zbiegowie, jeżeli nie znajdą sobie przypadkowo w ciągu lata jakiegoś miejsca, gdzieby mogli przezimować, jeżeli na przykład nie natkną się na jakiego ukrywacza zbiegów, który ciągnie z tego ukrywania korzyść; jeżeli wreszcie nie zdobędą, niekiedy za pomocą zabójstwa, jakiegoś paszportu¹³², z którym można wszędzie mieszkać — wszyscy oni pod jesień, jeśli ich przedtem nie wyłowią, przybywają gęstymi tłumami do miast i do ostrogów w charakterze włóczęgów i idą zimować do więzień, naturalnie nie bez nadziei uciec znowu latem.

Wiosna oddziaływała i na mnie. Pamiętam, z jaką chciwością patrzyłem niekiedy przez szczeliny między palami i jak długo stawałem, bywało, oparłszy głowę o parkan, nie mogąc się nasycić widokiem zielonej trawy, która rosła na wale fortecznym, i dalekiego niebieskiego nieba, które nabierało coraz ciemniejszej barwy. Niepokój i tęsknota z każdym dniem rosły we mnie i ostróg stawał mi się coraz bardziej nienawistny. Nienawiść, której w ciągu pierwszych lat doznawałem nieustannie jako szlachcic ze strony arestantów, dręczyła mnie niesłychanie, zatruwała mi życie. W te pierwsze lata często bez choroby udawałem się do szpitala, jedynie dlatego, ażeby nie być w ostrogu, ażeby się uchylić od tej uporczywej, niczym nieposkramianej powszechnej nienawiści. „Wy, żelazne dzioby, wyście nas zadziobali!” — mówili do nas arestanci; jakże zazdrościłem nieraz ludziom z pospólstwa, którzy się dostawali do ostrogu! Ci stawali się od razu towarzyszami dla wszystkich. I dlatego wiosna, mara wolności, powszechna radość w przyrodzie, i we mnie wywoływała smutek i rozdrażnienie.

Przy końcu postu, zdaje się, że w szóstym tygodniu, przypadła na mnie kolej przygotowania się do spowiedzi. Już od pierwszego tygodnia cały ostróg podzielony został przez starszego podoficera na siedem zmian, stosownie do liczby tygodni wielkopostnych, które to zmiany kolejno miały gotować się do spowiedzi. Tym sposobem w każdej zmianie znalazło się po trzydziestu ludzi. Tydzień przygotowania się do spowiedzi bardzo mi się podobał. Arestantów mających się spowiadać uwalniano od robót. Po dwa i trzy razy dziennie chodziliśmy do cerkwi, która stała niedaleko ostrogu. Dawno już nie byłem w cerkwi. Wielkopostne nabożeństwo, tak mi znajome z czasów dalekiego dzieciństwa i rodzicielskiego domu, uroczyste modlitwy, pokłony do ziemi — wszystko to rozbudziło w mej duszy najodleglejszą przeszłość, przypominało wrażenia z lat dzieciennych i pamiętam, jak mi było przyjemnie, kiedy nas rankiem po ziemi przymarzłej w nocy, wodzone pod straż z nabitą bronią do domu Bożego. Straż zresztą nie wchodziła do cerkwi. W cerkwi stawaliśmy zbitym tłumem u drzwi, na ostatnim miejscu, skąd słychać było za ledwie silniejszy głos diaka¹³³ i z rzadka dostrzec można było czarny ornat i łysinę księdza. Przypominam sobie wtedy, jak niegdyś w dzieciństwie, stojąc w cerkwi, spoglądałem nieraz na prosty lud, cisnący się u wejścia i z niewolniczą skwapliwością rozstępujący się przed sutymi epoletami¹³⁴, przed grubym panem albo przed wyfiokowaną, ale nader pobożną panią, którzy koniecznie docisnąć się chcieli do pierwszych miejsc i gotowi byli co chwila pokłócić się o pierwsze miejsce. Tam u wejścia, zdawało mi się wówczas, i modlono się

¹³² *jakiegoś paszportu, z którym można wszędzie mieszkać* — w Imperium Rosyjskim funkcjonowały paszporty wewnętrzne, uprawniające do wyjazdu poza granice swojej jednostki administracyjnej. [przypis edytorski]

¹³³ *diak* — pomocnik księdza w kościele prawosławnym, śpiewak liturgiczny i nauczyciel w szkółce parafialnej. [przypis edytorski]

¹³⁴ *epolety* — naramienniki munduru wojskowego. [przypis edytorski]

jakoś inaczej niż u nas, modlono się pokornie, gorąco, z pełną świadomością swojego upośledzenia.

Teraz i mnie wypadło stać na tych samych miejscach, a nawet gorzej, niż na tych; byliśmy skuci i naznaczeni piętnem hańby, wszyscy od nas stronili, bano się nas i każdym razem obdarzano jałmużną. Pamiętam, że mi to nawet sprawiało jakiejś dziwne, subtelne zadowolenie. „Więc niechże tak będzie!” — myślałem sobie. Aresztanci bardzo gorliwie się modlili i każdy z nich za każdym razem przynosił do cerkwi swoją żebraczą kopiejkę, kupował za nią świeczkę lub rzucał do składowi cerkiewnej. „Wszakżem i ja człowiek — tak może myślał lub czuł, dając — przed Bogiem wszyscyśmy równi...” Przyjmowaliśmy komunię podczas mszy porannej. Kiedy duchowny z kielichem w ręku przemawiał: „...ale przyjmij mnie, jakoś przyjął rozbójnika...”, prawie wszyscy padli z brzękiem kajdan na ziemię, literalnie, jak się zdaje, wzięwszy te słowa do siebie. Ale oto i nadeszła niedziela wielkanocna. Od zwierzchności dostaliśmy po jajku i kawałku wielkanocnego placka; miasto znowu zasypało ostróg jałmużną. Znowu odwiedziny popa z krzyżem, znów odwiedziny zwierzchności, znowu dobrze omaszczony kapuśniak, znów pijaństwo i włóczęga — wszystko co do joty, jak na Boże Narodzenie, z tą różnicą, że teraz można było przechadzać się po dziedzińcu ostrogu i wygrzewać się na słońcu. Było jakoś jaśniej, przestronniej niż w zimie, ale zarazem ciężiej na duszy. Nieskończenie długi letni dzień stawał się ogromnie nużący podczas świąt. Dzień powszedni wydawał się mniej długi, bo go skracala robota.

Letnie roboty okazały się w istocie daleko trudniejsze od zimowych. Były to przeważnie budowy inżynieryjne. Aresztanci budowali, kopali ziemię, kładli cegły; inni zajmowali się robotą ślusarską, stolarską lub malarską przy corocznych remontach rządowych budynków; inni wreszcie chodzili do fabryki robić cegły. Ta ostatnia robota uchodziła u nas za najcięższą. Cegielnia odległa była o trzy czy cztery wiorsty od fortecy. Co dzień w ciągu lata o godzinie szóstej rano wyprawiano całą partię aresztantów, z pięćdziesięciu ludzi, do robienia cegły. Do tej roboty wybierano takich, co nie byli majstrami i nie umieli żadnego rzemiosła. Brali oni ze sobą chleb, ponieważ z powodu odległości miejsca niewygodnie było wracać na obiad do ostrogu i robić tym sposobem osiem wiorst zbytecznych — i dopiero wieczorem, wróciwszy do ostrogu, jedli obiad. Pracę zaś zadawano na cały dzień, i to dużą pracę, z którą niełatwo się było uporać. Trzeba było naprzód nakopać gliny, wywieźć ją, nanosić wody, wydeptać glinę w przewidzianej do tego jamie, wreszcie zrobić znaczną ilość cegieł, bodaj czy nie dwieście lub nawet dwieście pięćdziesiąt. Ja tylko dwa razy chodziłem do cegielni. Powracali ceglarze dopiero wieczorem, znużeni, zmęczeni i ciągle przez całe lato wymawiali innym, że mają najtrudniejszą robotę. Zdaje się, że im to przynosiło ulgę. Niektórzy jednak chodzili tam dość chętnie, bo naprzód robota odbywała się za miastem, miejsce było odkryte, swobodne, na brzegu Irtyszu. Zawsze spojrzeć dokoła przyjemniej, nie forteczny więzienny widok! Można było i zapalić lulkę¹³⁵ swobodnie i nawet poleżeć z pół godziny z wielkim zadowoleniem. Co się mnie tyczy, to albo jak dawniej chodziłem do warsztatu lub do wypalania alabastru, albo używany byłem w charakterze podającego cegły przy budowach. Pewnego razu wypadło mi przynieść cegły znad brzegu Irtyszu do budowanych koszar; trzeba było przynieść je na przestrzeni siedemdziesięciu sążni, przez wał forteczny, i robota trwała przez dwa miesiące z rzędu. Podobała mi się ona, mimo że sznur, na którym trzeba było nosić cegły, ciągle ocierał mi plecy. Ale podobało mi się to, że ta praca widocznie rozwijała we mnie siłę. Z początku mogłem dźwigać tylko po osiem cegieł, a każda cegła ważyła do dwunastu funtów. Potem zaś doszedłem do dwunastu i piętnastu cegieł i to mnie bardzo cieszyło. Fizyczna siła w katordze potrzebna nie mniej od moralnej do zniesienia wszystkich niewygód tego przeklętego życia.

A ja chciałem żyć jeszcze i po wyjściu z ostrogu.

Lubiłem zresztą dźwigać cegły nie tylko dlatego, że ta praca wzmacniała ciało, ale i dlatego, że odbywała się na brzegu Irtyszu. Dlatego tak często mówię o tym brzegu, że jedynie stamtąd widać było świat boży, czystą, jasną dal, niezamieszkałe stepy wolne, które swoi pustkowiec wywierały na mnie dziwne wrażenie. Tylko na tym brzegu można było stać tyłem do fortecy i nie widzieć jej; wszystkie zaś inne miejsca naszych robót były

Więzień, Praca

¹³⁵lulka (daw., z ros.) — fajka. [przypis edytorski]

albo w fortecy, albo koło niej. Od pierwszych dni zniechęciłem tę fortecę i niektóre inne budowle. Dom naszego plac-majora wydawał się jakimś przeklętym, wstrętnym miejscem i przechodząc mimo niego, zawsze na niego spoglądałem z nienawiścią. Na brzegu zaś można się było zapomnieć; patrzę, bywało, na to nieobjęte okiem pustkowie, jak więzień patrzy przez okno więzienia na wolny świat. Wszystko tu dla mnie było miłe i drogie: i złote i gorące słońce na bezdennym błękitnie nieba, i daleka pieśń Kirgiza, dolatująca z brzegu kirgiskiego. Wpatrując się długo, dostrzegłem na koniec jakąś biedną, odymioną jurte¹³⁶ bajgusza¹³⁷, spostrzegłem dymek, wychodzący z jurty, Kirgizkę krzątającą się około swych dwóch baranów. Wszystko to biedne i dzikie, ale swobodne. Dojrzą jakiego ptaka w sienie dalekiej przezroczy i długo, uporczywie śledzę jego lot; oto musnął fale, oto znikł w błękitnie, oto znów ukazał się jako ledwie dostrzegalnym punkcik... Nawet biedny suchotniczy kwiatek, który znalazłem w rozpadlinie kamienistego brzegu, i ten jakoś chorobliwie zatrzymał moją uwagę. Smutek, którego doznawałem w tym pierwszym roku katorgi, był nie do zniesienia ciężki, rozdrażniał mnie, czynił mnie gorzkim, nie pozwalał mi wielu rzeczy widzieć wkoło siebie. Zakrywałem oczy i nie chciałem się przypatrywać. Pośród towarzyszy moich, złych i nienawistnych katorżników, nie dostrzegałem ludzi dobrych, zdolnych i czuć, i myśleć, pomimo wstrętnej skorupy, która ich z zewnątrz pokrywała. Wśród jadowitych słów nie dostrzegałem nieraz słowa uprzejmego i łaskawego, które było tym droższe, że wypowiedziane bez wszelkich widoków, nieraz wprost z duszy, co może więcej od mojej wycierpiała i zniosła. Ale po co się nad tym rozwodzić?

Byłem niezmiernie rad, gdy bardzo zmęczony wracając do domu, mogłem sobie pomyśleć: „a nuż zasnę!”, a to dlatego, że u nas spanie było latem jeszcze większą męką niż w zimie. Wieczory wprawdzie bywały czasem bardzo ładne. Słońce, które przez cały dzień nie schodziło z więziennego dziedzińca, zachodziło na koniec. Następował przyjemny chłód, a potem stepowa noc, prawie zimna. Aresztanci, oczekując zamknięcia kazarń, tłumami, bywało, chodzą po dziedzińcu, główna zaś masa ciśnie się w kuchni. Tam zawsze podejmowano jakąś kwestię z codziennego życia więziennego, rozprawiano o tym i owym, roztrząsano jakąś pogłoskę, często niedorzeczną, ale budzącą wielkie wrażenie wśród tych odciętych od świata ludzi. Tak na przykład rozeszła się wieść, że nasz plac-major ma być usunięty. Aresztanci są łatwowierni jak dzieci, wiedzą dobrze, że pogłoska fałszywa, że przyniósł ją znany plotkarz i „niedorzeczny” człowiek, aresztant Kwasow, któremu od dawna już postanowili nie wierzyć i który w każdym słowie kłamie — a wszyscy chwytają tę wiadomość, sądzą, radzą, cieszą się, a kończy się tym, że się sami na siebie rozgniewają, wstyd im się robi, że uwierzyli Kwasowowi.

— Kto go tam przepędzi! — woła jeden, mówiąc o majorze. — Nie bój się, gruby kark, wytrzyma!

— A jednak i nad nim są starsi! — odpowiada inny, gorącego temperamentu i niegłupi człowiek, który z różnych pieców chleb jadał, ale gwałtownie lubił się sprzeczać.

— Kruk krukowi oka nie wykole! — ponuro, jakby do siebie przemówił trzeci, już siwy człowiek, samotnie w kącie dojadający swój kapuśniak.

— A starszyzna pewno się przyjdzie pytać, czy go usunąć, czy nie? — dodaje obojętnie czwarty, z lekka trącając palcami po bałajce.

— A czemużby nie mieli mnie pytać? — z gniewem odpowiada drugi — to znaczy, że cała biedota prosi, wszyscy wtedy świadczą, gdy zaczną się rozpytywać. Ale to u nas tak bywa, że przed czasem krzyczą, a jak przyjdzie do rzeczy, stchórzą.

— A ty jak myślałeś? — mówi ten, co grał na bałajce. — Na toż jest katorga.

— A onegdaj — ciągnie dalej, nie słuchając, co do niego mówią, rozgorączkowany amator sporów — zostało trochę mąki. Zebrano wyskrobki, posłano sprzedać. Nie, dowiedział się; *artieliszczyk* doniósł, odebrali; oszczędność każe. Co, sprawiedliwie czy nie?

— Ale przed kim się ty chcesz skarżyć?

— Przed kim? Przed samym lewizorem¹³⁸, co jedzie.

— Przed jakim lewizorem?

¹³⁶ *jurta* — namiot u koczujących ludów syberyjskich. [przypis tłumacza]

¹³⁷ *bajgusz* — żebrak, Kirgiz zubożały. [przypis tłumacza]

¹³⁸ *lewizor* — popr.: rewizor, urzędnik dokonujący kontroli. [przypis edytorski]

— To prawda, bracia, że jedzie lewizor — mówi młody, zuchowaty parobek, piśmienny, były pisarz, który czytał *Księżnę Lavalliere* czy coś w tym rodzaju. Był on zawsze wesoly i figlarny, ale poważano go za pewien zasób wiedzy i otarcie. Nie zwracając uwagi na to, że wiadomość o jadącym rewizorze obudziła powszechną ciekawość, idzie prosto do kucharza i każe sobie dać kawałek pieczeni. Nasi kucharze często handlowali żywnością. Kupią na przykład za swoje pieniądze wielki kawał pieczeni, upieką go i sprzedają małymi kawałkami aresztantom.

— Za grosz czy za dwa? — zapytuje kucharz.

— Różnij za dwa: niech ludzie zazdrozczą! — odpowiada. — Generał, bracia, generał taki z Petersburga jedzie, co będzie cały Sybir oglądał. Rzecz pewna, ludzie od komendanta powiadali.

Wiadomość wywołuje nadzwyczajne poruszenie. Z kwadrans trwają dopytywania: kto mianowicie, jaki generał, w jakiej randze, czy wyższy od tutejszych generałów? O rangach, naczelnikach, kto z nich wyższy, kto kogo może przygiąć do ziemi, a kto się sam zegnje, o tym wszystkim ogromnie lubią rozmawiać aresztanci, nawet klócą się, łają, gotowi nawet bić się za generałów. Na pozór co za korzyść z tych sporów? Ale szczegółową znajomością generałów i w ogóle władz wyższych mierzy się stopień wiedzy, rozgarnięcia i dawniejszego, przedwieźniennego znaczenia człowieka w społeczeństwie. W ogóle rozmowa o władzach wyższych uważana jest w ostrogu za najpiękniejszą i najpoważniejszą rozmowę.

— Z tego wypada, bracia, że naprawdę jadą zmieniać majora — robi uwagę Krasow, mały, czerwoniutki człowieczek, gorący i strasznie nierozgarnięty. On pierwszy przyniósł wiadomość o majorze.

— Przekupi! — krótko odpowiada ponury, siwy aresztant, który już uporał się z kapuśniakiem.

— Pewno, że przekupi — powiada drugi. — Czy mało to on pieniędzy nagrabił! Nim do nas przybył, już dowodził batalionem. A niedawno chciał się żenić z córką protopopa¹³⁹.

— A przecie się nie ożenił: drzwi pokazali; znaczy, biedny. Jaki z niego pan młody? Wstał z ławy i wszystko z nim. Na Wielkanoc wszystko puścił w karty, Fiedka powiadał.

— Ech, bracie i ja byłem żonaty. Źle się ożenić biednemu; ożeń się, a i noc ci będzie krótka! — wtrąca uwagę Skuratow, który nawinał się w tej chwili i wmieszał do rozmowy.

— A jakże! O tobie tu mowa — odzywa się niedbale były pisarz. — A ty, Kwasow, powiem ci, jesteś wielki głupiec. Czy ty myślisz, że takiego generała major przekupi i że taki generał będzie umyślnie jechał z Petersburga, żeby rewizję robić u majora? Głupi jesteś, bratku, oto, co ci powiem.

— A co? Czy dlatego, że generał, więc już nie weźmie? — sceptycznie ktoś zauważył w tłumie.

— Wiadoma rzecz, nie weźmie, a jeśli weźmie, to już grubo weźmie.

— Rozumie się, grubo; według rangi.

— Generał zawsze weźmie — stanowczo oświadczył Kwasow.

— Co, tyś mu dawał? — z pogardą odzywa się Bakhuszyn, który w tej chwili wszedł do kuchni. — Bodaj czyś ty widział kiedy generała?

— Otóż widziałem.

— Łżesz!

— Sam łżesz!

— Dzieci, jeżeli widział, niech tu zaraz przy wszystkich mówi, którego zna generała? No, mów, bo ja znam wszystkich generałów.

— Widziałem generała Zyberta — chwiejnym głosem odpowiedział Kwasow.

— Zyberta? Takiego generała nie ma. Widać, że ci w grzbiet zaglądał ten Zybert, kiedy jeszcze może był podpułkownikiem, a tobie ze strachu zdało się, że to generał.

— Nie, wy mnie posłuchajcie — krzyczy Skuratow — bo ja żonaty człowiek. Taki generał był rzeczywiście w Moskwie, Zybert, z Niemców, ale Rosjanin. U rosyjskiego popa co rok spowiadał się przed Wniebowzięciem Marii Panny i ciągle, bracia, pił wodę,

¹³⁹protopop — starszy duchowny prawosławny. [przypis edytorski]

jak kaczką. Co dzień wypijał czterdzieści szklanek wody z rzeki Moskwy. Powiadali, że to on się od jakiejś choroby tak leczy wodą; mnie sam jego *kamerdyn*¹⁴⁰ mówił.

— Pewno mu się z tej wody w brzuchu karasie wylęgły? — robi uwagę aresztant z bałałajką.

— No, dosyć tego, tu o rzecz chodzi, a oni... Jakiż to lewizor bracia? — niespokojnie zapytuje aresztant Martynow, stary żołnierz, były huzar.

— Łżą ludzie i koniec! — odzywa się jeden ze sceptyków. — I skąd to wszystko wymyślą i po co? A wszystko brednia.

— Nie, nie brednia! — dogmatycznie twierdzi Kulikow, który dotychczas milczał wspaniale. Jest to powaga aresztancka, chłop do pięćdziesięciu lat mający, o bardzo przyjemnej twarzy i pogardliwie wspaniałych manierach. Sam o tym wie i jest z tego dumny. Trochę cygan¹⁴¹, weterynarz, zarabia w mieście, lecząc konie, a u nas w ostrogu handluje wódką. Mądry chłop i wiele rzeczy widział. Kiedy mówi, to jakby ruble kładł na stole.

— Tak jest, bracia — spokojnie ciągnie dalej — jeszcze zeszłego tygodnia słyszałem: jedzie generał, bardzo ważna figura, będzie zwiedzał całą Syberię. Wiadoma rzecz, przekupią i jego, tylko nie nasz ośmiooki: on i podsunąć się do niego nie odważy. Bo generał generałowi nierówny, bracia. Różni bywają. Tylko ja wam mówię, że major w każdym razie na swoim teraźniejszym miejscu zostanie. To rzecz pewna. My lud bez języka, a między władzami swój na swego donosić nie będzie. Rewizor zajrzy do ostrogu, nic nie zobaczy i doniesie, że wszystko znalazł w porządku...

— Tak, tak, bracia, a major stchórzył: wszak od rana pijany.

— A wieczorem drugą furę wiezie. Fiedka powiadał.

— Czarnego psa nie wymyjesz do białą. Czy to on pierwszy raz pijany?

— Nie, tego już nadto, jeżeli nawet generał nic nie poradzi! — z oburzeniem mówią do siebie aresztanci.

Wieść o rewizorze w mgnieniu oka rozbiega się po ostrogu. Po dziedzicu włóczą się ludzie i jedni drugim skwapliwie podają tę wiadomość. Niektórzy umyślnie milczą, zachowując zupełną obojętność, i tym widocznie starają się przydać sobie powagi. Inni naprawdę są obojętni. Na gankach kazarmy rozsiadają się aresztanci z bałałajkami; tam jeszcze nie przestają gawędzić, ówdzie zaczynają śpiewać, ale w ogóle wszyscy tego wieczora są w bardzo podnieconym usposobieniu.

O godzinie dziesiątej liczono nas wszystkich, zapędzano do kazarmy i zamykano na noc. Noce były krótkie; budzono nas o piątej rano, zasypiali zaś wszyscy nie wcześniej jak o jedenastej wieczór. Do tej godziny trwała jeszcze zwykła gawęda, krzątania, a niekiedy, jak w zimie, bywały majdany. W nocy robiło się nieznośnie duszno i gorąco. Choć z niezamkniętego okna ciągnie chłodek, pomimo to aresztanci rzucają się na swoich narach jak w gorączce. Pchły roją się tysiącami. Bywały one i w zimie w bardzo pokaźnej liczbie, ale począwszy od wiosny rozradzają się do takich rozmiarów, w które nie mógłbym uwierzyć, gdybym ich sam nie doświadczył. A im bliżej lata, tym się stają złośliwsze. Prawda, że do pcheł można przywyknąć, przekonałem się na sobie, ale bądź co bądź okropnie dokuczają. Nieraz, bywało, tak zmęczą, że leżą jak w gorączce. Na koniec kiedy przed samym rankiem uspokoją się, rzekłbyś, zamrą i kiedy pod powiewem rannego chłodu słodko się zaśnie — zaraz u wrót więziennych rozlega się niemiłosierny huk bębna, nakazujący wstawać. Z przekleństwem słucham, zawijając się w kożuch, głośnych, wyrazistych dźwięków, zdaje się, że je liczę, a przez sen lezie mi do głowy nieznośna myśl, że tak samo będzie i jutro, i pojutrze, i przez kilka lat z rzędu, aż do puszczania na wolność. A kiedyż to nareszcie ta wolność nadejdzie i gdzie ona? A tymczasem trzeba wstawać; zaczyna się codzienne chodzenie, ciżba... Ludzie ubierają się, śpieszą na robotę. Prawda, można jeszcze było zasnąć na godzinę w południe.

Pogłoska o rewizorze było prawdziwa. Każdego dnia dochodziły potwierdzające wieści i wreszcie wszyscy na pewno już wiedzieli, że jedzie z Petersburga pewien znaczny generał zwiedzać całą Syberię, że już przyjechał, że już jest w Tobolsku. Przychodziły wieści i z miasta: mówiono, że wszyscy tchórzą, krzątają się, chcą wszystko w jak najlepszym

¹⁴⁰*kamerdyn* — popr.: kamerdyner, osobisty służący pokojowy pana. [przypis edytorski]

¹⁴¹*cygan* — tu zapewne w znaczeniu: oszust; określenie to, zarówno w języku polskim, jak i rosyjskim, w sposób stereotypowy i krzywdzący łączy przynależność do grupy etnicznej (Cyganie) z zachowaniami przestępczymi (oszustwo). [przypis edytorski]

świecie przedstawić. Wyższe władze gotowały przyjęcia, bale, uroczystości. Aresztantów całymi gromadami wysyłano równać ulice, skopywać stwardniałe kopce błota, podmalowywać parkany i słupki, tynkować, bielić, jednym słowem chciano w jednej chwili naprawić wszystko, co trzeba było pokazać. Nasi bardzo dobrze rozumieli te rzeczy i coraz goręcej i kłótliwiej rozprawiali o tym. Ich rojenia przybierały olbrzymie rozmiary. Zabierali się nawet do wystąpienia z *pretensją*, kiedy generał zaczął ich pytać o żywność. A tymczasem kłócili się i łajali. Plac-major był niespokojny. Częściej zjeżdżał do ostrogu, częściej krzyczał, częściej rzucał się na ludzi, zabierał ich do kordegardy i pilnie przestrzegał czystości i porządku. W owym czasie zaszło pewne zdarzenie, które zresztą bynajmniej nie zaniepokoiło majora, jakby się można było spodziewać, ale owszem, sprawiło mu zadowolenie. Pewien aresztant w bójce pchnął drugiego sztydłem w pierś prawie pod samo serce.

Aresztant, który się dopuścił przestępstwa, nazywał się Łomow; tego, który otrzymał ranę, zwano u nas Gawryłką; był to jeden z niepoprawnych włóczęgów. Łomowych było dwóch u nas, obaj chłopci niegdyś bogaci, żyli w ostrogu dostatnio: mieli samowar, pili herbatę. Nasz major wiedział o tym i nienawidził ich obu do najwyższego stopnia. Widać było, że szuka przyczepki; Łomowowie tłumaczyli to majorską chęcią dostania od nich łapówki, ale mu nic nie dawali.

Niewątpliwie, gdyby Łomow choć trochę głębiej pchnął sztydłem, zabiłby Gawryłkę. Ale skończyło się wszystko na draśnięciu. Doniesiono majorowi. Pamiętam, jak przypędził zadyszany i widocznie rad z tego, co zaszło. Względem Gawryłki okazywał zadziwiającą łaskawość, obchodził się z nim jak z rodzonym synem.

— *Cóż, drużok*¹⁴², możesz dojść do szpitala czy nie? Nie, już lepiej mu zaprząć konia. Zaprząć natychmiast konia! — zawołał skwapliwie do podoficera.

— Ale ja, wasze wysokobłagorodie, nic nie czuję. Z lekka mnie tylko ukłuł, wasze wysokobłagorodie.

— Ty nie wiesz, ty nie wiesz, mój miły; zobaczysz potem... Miejsce niebezpieczne; wszystko od miejsca zależy; pod samo serce ugodził, rozbójnik! A ciebie, ciebie — zaryczał zwracając się do Łomowa — no, teraz ja ci się dam we znaki!... Do kordegardy!

I rzeczywiście dał się we znaki. Łomowa sądzili i choć rana okazała się bardzo lekkim ukłuciem, zamiar był widoczny. Przestępcy dodali lat katongi i przepędzili go przez tysiąc pałek. Major był całkiem zadowolony.

Nareszcie przybył rewizor.

Nazajutrz po przybyciu do miasta przyjechał do naszego ostrogu. Dzień był świąteczny. Już na kilka dni przedtem wszystko u nas było wymyte, wygładzone i wylizane. Aresztanci ogoleni na nowo, odzież na nich biała i czysta. Latem podług przepisu chodzili wszyscy w białych, płóciennych kurtkach i spodniach. Na plecach mieli wszyte czarne kółka o parocalowej średnicy. Przez całą godzinę uczono aresztantów, jak mają odpowiadać, jeżeli wysoka osoba zechce ich pozdrowić. Powtarzano próby, major latał jak kot zagorzały. Na godzinę przed zjawieniem się generała wszyscy stali na swoich miejscach jak kloce, z wyprostowanymi po bokach rękami. Na koniec o pierwszej w południe generał przyjechał. Była to ważna figura, tak ważna, iż zapewne wszystkie serca urzędowe w zachodniej Syberii musiały zadrzeć przy jego zjawieniu się. Wszedł z miną surową i wspaniałą; za nim wwała się wielka świta naczelników władz miejscowych, które mu towarzyszyły, kilku generałów i pułkowników. Był jeden cywilny, wysoki i piękny pan, we fraku i pończochach, który także przyjechał z Petersburga i zachowywał się nadzwyczaj swobodnie i niezależnie. Generał często zwracał się do niego, z wielką grzecznością. Niezmiernie to zaintrygowało aresztantów: cywilny, a taki szacunek do niego, i to jeszcze od takiego generała! Nasz major, ściśnięty w mundurze, z pomarańczowym kołnierzem, z nalany krwią oczami, z czerwoną, opryszczonej twarzą, nie wywarł, zdaje się, zbyt przyjemnego wrażenia na generale. Stał opodal, wyciągnięty jak struna i całą istotą swoją wyczekiwał chwilki, w której by się mógł na coś przydać, w której by mógł popędzić, aby spełnić rozkazy *prewoschoditielstwa*¹⁴³. Ale na nic się nie przydał. Generał, milcząc,

Władza

¹⁴²*družok* (ros. pot.) — koleżka; kumpel. [przypis edytorski]

¹⁴³*prewoschoditielstwo* (ros.) — ekscelencja; honorowy tytuł wysokich urzędników państwowych, wg tabeli rang Imperium Rosyjskiego przysługujący generałom i urzędnikom cywilnym III i IV klasy. [przypis edytorski]

obszedł kazarmy, zajrzał, zdaje się, do kuchni, popróbowował kapuśniaku. Wskazano mu na mnie; taki to a taki, szlachcic.

— A! — odpowiedział generał. — A jakże się on teraz prowadzi?

— Dotychczas dobrze, wasze prewoschoditielstwo — odpowiedziano.

Generał kiwnął głową i po dwóch minutach wyszedł z ostrogu. Aresztanci naturalnie byli olśnieni, ale odczuwali pewien zawód. O żadnej skardze na majora nie mogło być mowy i major już z góry był tego zupełnie pewny.

XI. ZWIERZĘTA W KATORDZE

Kupienie gniadosza¹⁴⁴, które wkrótce potem nastąpiło w ostrogu, było dla aresztantów daleko przyjemniejszą rozrywką od wysokich odwiedzin. Ostróg nasz miał swojego konia do przywożenia wody, wywożenia nieczystości itd. Do chodzenia koło niego przeznaczony był pewien aresztant. Roboty naszemu koniowi nie brakło i rano, i wieczorem. Gniadek służył już u nas od bardzo dawna. Konik był dobry, ale sierał siły. Pewnego pięknego poranku, przed samym św. Piotrem¹⁴⁵, Gniadek, przywiózłszy wieczorną beczkę, padł na ziemię i zdechł w kilka minut potem. Żałowano go; wszyscy się dokoła niego zgromadzili, rozprawiali, spierali się. Dymisjonowani kawalerzyści, handlarze, weterynarze itp., jacy u nas byli, okazali przy tej sposobności wielką znajomość spraw końskich, pokłócili się nawet, ale gniadosza nie wskrzesili. Leżał martwy, ze wzdętym brzuchem, który wszyscy uważali sobie za obowiązek pocisnąć palcem.

Doniesiono majorowi o rządzeniu boskim, a on rozkazał, aby natychmiast kupiono nowego konia. W dzień św. Piotra, rano po nabożeństwie, przy pełnym zgromadzeniu aresztantów zaczęto przyprawdzać konie na sprzedaż. Rzecz naturalna, że kupno poruczono samym aresztantom. Byli u nas prawdziwi znawcy i oszukać dwustu pięćdziesięciu ludzi, którzy się tym tylko zajmowali, było rzeczą trudną. Zjawiali się Kirgizi, przekupnie, Cyganie, mieszczenie. Aresztanci niecierpliwie oczekiwali zjawienia się każdego nowego konia. Cieszyli się jak dzieci. Najbardziej im to schlebiało, że oni, jak ludzie wolni, kupują konia *dla siebie* i jakby *ze swojej* kieszeni i mają zupełne do tego prawo. Trzy konie po kolei przyprowadzano i odprowadzano, kupiono dopiero czwartego. Handlarze wchodzący do ostrogu z pewnym zdumieniem i nieśmiało oglądali się dokoła, a nawet czasem rzucali okiem na konwojujących, którzy ich wprowadzali. Wataha ze dwustu takich ludzi, z golonymi głowami, piętnowanych, w łańcuchach i u siebie w domu, w swoim gnieździe katorżnym, którego progów nikt nie przestępuje, budziła swego rodzaju szacunek. Nasi zaś wysilali się na rozmaite sztuki przy badaniu konia, którego przyprowadzano. Dokąd oni nie zaglądali, czego nie dotykali! I to z takim zajęciem i z tak poważną miną, jak gdyby od tego zależał dobrobyt więzienny. Czerkiesi wskakiwali nawet na konia oklep; oczy ich zapalały się prędko, coś szepotali swoim niezrozumiałym językiem, szczerząc zęby i kiwając smagłymi o orlich nosach twarzami. Niejeden z Rosjan jak przykuty przysłuchuje się ich sporom, rzekłbyś, do oczu im chce skoczyć. Słów nie rozumie, więc choć z wyrazu chce się domyślić, jak rozstrzygnęli: czy wart co koń, czy nie? Dla postronnego obserwatora taka wytężona uwaga wydałaby się dziwna. Zdawałoby się po co się ma tak troszczyć o to aresztant, i to niejeden aresztant pokorny, przybity, który wobec niektórych towarzyszy nie śmie nawet pisnąć. Zdawałoby się, że on dla siebie kupuje konia i że w istocie nie wszystko mu jedno, jakiego konia kupią. Oprócz Czerkiesów najwięcej się odznaczali w tej sprawie byli przekupnie i handlarze; im dawano pierwsze miejsce i słowo.

Zaszedł tu nawet pewnego rodzaju szlachetny pojedynek między dwoma aresztantami: Kulikowem, byłym przekupniem i koniokradem, a pewnym weterynarzem samoukiem, przebiegłym sybirskim chłopem, który niedawno przybył do ostrogu i już zdołał odciągnąć od Kulikowa całą jego miejską praktykę. Trzeba wiedzieć, że naszych więziennych weterynarzy-samouków zawsze ceniono w mieście i że nie tylko mieszczenie lub kupcy, ale nawet wyżsi urzędnicy, kiedy im zaślaby konie, zwracali się do tych samouków po radę, pomimo iż w mieście było kilku dyplomowanych weterynarzy. Kulikow do przybycia Jelkina, owego sybirskiego chłopca, nie miał współzawodnika, cieszył się wielką

¹⁴⁴gniadosz — koń o brązowej sierści, z czarną grzywą i czarnym ogonem. [przypis edytorski]

¹⁴⁵przed samym św. Piotrem — przed kalendarzowym świętem św. Piotra, w liturgii prawosławnej obchodzonym 29 stycznia. [przypis edytorski]

praktyką i naturalnie otrzymywał za nią pieniężną nagrodę. Był to wielki cygan i szarlatan i daleko mniej umiał, niż z pozoru można było sądzić. Pod względem dochodów był arystokratą między aresztantami. Znajomością świata, rozumem, swoją śmiałością i stanowczością od dawna już w nich wszystkich budził mimowolny szacunek. Słuchali go i byli mu posłuszni. Mówił mało i tylko wtedy, gdy chodziło o coś bardzo ważnego, ale mówił jakby rublem darzył. Był to wielki blagier, ale miał dużo prawdziwej, przyrodzonej energii. Choć już niemłody, był bardzo piękny, był też i bardzo rozumny. Z nami, szlachtą obchodził się delikatnie, a zarazem z niezwykłą godnością. Myślę, że gdyby go przebrać i pod imieniem jakiegoś hrabiego wprowadzić do stołecznego klubu, to i tutaj umiałby się znaleźć, zagrałby w wista¹⁴⁶, wziąłby udział w rozmowie, mówiąc niewiele, ale z aplombem¹⁴⁷ i może przez cały wieczór nie poznano by się, że to nie hrabia, ale włóczęga. Mówię na serio, tak był rozumny i bystro orientujący się. A przy tym jego manieri były w całym znaczeniu słowa wytwornie eleganckie; widać, że z różnych pieców jadł chleb. Jednak jego przeszłość była zupełnie ciemna.

Ale z przybyciem Jelkina, chociaż chłopca, ale niezmiernie przebiegłego, lat pięćdziesięciu, z raskolników, przyćmiła się weterynarska sława Kulikowa. W jakieś dwa miesiące zabrał mu Jelkin całą miejską praktykę. Uzdrawiał on bardzo łatwo i takie konie, od których leczenia jeszcze przedtem wymawiał się Kulikow; uzdrawiał nawet takie, o których zwątpili miejscy weterynarze. Chłop ten dostał się tu wraz z innymi za robienie fałszywych pieniędzy. Trzebaż mu było na starość przybierać do takiej roboty towarzysza! Sam, śmiejąc się z siebie, opowiadał, że z trzech prawdziwych złotych wyszedł u nich jeden fałszywy. Kulikow był trochę dotknięty jego weterynarskim powodzeniem, nawet wśród aresztantów jego sława zaczęła blednąć. Utrzymywał kochankę na przedmieściu, chodził w pluszowej kamizelce, nosił srebrną obrączkę na palcu, kolczyk, miał własne buty z wyłogami, i nagle, gdy zabrakło dochodów, musiał zostać szynkarzem; dlatego też wszyscy oczekiwali, że teraz przy kupowaniu gniadosza przeciwnicy wezmą się do siebie, może się nawet pobiją. Oczekiwano z wielką ciekawością, każdy z nich miał swoje stronnictwo. Już ruchliwsi w każdej partii zaczęli się gorączkować i już powoli obrzucali się wzajem obelgami. Sam Jelkin już ściągnął swoją chytrą twarz do szyderczego uśmiechu. Ale stało się inaczej, Kulikow nie myślał łajać, ale i bez łajania postąpił po mistrzowsku. Zaczął od ustępstwa, z pewnym nawet uznaniem wysłuchał krytycznych uwag swego współzawodnika, ale złapawszy go na jednym słowie, skromnie i stanowczo zrobił mu uwagę, że się myli, i zanim Jelkin zdołał się opamiętać i objaśnić swoje słowa, dowiódł mu, że mianowicie w tym a tym się myli. Jednym słowem Jelkin zbity został bardzo niespodziewanie i zęczenie, a choć pomimo tego wziął górę, jednak i partia Kulikowa była zadowolona.

— Nie, dzieci, jego nie łatwo zbijesz, umie się bronić — mówili jedni.

— Jelkin więcej umie! — robili uwagę inni, ale tonem łagodnym.

W obu partiach nagle zapanowała wielka gotowość do ustępstw.

— Nie to, że umie, ale ma rękę lżejszą. A co się tyczy bydlęcia, to i Kulikow nie da się zjeść w kaszy.

— Nie da się zjeść w kaszy! Zuch!

— Nie da się.

Na koniec wybrano i kupiono nowego Gniadka. Był to wyborny konik, młody, ładny, mocny, wyglądał nadzwyczaj zdrowo i wesoło. Rozumie się, że i pod wszelkimi innymi względami okazał się bez błędu. Zaczęły się targi: żądano trzydziestu rubli, nasi dawali dwadzieścia pięć. Targowano się gorąco i długo, dodawano i opuszczano. Nareszcie samym aresztantom wydało się to śmieszna rzecz.

— Czy to ty ze swego worka, czy co, będziesz brał pieniądze? — mówili jedni. — Po co się targować?

— Czy to *kazny* (skarbu) mamy żałować?

— A jednak, bracia, zawsze to pieniądze *artielne*.

— *Artielne!* Nie, widać, że naszego brata, duraków, nie sieją, sami się rodzimy...

¹⁴⁶wist — dawna gra w karty podobna do brydża, popularna w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

¹⁴⁷aplomb (daw.) — pewność siebie. [przypis edytorski]

Nareszcie za dwadzieścia osiem rubli stargowano konia, doniesiono majorowi i kupno zostało dokonane. Naturalnie, że natychmiast wyniesiono chleb i sól i z honorami wprowadzono nowego gniadosza do ostrogu. Zdaje się, że nie było aresztanta, który by go przy tej okazji nie potrząsał po karku lub nie pogładził po pysku. Tegoż dnia zaprzężono Gniadka do wożenia wody i wszyscy patrzeli, jak nowy Gniadek wiezie beczkę wody. Nasz woziwoda Roman spoglądał na nowego konika z nadzwyczajnym zadowoleniem. Był to chłop lat pięćdziesięciu, milczący i poważny. Wszyscy zresztą rosyjscy furmani bywają bardzo poważni i milczący; zdawałoby się, że ciągle obcowanie z koniem nadaje stateczność, a nawet powagę człowiekowi. Roman był cichy, względem wszystkich uprzejmy, niegadatliwy, zażywał tabakę z rogu i od niepamiętnych czasów miał do czynienia z więziennymi gniadoszami. Nowo kupiony był już trzecim tej maści. U nas wszyscy byli przekonani, że ostróg powinien mieć gniadego konia, że to mu do twarzy. Potwierdzał tę opinię i Roman. Srokiego na przykład za nic by nie kupiono. Miejsce woziwody stałe na mocy jakiegoś prawa zajmował Roman i nikt u nas nigdy nie myślał nawet zaprzeczać mu tego prawa. Kiedy padł poprzedni Gniadek, nikomu do głowy nie przyszło, nawet majorowi, obwiniać o to Romana: woła Boża i koniec, a Roman dobry woźnica.

Koń

Wkrótce nowy koń stał się ulubieńcem ostrogu. Aresztanci, choć lud surowy, podchodzili doń często i głaskali. Roman, bywało, wracając od rzeki, zamyka wrota, które mu otworzył podoficer, a Gniadek, wszedłszy na dziedziniec, stoi z beczką i czeka, i strzyże uszami. „Ruszaj sam!” — krzyknie mu Roman i Gniadek natychmiast pociągnie sam beczkę, dowiezie ją do kuchni i zatrzyma się, oczekując na kucharzy i paraszników, którzy przychodzą z wiadrami. „Mądrała, Gniadek! — wołają aresztanci — Sam przywiózł!... Słucha rozkazu!”

Koń

— Widzisz go, w samej rzeczy: bydlę, a jednak pojmuje!

— Zuch, Gniadek!

Gniadek obraca głowę i parska, rzekłbyś, rozumie, co o nim mówią i cieszy się z pochwał. I zaraz ktoś się znajdzie, co mu wyniesie chleba z solą. Gniadek spożywa i znowu głową zamacha, jakby mówił: „Znam ciebie, znam! I jam miły konik, i tyś dobry człowiek!”

Ja również lubiłem podawać chleb Gniadkowi. Przyjemnie mi było patrzeć na jego piękną głowę i czuć na dłoni jego ciepłe, miękkie wargi, żwawo zabierające wkoło żywność z dłoni.

W ogóle nasi aresztanci mogliby lubić zwierzęta i gdyby im tylko pozwolono, hodowaliby w ostrogu mnóstwo domowego bydła i ptactwa. I cóż by, jak się zdaje, mogło lepiej zmiękczyć i uszlachetnić ich surowy i zwierzęcy charakter, od tego zajęcia? Ale nie wolno było; ani nasze porządki, ani miejsce nie pozwalały na to.

W ostrogu jednak przypadkiem podczas mojego tam pobytu przebywało kilkoro zwierząt. Oprócz Gniadka mieliśmy psy, gęsi, kozła Waśkę, a przez jakiś czas żył tu orzeł.

W charakterze psa więziennego, jak to już dawniej wspominałem, był u nas Szarik, rozumny i dobry pies, z którym zostawałem ciągle w stosunkach przyjacielskich. Ale ponieważ u naszego ludu psa w ogóle uważa się za stworzenie nieczyste, na które nie warto zwracać uwagi, więc i na Szarika prawie nikt nie zwracał uwagi. Żył sobie pies, spał na dworze, jadł resztki kuchenne i w nikim nie budził szczególnego zainteresowania; wszystkich jednakże znał i wszystkich w ostrogu miał za swoich panów. Kiedy aresztanci wracali z roboty, na sam krzyk przed kordegardą: „Gefrajtera!”, biegł do bramy, uprzejmie witał każdą partię, kręcił ogonem i życzliwie spoglądał w oczy każdemu wchodzącemu, oczekując jakiegokolwiek łaskawości. Ale w przeciągu wielu lat od nikogo się jej nie doczekał, chyba tylko ode mnie. Dlatego też lubił mnie najwięcej. Nie pamiętam, w jaki sposób zjawił się potem w ostrogu i drugi pies, Białka. Trzeciego, Kultiapkę¹⁴⁸, gdy był jeszcze szczeniakiem, sam do ostrogu przyniosłem, wracając kiedyś z roboty.

Pies

Białka było to dziwne stworzenie. Ktoś ją wozem przejechał i miała grzbiet wklęsnięty, tak że kiedy biegła, to z daleka zdawało się, że biegną jakieś dwa białe zrosnięte ze sobą zwierzątka. Była ona przy tym cała jakby parszywa, z gnojącymi się oczyma, z ogonem oblażłym, bez sierści i zawsze podgiętym. Przez los upośledzona, postanowi-

Pies

¹⁴⁸kultiapa — w ludowym narzeczu oznacza człowieka bez rąk, bez palców, kalekę. [przypis tłumacza]

ła widocznie być pokorna. Nigdy na nikogo nie szczekała i nie warczała, rzekłbyś, nie śmiała. Przebywała zwykle za kazarmami, poszukując tam sobie żywności, ujrawszy zaś którego z naszych, natychmiast, jeszcze na kilka kroków przed nim, przewracała się na znak pokory na grzbiet, jak gdyby chciała powiedzieć: „Rób sobie ze mną, co ci się podoba, a ja, jak widzisz, nie myślę się nawet sprzeciwić”. I każdy aresztant, przed którym się tak przewróciła, trącał ją butem, uważając to niejako za swój konieczny obowiązek: „Widzisz ją, podła!” — mówili aresztanci. Ale Białka nawet skomleć nie śmiała i kiedy ją zbyt już zabolalo, zawyla tylko głucho i żałośnie. Tak samo przewracała się i przed Szarikiem, i przed każdym innym psem, gdy wybiegała w swoich sprawach za ostróg. Bywało, przewróci się i leży pokornie, kiedy jakiś wielki kłapouchy pies rzuci się na nią z groźnym szczekaniem. Ale psy lubią pokorę w podobnych do siebie stworzeniach. Srogi pies natychmiast łagodniał, w pewnym zadumaniu stawał nad pokornym psem, co leżał przed nim z nogami wystawionymi w górę i powoli z wielką ciekawością zaczynał go obwąchiwać. Co musiała sobie wówczas myśleć Białka, cała trzęsąca się ze strachu. „A cóż będzie, jak rozbójnik ukąsi?” — przychodziło jej zapewne do głowy. Ale obwąchawszy uważnie, pies rzucał ją, nie znajdując w niej nic godnego uwagi. Białka natychmiast zrywała się i kulejąc, puszczała się za długim sznurem psów, które towarzyszyły jakiejś Żuczce. Wiedziała ona na pewno, że z Żuczka nigdy za pan brat nie będzie, a jednak choćby z daleka za nią pokuleć było dla niej pociechą w jej nieszczęściach. O zaszczytach widocznie przestała już myśleć. Utraciwszy wszelką karierę w przyszłości, żyła tylko dla chleba i miała tego zupełną świadomość. Próbowalem ją raz pogłaskać. Było to dla niej czymś tak nowym i niespodzianym, że nagle przysiadła do ziemi, na wszystkie cztery łapy, zaczęła drzeć i głośno piszczeć z radości. Przez litość głaskałem ją często, za to też nie spotykała mnie inaczej, jak ze skamleniem. Ujrzy z daleka i skomli żałośnie. Skończyło się na tym, że ją psy na wale za ostrogiem rozszarpały.

Zupełnie inny charakter miał Kultiapka. Dlaczego przenieśli go jeszcze jako ślepe szczenię z warsztatu do ostrogu, sam nie wiem. Przyjemnie mi było karmić go i chować. Szarik natychmiast wziął Kultiapkę pod swoją opiekę i sypiał z nim razem. Kiedy Kultiapka zaczął podraść, pozwalał mu kąsać swoje uszy, targać swoją sierść i bawić się ze sobą, jak się zwykle bawią starsze psy z młodymi. Rzecz dziwna, że Kultiapka prawie nic nie rósł w górę, tylko wzdłuż i wszerz. Sierść miał kosmatą, koloru jasnej myszy; jedno ucho rosło w górę, drugie w dół. Był pełen zapału jak każdy szczeniak, który z radości, że widzi swego pana, rzuca się na niego z pyskiem i gotów nawet twarz lizać. Gdziekolwiek byłem, na moje wołanie: „Kultiapka!” zjawiał się nagle zza jakiegoś węgla jak spod ziemi i z piskliwym zachwytem leciał ku mnie, tocząc się jak piłka i przewracając się po drodze. Strasznie lubilem tego małego potworka. Zdawało się, że los gotował mu w życiu same tylko powodzenia. Ale pewnego pięknego dnia aresztant Nieustrojew, który trudnił się szyciem trzewików kobiecych i wyprawą skór, zwrócił na niego szczególną uwagę. Coś go nagle uderzyło. Przywołał Kultiapkę do siebie, obmacał sierść, przewrócił go łaskawie i popatrzał. Kultiapka, nic nie podejrzewając, piszczał z zadowolenia. Ale nazajutrz rano gdzieś zniknął. Szukałem długo: jak w wodę wpadł; dopiero w dwa tygodnie potem rzecz się wyjaśniła. Sierść Kultiapki bardzo się podobała Nieustrojewowi. Zabił go, zdarł skórę, wyprawił i podłożył w aksamitne zimowe półbuciki, które zamówiła u niego pani audytorowa. Pokazywał mi te półbuciki, kiedy już były gotowe. Futro było wyborne. Biedny Kultiapka!

W naszym ostrogu wielu zajmowało się wyprawą skór i często bywało, że przyprowadzali ze sobą psy o ładnej sierści, które natychmiast zniknęły. Niektóre kradziono, inne nawet kupowano. Pamiętam, raz za kuchniami ujrzałem dwu aresztantów. O czymś naradzali się ze sobą, a jeden z nich trzymał na sznurze wspaniałego, wielkiego, czarnego psa, widocznie drogiego gatunku. Jakiś łotr lokaj uprowadził go od swego pana i sprzedał naszym fabrykantom za 30 kopiejek srebrem. Aresztanci zabierali się do wieszania go. Robiło się to bardzo łatwo: skórę zdzierano, a trupa rzucono do wielkiego i głębokiego szamba, które znajdowało się w najdalszym kącie naszego ostrogu, z którego latem podczas wielkich upałów wychodziły straszliwe wyziewy, bo rzadko je czyszczono. Biedny pies, zdawało się, przeczuwał los, który go czeka. Badawczo i niespokojnie spoglądał na nas trzech po kolei i z rzadka tylko ośmielał się pokręcić swoim puszystym opuszczonym

Pies

Pies

ogonem, jakby pragnąc nas zmiękczyć tym znakiem swojej ku nam ufności. Odszedłem co prędzej, a oni naturalnie rzecz swoją zakończyli szczęśliwie.

Gęsi u nas zaczęto hodować także jakoś przypadkiem. Kto je zaczął hodować i do kogo właściwie one należały, nie wiem, ale wiem, że przez jakiś czas sprawiały wielką uciechę aresztantom, a nawet w mieście nabrały rozgłosu. Wylęgły się w ostrogu, a trzymano je przy kuchni. Kiedy młode podrosły, to wszystkie gęsi, całym kahałem¹⁴⁹, przyuczyły się chodzić wraz z aresztantami na robotę. Jak tylko zagrzmi bęben i katorga poruszy się, nasze gęsi z krzykiem biegną za nami, rozpostarłszy skrzydła, jedna za drugą przeskakują wysoki próg furtki i niezawodnie udają się na prawą flankę, gdzie szykują się, czekając, aż się skończy *razwodka*, tj. rozprowadzenie aresztantów. Przyłączały się zwykle do największej partii i podczas roboty pasły się gdzieś niedaleko. Jak tylko partia ruszała z powrotem do ostrogu, i one z nią wracały. W fortecy rozeszły się wieści, że gęsi chodzą z aresztantami na robotę. Spotykający mawiali: „No, no, aresztanci idą ze swoimi gęśmi! Jakżeście to je przyuczyli?” — „O, to wam na gęsi” — dodawał ktoś czasem i wręczył jałmużnę. Ale pomimo całej ich wierności, wszystkie je na pewną uroczystość zarżnięto.

Za to naszego kozła Waśkę za nic by nie zarżnięto, gdyby nie pewna szczególna okoliczność. I ten skąd się wziął i kto go przyniósł, nie wiem; niespodzianie znalazł się w ostrogu mały, bielutki prześliczny koziołek. W ciągu kilku dni wszyscy go polubili i stał się powszechną rozrywką, a nawet osłoda, wyszukano i przyczynę, aby go chować: trzeba mieć w ostrogu przy stajni kozła. Jednak przebywał nie w stajni, ale z początku w kuchni, a potem chodził po całym ostrogu. Było to niezmiernie wdzięczne i swawolne stworzenie. Biegł na zawołanie, wskakiwał na ławki, na stoły, bódł się z aresztantami, był zawsze wesoły i zabawny. Kiedy mu już się porządnie różki przerzynały, pewnego razu wieczorem Lezgin Babaj, siedząc na ganku kazarmy w tłumie innych aresztantów, zaczął się z nim bóść. Długo się już stukali łbami — była to ulubiona zabawa aresztantów — gdy nagle Waśka skoczył na najwyższy schodek ganku i jak tylko Babaj się odwrócił, w mgnieniu oka podniósł się na tylnych nogach, przygiął do siebie przednie kopytka i z całym rozpędem uderzył Babaję w tył głowy, tak że ten wywrócił się i zleciał z ganku ku największej uciechy obecnych i samego Babaję. Jednym słowem Waśkę wszyscy okropnie lubili. Kiedy zaczął podraść, dokonano na nim — wskutek ogólnej, bardzo poważnej narady — pewnej operacji, którą nasi weterynarze znakomicie umieli robić. „Inaczej pachnąć będzie kozłem” — mówili aresztanci. Potem Waśka zaczął bardzo tyć. Karmiono też go jak na wypas. Na koniec wyrósł prześliczny wielki kozioł, z niezmiernie długimi rogami i niezwykle gruby. Bywało, idzie i zatacza się. Jego także przyuczono chodzić z nami na robotę dla uciechy aresztantów i spotykanej publiczności. Wszyscy znali aresztanckiego kozła Waśkę. Bywało, gdy pracowano na przykład na brzegu, aresztanci łałamią gibkich gałązek łożyny, narwą jeszcze jakichś liści, a na wale kwiatów i we wszystko to przystroją Waśkę, rogi oplotą gałęzmi i kwiatami, po całym tułowiu puszcza girlandy. Wraca, bywało, Waśko do ostrogu, idąc zawsze przed aresztantami, wystrojony, przyozdobiony, a oni idą za nim i widać, że się pyszną wobec przechodniów. Do tego doszło to lubowanie się Waśką, że niektórym z naszych przychodziło nawet do głowy jak dzieciom: „Czyby nie pozłocić rogów Waśce?”. Ale o tym tylko pogadano, nie zrobiono tego. Pamiętam zresztą, że pytałem Akimę Akimycza, najlepszego u nas złotnika po Icku: czy można naprawdę pozłocić kozłowi rogi? Akim uważnie spojrzął na kozła, głęboko się zastanowił i odpowiedział, że ostatecznie można, „ale to będzie nie trwałe, a przy tym zupełnie nieużyteczne”. Na tym się skończyło.

I długo żyłby Waśka w ostrogu i umarłby chyba z dychawicy. Ale pewnego razu, wracając na czele aresztantów z roboty, przystrojony w sposób wyżej opisany, wpadł w oczy majorowi, który jechał naprzeciw dorożką. „Stój! — wrzasnął — Czyj kozioł?” Dano mu objaśnienie. „Jak to? W ostrogu kozioł i bez mego pozwolenia? Podoficera!” Zjawił się podoficer i natychmiast wydano rozkaz niezwłocznego zarżnięcia kozła. Skórę zedrzeć, sprzedać na targu, a otrzymane pieniądze włączyć do rządowej aresztanckiej sumy, mięso zaś oddać aresztantom do kapuśniaku. W ostrogu pogadano o tym, pożałowano, ale nie ośmielono się nie usłuchać rozkazu. Waśkę zarżnięto, mięso kupił jeden z aresztantów

¹⁴⁹*kahal* (z hebr.: zgromadzenie) — żydowska gmina wyznaniowa a. rada zarządzająca tą gminą. [przypis edytorski]

w całości, zapłaciwszy ostrogowi półtora rubla. Za te pieniądze kupiono kołaczy, a ten, który kupił Waškę, rozprzedał go częściami swoim także na piecyste. Mięso okazało się w istocie bardzo smaczne.

Żył u nas także przez jakiś czas w ostrogu orzeł (karagusz), z rodzaju stepowych, niewielkich orłów. Ktoś go przyniósł do ostrogu rannego i zmęczonego. Cała katorga go obstała; nie mógł latać, prawe skrzydło zwisało ku ziemi, jedną nogę miał wywichniętą. Pamiętam, jak gniewnie oglądał się wkoło, patrząc na ciekawski tłum i otwierał zagięty dziób, gotując się drogo sprzedać życie. Kiedy się na niego napatrzono i ludzie zaczęli się rozchodzić, odsunął się, kulejąc, skacząc na jednej nodze i pomachując zdrowym skrzydłem, w najdalszy koniec ostroga i tam zaparł się w kącie, cisząc się szczelnie do pali. Tak przeżył trzy miesiące i ani razu przez ten czas nie wyszedł ze swego kąta. Z początku przychodzono patrzeć na niego i szcztuto go psem. Szarik rzucał się ku niemu groźnie, ale widocznie bał się bliżej przystąpić, co bardzo bawiło aresztantów. „Zwierz! — mówili — nie daje się!” Potem i Szarik zaczął mu mocno dokuczać; strach minął i kiedy go podszczuwano, potrafił chwycić orła za chore skrzydło. Orzeł bronił się ze wszystkich sił pazurami i dziobem i zaparłszy się w swym kącie, jak król raniony dumnie i dziko spoglądał na ciekawych, którzy przychodzili, aby mu się przypatrzeć. Na koniec znudził się wszystkim, porzucono go i zapomniano o nim, a jednak co dzień można było widzieć przy nim kawałki świeżego mięsa i czerepek¹⁵⁰ z wodą. Ktoś jednak myślał o nim. Orzeł z początku nawet jeść nie chciał i nie jadł przez kilka dni; na koniec zaczął przyjmować pokarm, ale nigdy z ręki albo przy ludziach. Zdarzało mi się nieraz przypatrywać mu się z daleka. Nie widząc nikogo i myśląc, że jest sam, decydował się niekiedy wyjść z kąta i włócił się, kulejąc, wzdłuż pali na jakichś dwanaście kroków od swego miejsca, potem wracał, potem znowu wychodził, rzekłbyś, używał przechadzki dla ruchu. Spostrzegłszy mnie, natychmiast ze wszystkich sił, kulejąc, śpieszył na swoje miejsce i odwróciwszy w tył głowę, rozwarłszy dziób i najeżywszy się, natychmiast gotował się do boju. Niczym nie mogłem go ugłaskać: kąsał mnie i bił, mięsa nie chciał brać z moich rąk i przez cały czas kiedy, bywało, nad nim stoję, uporczywie patrzy — patrzy mi w oczy swoim złym, przesywającym wzrokiem. Samotnie i gniewnie oczekiwał śmierci, nie dowierzając nikomu i z nikim nie chcąc zgody. Na koniec aresztanci jak gdyby sobie o nim przypomnieli i choć przez dwa miesiące nikt się o niego nie troszczył i nikt o nim nie wspominał, teraz nagle zbudziło się we wszystkich współczucie ku niemu. Zaczęto mówić, że trzeba wynieść orła. „Niechaj przynajmniej zdechnie nie w ostrogu” — mówili jedni.

— Wiadomo, ptak wolny, surowy, nie przyuczysz go do ostrogu — potakiwali drudzy.

— Widać, że on nie taki, jak my — ktoś dodał.

— Powiedział, co wiedział: to ptak, a my przecież ludzie.

— Orzeł, bracia, jest królem lasów... — zaczął mówić Skuratow, ale tym razem nie chciano go słuchać.

Raz po obiedzie, gdy przegrzmiał bęben wzywający na robotę, wzięto orła, ścisnąwszy mu dziób ręką, ponieważ nie dawał się wziąć inaczej, i wyniesiono z ostrogu. Aresztanci doszli do wału. Dwunastu ludzi było w tej partii i wszyscy byli bardzo ciekawi, dokąd pójdzie orzeł. Rzecz dziwna; wszyscy byli z czegoś zadowoleni, jak gdyby cząstkę własnej swobody otrzymywali.

— Widzisz go, sobacze mięso: dobrze mu robisz, a on cię wciąż kąsa! — mówił ten, który go trzymał, prawie z lubością patrząc na złego ptaka.

— Puszczaj go, Mykitka!

— On widać nie da ze sobą igrać. Jemu wolę podawaj, prawdziwą wolę woleńską.

Orla zrzucano z wału w step. Była głęboka jesień, dzień chłodny i pochmurny. Wiatr świstał w gołym stepie i szumiął w poźółklej, wyschłej, kępiastej trawie stepowej. Orzeł puścił się prosto, machając chorym skrzydłem i jakby śpiesząc się ujść od nas, dokąd oczy poniosą. Aresztanci ciekawie śledzili, jak migąła w trawie jego głowa.

— Widzisz go, jaki! — w zamyśleniu odezwał się jeden.

— I nie obejrzy się! — dodał drugi. — Ani razu, bracia, nie obejrzał się, wciąż bieży naprzód.

¹⁵⁰czerepek (daw.) — naczyne gliniane kiepskiej jakości a. potłuczone. [przypis edytorski]

— A ty myślałeś, że wróci dziękować? — wtrącił uwagę trzeci.
— Wiadoma rzecz, wola. Wolę poczuł.
— Oto co znaczy swoboda.
— I nie widać go już, bracia...
— Dość tego stania! Marsz! — zawołali konwojowi żołnierze i wszyscy, milcząc, powlekli się na robotę.

XII. PRETENSJA

Tego pierwszego lata błąkałem się po ostrogu prawie samotny. Powiedziałem już, że byłem wówczas w takim usposobieniu ducha, iż nie mogłem nawet ocenić i odróżnić tych spomiędzy katorżników, którzy mogli mnie kiedyś polubić, choć nigdy nie stanęliby ze mną na równej stopie. Miałem i ja towarzyszy ze szlachty, ale i to towarzystwo nie zdejmowało z mojej duszy całego brzemienia. I oto na przykład jeden z tych wypadków, które od razu dały mi poczuć całe moje odosobnienie, całą wyjątkowość mojego położenia w ostrogu. Pewnego razu tegoż lata, kiedy już zbliżał się sierpień, w powszedni dzień jasny i gorący, o pierwszej godzinie po południu, kiedy zwykle wszyscy spoczywali przed poobiednią robotą, cała katorga naraz podniosła się jak jeden człowiek i zaczęła szykować się na dziedzińcu więziennym. Nie wiedziałem, o co chodzi, aż do tej chwili. W owym czasie bywałem nieraz tak zagłębiany w samym sobie, że prawie nie spostrzegałem, co się wkoło mnie dzieje. A tymczasem już od trzech dni panowało w katordze głucho wzburzenie. Może się ono już i daleko wcześniej zaczęło, jak się tego później domyśliłem, przypomniawszy sobie niektóre rzeczy z rozmów aresztanckich, zdwojoną kłótniowość aresztantów, ponurość i szczególne rozdrażnienie, jakim się odznaczeni w ostatnich czasach. Przypisywałem to ciężkiej robocie, nudnym, długim dniom letnim, mimowolnym rojeniom o losach i wolnym życiu, krótkim nocom, niedającym dość czasu do wypiania się. Być może, że to wszystko połączyło się teraz w jeden wybuch, ale pretekstem do wybuchu była — żywność. Już od kilku dni rozlegały się w kazarmach, a szczególnie w kuchni przy obiedzie i wieczery, głośne skargi i sarkania, aresztanci niezadowoleni byli z kucharzy, jednego z nich nawet zmienili, ale natychmiast odpędzili nowego i wzięli na powrót dawnego. Jednym słowem wszyscy byli dziwnie rozstrojeni.

W naszym ostrogu było kilku ludzi takich, którzy się tu dostali za „pretensję”. Oni to się najwięcej burzyli. Takim był szczególnie Martynow, który służył kiedyś w huzarach, gorący, niespokojny i podejrzliwy człowiek, zresztą uczciwy i szczery. Drugim — Wasilij Antonow, człowiek bardzo rozwinięty, z zuchwałym spojrzeniem, z dumnym, sarkastycznym uśmiechem, który rozdrażniając się zachowywał krew zimną, zresztą także uczciwy i szczery. Ale wszystkich nie będę opisywał. Pietrow, między innymi, snuł się tędy i owędy, przysłuchiwał się temu, co mówiono w różnych gromadkach, sam mało mówił, ale widocznie był wzburzony i pierwszy wyskoczył z kazarmy, kiedy zaczęto się szykować.

Nasz więzienny podoficer, który pełnił urząd feldfebla¹⁵¹, wyszedł też natychmiast przestraszony. Uszykowawszy się, ludzie grzecznie go poprosili, aby powiedział majorowi, że katorga chce z nim pomówić i osobiście go prosić o niektóre rzeczy. Za podoficerem wyszli wszyscy inwalidzi i uszykowali się z drugiej strony, naprzeciw katorgi. Polecenie, które otrzymał podoficer, było niezwykle i wprawiło go w wielki przestach. Ale nie donieść o tym natychmiast majorowi nie śmiał. Naprzód, jeżeli cała katorga wystąpiła, to mogło stąd wyniknąć coś jeszcze gorszego; wszystkie nasze władze trwożliwie spoglądały na katorgę. Po wtóre, gdyby nawet nic nie było, gdyby nawet wszyscy natychmiast się rozmyślili i rozeszli, to i w takim razie podoficer powinien niezwłocznie donieść władzy o tym, co zaszło. Błady i drżący ze strachu, pośpieszył natychmiast do majora, nawet nie próbując się dopytywać i napominać aresztantów. Widział, że z nim teraz nie zechcą nawet mówić.

Zupełnie nie wiedząc, o co chodzi, i ja wyszedłem stanąć w szyku. O wszystkich szczegółach sprawy dowiedziałem się już potem. Teraz myślałem, że odbywa się jakieś sprawdzanie; ale nie spostrzegłszy karaulnych, którzy dokonywują sprawdzania, zdziwiłem się i zacząłem rozglądać dokoła. Na twarzach był wyraz wzburzenia i rozdrażnienia,

¹⁵¹feldfebel (z niem.) — stopień podoficerski, sierżant. [przypis edytorski]

niektóre aż pobladły. Wszyscy w ogóle byli mocno przejęci sprawą i milczący w oczekiwaniu chwili, kiedy wypadnie przemówić do majora. Uważałem, że wielu spojrzało na mnie z wielkim zdziwieniem, ale milcząc odwrócili się. Widocznie dziwne się im to wydało, że stanąłem w szyku razem z nimi; widocznie nie wierzyli, żebym i ja z nimi chciał występować z *pretensją*. Wkrótce jednak prawie wszyscy, którzy mnie otaczali, zaczęli się znów zwracać ku mnie. Wszyscy spoglądali na mnie pytająco.

— Tyś tu po co? — głośno i po grubiańsku zapytał mnie Wasilij Antonow, który stał nieco dalej ode mnie, a który dotychczas zawsze mówił do mnie „wy” i grzecznie się obchodził ze mną.

Patrzałem na niego zdziwiony, wciąż jeszcze usiłując zrozumieć, co to znaczy, i już domyślając się, że zachodzi tu coś niezwykłego.

— W samej rzeczy, po co ci tu stać? Ruszaj do kazarmy — odezwał się młody parobczak, z wojskowych, z którym się dotychczas wcale nie znałem, chłopiec dobry i cichy. — To nie twoja sprawa.

— A przecież się szykują — odpowiedziałem mu. — Myślałem, że to sprawdzanie.

— Wylazł ze sprawdzaniem! — krzyknął jeden z aresztantów.

— Żelazny nos — odezwał się drugi.

— Dławimuchy! — przemówił trzeci z nieopisaną pogardą. Nowe to przezwisko wywołało powszechny śmiech.

— Na łaskawym chlebie żyje w kuchni — dorzucił ktoś jeszcze.

— Im wszędzie raj. Tu katorga, a oni kołacze jedzą i prosięta kupują. Ty przecież swoje własne jesz, po cóż tu leziesz?

— To nie miejsce dla was — przemówił Kulikow, niedbale podchodząc ku mnie. Wziął mnie za rękę i wyprowadził z szeregow.

Sam był błądy, jego czarne oczy błyskały, zagryzał dolną wargę. Nie czekał na majora z zimną krwią. Muszę dodać, że ogromnie lubił patrzeć na Kulikowa w podobnych razach, to jest wtedy, kiedy mu trzeba było się pokazać. Strasznie lubił pozować, ale też i robił swoje. Zdaje mi się, że i skazany na śmierć szedłby z pewnym szykiem i elegancją. Teraz, kiedy wszyscy mówili mi „ty” i urągali, on widocznie umyślnie podwoił swoją grzeczność względem mnie; pomimo to jednak ton jego słów był jakiś dumny, nalegający, który zdawał się nie dopuszczać przeczenia.

— My tu o swoich sprawach, Aleksandrze Piotrowiczu, wy tu nie macie nic do czynienia. Idźcie gdziekolwiek, przeczekajcie...

— Pod dziesiąty filar, gdzie mieszka Antypka¹⁵² bepięty! — dorzucił ktoś urągliwie.

Przez otwarte okno kuchni dostrzegłem tam rzeczywiście naszych Polaków; zresztą zdało mi się, że tam prócz nich jest wiele ludu więziennego. Nie rozumiejąc jeszcze dobrze, o co chodzi, poszedłem do kuchni. Śmiech, urągania i wołanie: „tiu! tiu!” (które u aresztantów zastępowało gwizdanie) rozległy się w ślad za mną.

— Nie podobało się!... Tiu-tiu-tiu! Bierz go!...

Nigdy jeszcze dotychczas w ostrogu nie byłem tak obrażony i obraza ta bardzo ciężko mnie dotknęła. Ale się nawinał w taką chwilę. W sieniach przed kuchnią spotkał mnie T-wski (Polak), młodzieniec silnego charakteru i wielkiego serca, bez wyższego wykształcenia, który niezmiernie kochał swego towarzysza B. Katorżnicy wyróżniali go spośród innych i po części nawet lubili. Był waleczny, odważny i silny i to się odbijało prawie w każdym jego ruchu.

— Cóż wy, Gorianczykow — zawołał do mnie — chodź pan tutaj!

— Cóż tam jest takiego?

— Występują z „pretensją”, czyż nie wiecie? Im się to, naturalnie, nie uda: kto wierzy katorżnikom? Zaczną poszukiwać podżegaczy i jeżeli my tam będziemy, na nas pierwszych, rozumie się, zwał winę buntu. Przypomnijcie tylko sobie, za cośmy tu się dostali. Ich tylko oćwiczą, a nas pod sąd. Major nas wszystkich nienawidzi i chciałby w łyżce wody utopić. My mu posłużymy do usprawiedliwienia się.

— A i katorżnicy nas wydadzą — dorzucił M-cki, kiedyśmy weszli do kuchni.

¹⁵²Antypka a. Antypka bepięty — w wierzeniach rosyjskich jedno z imion diabła, siły nieczyste; zniekształcone „Antychryst”, dla uniknięcia wypowiedziania prawdziwego imienia, które mogłoby przywołać diabła. [przypis edytorski]

— Można być pewnym, że nie pożałują — dodał T-wski.

W kuchni oprócz szlachty było jeszcze wielu innych aresztantów, ludzi ze trzydziestu. Pozostali tutaj, nie chcąc objawiać pretensji — jedni z tchórzostwa, drudzy wskutek głębokiego przekonania o nieużyteczności wszelkiej pretensji. Był tu i Akim Akimycz, zawzięty wróg wszelkich podobnych pretensji, zaburzający prawidłowy bieg służby i obyczajności. W milczeniu i z wielkim spokojem wyczekiwał końca sprawy, ani trochę nie trwożąc się o jej rezultat, owszem, zupełnie przekonany o niezawodnym triumfie porządku i władzy więziennej. Był tu i Isaj Fomicz, stał mocno zakłopotany, ze zwieszonym nosem, chciwie i trwożnie przysłuchując się naszej rozmowie. Byli tu i wszyscy Polackowie z ludu prostego, którzy stanęli przy szlachcie. Było kilka bojaźliwych indywidualności spośród Rosjan, ludzi wiecznie milczących i przybitych. Nie mieli odwagi wyjść razem z innymi i ze smutkiem czekali, jak się sprawa zakończy. Było na koniec kilku ponurych, zawsze nachmurzonych aresztantów, ludzi niebojaźliwych. Ci pozostali wskutek uporczywego i pogardliwego przekonania, że to wszystko głupstwo i nic stąd dobrego wyniknąć nie może. Zdaje mi się jednak, że czuwali pewne skrupuły i patrzali niezbyt śmiało. Wiedzieli wprawdzie, że mają zupełną słuszność co do pretensji i rezultat potwierdził ich przekonanie, mieli jednak takie uczucie, jak gdyby byli odstępcami opuszczającymi *artiel* i wydającymi swoich towarzyszy. Znalazł się tu i Jelkin, ten chłop sybirski, który tu się dostał za fałszowanie pieniędzy. Staruszek ze slobód starodubowskich był tu także. Kucharze wszyscy co do jednego pozostali w kuchni, zapewne wskutek przekonania, że i oni stanowią część administracji, a więc nie przystoi im przeciw niej występować.

— Jednakże — powiedziałem z pewnym wahaniem, zwracając się do M-ckiego — prócz tych prawie wszyscy wyszli.

— A nam co do tego? — mruknął B.

— My byśmy sto razy więcej ryzykowali, gdybyśmy wyszli, a po co?

— *Je bais ces brigands*¹⁵³. I czy pan wierzysz choć przez chwilę, że ich pretensja odniesie skutek? Co za ochota mieszać się w głupią sprawę.

— Nic z tego nie będzie — wtrącił jeden z katorżników, uparty i gniewliwy starzec. Almazow, który tu był także, pośpieszył z potwierdzeniem jego słów.

— Oprócz tego, że oćwiczą z pół sotni¹⁵⁴, nic więcej nie będzie.

— Major przyjechał — ktoś krzyknął i wszyscy chciwie rzucili się do okienek.

Major wleciał zły, wściekły, czerwony, w okularach. Milcząc, ale pewnym krokiem podszedł do frontu. W takich razach był rzeczywiście śmiały i nie tracił przytomności umysłu. Zresztą był prawie zawsze na pół pijany. Nawet jego zatłuszczona czapka oficerska z pomarańczowym paskiem i zabrudzone, srebrne epolety miały w sobie w tej chwili coś złowieszczonego. Za nim szedł pisarz Diatłow, nadzwyczaj ważna osoba w naszym ostrogu, ten, który właściwie rządził wszystkim w ostrogu i nawet miał wpływ na majora, przebiegły, roztropny, ale i niezły człowiek. Aresztanci byli z niego zadowoleni. Z tyłu za nim szedł nasz podoficer, który już widocznie otrzymał od majora najstraszniejszą „raspiekancję”¹⁵⁵, a spodziewał się otrzymać dziesięćkroć więcej; za nim konwój, trzech czy czterech ludzi, nie więcej. Aresztanci, którzy stali bez czapek, jak się zdaje od chwili, kiedy posłali po majora, wszyscy teraz wyprostowali się, poruszyli, przestąpili z nogi na nogę, a następnie jakby zamarli, oczekując pierwszego słowa albo, lepiej powiedziawszy, pierwszego krzyku wyższej władzy.

Ten krzyk niezwłocznie nastąpił; począwszy od drugiego słowa major wrzasnął na całe gardło, tym razem nawet z jakimś piskiem: strasznie był rozwścieczony. Widzieliśmy z okien, jak biegał przed frontem, rzucał się, dopytywał. Jednak jego pytań, zarówno jak i odpowiedzi aresztantów, z powodu oddalenia nie mogliśmy słyszeć. Dosłyszeliśmy tylko, jak piskliwie krzyczał:

— Buntownicy!... Przez strój!... *Zaczynszczyki!*¹⁵⁶! *Ty zaczynszczyk!* *Ty zaczynszczyk!* — rzucał się do kogoś.

¹⁵³*Je bais ces brigands* (fr.) — nienawidzę tych bandytów. [przypis edytorski]

¹⁵⁴*sotnia* (ros.) — setka czegoś; oddział wojskowy złożony pierwotnie ze stu ludzi. [przypis edytorski]

¹⁵⁵*raspiekancja* (ros. pot.) — surowa nagana. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*zaczynszczyk* (ros.) — podżegacz. [przypis edytorski]

Odpowiedzi nie było słycać. Ale po chwili ujrzeliśmy, jak jeden aresztant wyszedł z szeregów i udał się do kordegardy. Znow po chwili ruszył za pierwszym drugi, potem trzeci.

— Wszystkich pod sąd! Ja was! A tam kto w kuchni? — wrzasnął, zobaczywszy nas w otwartych okienkach. — Wszystkich tutaj! Spędzić ich tu zaraz!

Pisarz Diatłow ruszył do nas, do kuchni. W kuchni powiedziano mu, że tu nie mają pretensji. Niezwłocznie wrócił do majora i doniósł mu o tym.

— A, nie mają! — przemówił o dwa tony niżej, widocznie uradowany. — Wszystko jedno, wszystkich tutaj!

Wyszliśmy. Czulem, że jakoś nam wstyd wychodzić. Wszyscy też szli jakby ze zwieszoną głową.

— A, Prokofjew! Jelkin także, a to ty Almazow... Stawajcie, stawajcie tutaj, w kupie — mówił do nas major spiesznym, ale miękkim głosem, łaskawie spoglądając na nas. — M-ki, ty także tutaj... Diatłow! Natychmiast spisać wszystkich niemających pretensji osobno, niezadowolonych osobno, wszystkich, co do jednego, a bumagę¹⁵⁷ do mnie. Ja wszystkich was podam... pod sąd! Ja was, łotry!

„Bumaga” wywarła wrażenie.

— My zadowoleni! — ponuro odezwał się głos jakiś z tłumu niezadowolonych, ale jakoś nie bardzo stanowczo.

— A, zadowoleni? Kto zadowolony? Kto zadowolony, niech wychodzi.

— Zadowoleni, zadowoleni — przyłączyło się kilka głosów.

— Zadowoleni! A więc to znaczy, że was podburzali? To znaczy, że byli podżegacze, *buntowszczyki*? Tym gorzej dla nich!

— Panie Boże, cóż to takiego! — rozległ się jakiś głos w tłumie.

— Kto, kto to krzyknął, kto? — zaryczał major — rzucając się w tę stronę, skąd dał się słyszeć głos. — To ty, Rastorgujew, tyś krzyknął? Do kordegardy!

Rastorgujew, otyły i wysoki parobczak, wyszedł z tłumu i powoli powlókł się do kordegardy. Nie on krzyknął bynajmniej, ale ponieważ na niego wskazano, więc nie przeczył.

— Z sadła się wściekacie! — zawył w ślad za nim major. — Widzisz go, tłusta mord! Ja was tu wszystkich wyszukam! Wychodzić zadowoleni!

— Zadowoleni, *wasze wysokoblągorodie!* — posepnie odezwało się kilkadziesiąt głosów; reszta uporczywie milczała. Ale majorowi tylko tego potrzeba było. Dla niego samego, widocznie, najwygodniej było zakończyć sprawę jak najprędzej i zakończyć jaką taką zgodą.

— A, teraz wszyscy zadowoleni! — odezwał się śpiesznie. — Ja to wiedziałem... To *zaczynszczyki!* Między nimi widocznie są *zaczynszczyki!* — ciągnął dalej, zwracając się do Diatłowa. — Trzeba to szczegółowo zbadać. A teraz... teraz czas na robotę. Bij w bęben!

Sam był obecny przy rozprowadzaniu partii. Aresztanci w posepnym milczeniu rozchodzili się na roboty, radzi przynajmniej z tego, że mieli prędzej z oczu zejść. Ale zaraz po odejściu aresztantów major udał się do kordegardy i rozprawił się z „zaczynszczykami”, nie bardzo zresztą srogo. Śpieszył się nawet. Mówiono mi potem, że jeden z nich prosił o przebaczenie, i major natychmiast mu przebaczył. Widać było, że major nie czuje się zupełnie spokojny i że może nawet stchórzył. Pretensja jest to w każdym razie rzecz drażliwa, a choć skarga aresztantów właściwie nie mogła być nazwana pretensją, bo przedstawiano ją nie wyższej władzy, ale samemu majorowi, jednak było to jakoś nieładnie. Szczególnie uderzało to, że wszyscy gromadnie powstali. Trzeba było w jakikolwiek sposób zatrzeć sprawę. Mniemanych podżegaczy wkrótce wypuszczono.

Od następnego dnia żywność się polepszyła, choć zresztą nie na długo. Major w pierwszych dniach potem częściej zaczął nawiedzać ostróg i częściej znajdował nieporządk. Nasz podoficer chodził zasmucony i zbity z tropu, zdawało się, że wciąż nie może otrząsnąć się z zaskoczenia. Co się tyczy aresztantów, to jeszcze długo potem nie mogli się uspokoić, ale już nie burzyli się jak dawniej, tylko w ich milczeniu widać było jakieś zaniepokojenie i troskę. Niektórzy zwiesili głowy, inni smutnie i niechętnie odzywali się o całej tej sprawie. Było wielu takich, którzy z pewnym rozjątrzeniem wyśmiewali się z siebie samych, jakby chcąc się ukarać za pretensję.

¹⁵⁷*bumaga* (z ros.) — papier. [przypis edytorski]

— Na, weź, bracie, i pokosztuj! — odzywa się jeden.
— Gdzie ta mysz, co by kotowi dzwonek przywiązała? — robi uwagę inny.
— Naszego brata bez dębiny nie przekonasz, to wiadomo. Dobrze jeszcze, że nie wszystkich wysiekl.

— A ty na drugi raz więcej znaj, a mniej paplaj, to lepiej będzie! — gniewnie ktoś strofuje.

— Skądże ty uczysz, nauczycielu?

— Wiadoma rzecz, uczę rozumu.

— A ktoś ty taki, żeś tak wyskoczył?

— Ja, chwała Bogu, jeszcze dotychczas człowiek, ale ty kto jesteś?

— Ogryzek sobaczy, oto kto ty jesteś.

— Toś ty sam.

— No, no, dosyć tego! Rozindyczyli się! — krzyczano ze wszystkich stron na kłócących się.

Tego dnia, w którym była pretensja, wieczorem, powróciwszy z roboty, spotkałem się za kazarmami z Pietrowem. On mnie już szukał. Podszedłszy do mnie, mruknął coś pod nosem, coś w rodzaju paru nieokreślonych wykrzykników, a potem zamilkł jakby roztargniony i zaczął machinalnie iść obok mnie.

Cała ta sprawa bardzo mi leżała na sercu i zdawało mi się, że Pietrow może mi ją nieco rozjaśnić.

— Powiedźcie, Pietrow — spytałem go — czy wasi na nas nie gniewają się?

— Kto gniewa się? — zapytał, jakby ocknąwszy się.

— Aresztanci na nas... na szlachtę.

— A za co się na was gniewać?

— No, za to, żeśmy nie wyszli z pretensją.

— A wam po co występować z pretensją? — spytał, jak gdyby siląc się mnie zrozumieć. — Przecież wy macie swoją żywność.

— Ach, mój Boże. Przecież i między wami są tacy, co jedzą swoje, a jednak wyszli. Więc i nam należało... jako towarzyszom.

— Czyż wy nam towarzyszyć? — zapytał Pietrow zdziwiony.

Spojrzałem co prędzej na niego: stanowczo mnie nie rozumiał, nie pojmował, czego chcę. Ale ja za to pojąłem go w tej chwili doskonale. Teraz po raz pierwszy rozjaśniła mi się ostatecznie myśl, która już od dawna niejasno przemykała mi po głowie i prześladowała mnie, i nagle pojąłem to, czego dotychczas niepewnie się domyślałem. Zrozumiałem, że mnie nigdy nie uznają za towarzysza, choćbym był aresztantem na wieki skazanym na katorgę, choćbym należał do osobnego oddziału. Szczególnie utkwiała mi w pamięci postać Pietrowa w chwili, kiedy mnie pytał: „Cóż wy nam za towarzysz?”. W tym pytaniu słyhać było doskonałą naiwność, najszczerze zadziwienie. Myślałem, czy nie ma w tych słowach jakiejś ironii, złości, szyderstwa? Nic tam tego nie było, ani trochę: po prostu nie towarzyszy, i koniec. Ty idź swoją drogą, a my swoją; ty masz swoje sprawy, a my swoje.

I rzeczywiście myślałem, że po pretensji oni nas po prostu zagryzą i żyć nam nie dadzą. Ale bynajmniej tak nie było, nie usłyszeliśmy najmniejszego wyrzutu, najmniejszej wzmianki w tym kierunku, niechęć ku nam ani trochę nie wzrosła. Tak samo, jak przedtem, tak i teraz, dogryzano nam po trosze przy sposobności i nic więcej. Zresztą aresztanci nie gniewali się i na wszystkich innych, którzy nie chcieli należeć do pretensji i pozostali w kuchni, zarówno jak i na tych, którzy pierwsi krzyknęli, że są ze wszystkiego kontenci. Nikt o tym nawet nie wspomniał i tego szczególnie nie mogłem zrozumieć.

XIII. TOWARZYSZE

Mnie naturalnie najwięcej ciągnęło do swoich, to jest do „szlachty”, szczególnie w początkach. Ale z trzech Rosjan szlachty, którzy byli u nas w ostrogu (Akima Akimycza, szpiega A-wa i tego, którego uważano niesłusznie za ojcobójcę), znałem się i rozmawiałem tylko z Akimem Akimyczem. Muszę się przyznać, że podchodziłem do Akima Akimycza, że tak powiem, z rozpacz, w chwilach najgorszej nudy, kiedy już nie było sposobności z kimś innym porozmawiać. Była to pod pewnym względem wyjątkowa postać w katordze, mianowicie zdawało się, że jemu jednemu z całej katorgi wszystko jedno, czy żyje w więzieniu,

czy na swobodzie. On się nawet urządził w ostrogu tak, jak gdyby się wybierał całe życie tam przepędzić: wszystko wokół niego, poczynając od materaca, poduszek, naczyń, rozłożone było tak porządnie, tak mocno było ustawione i na tak długo! Nic biwakowego, przejściowego, nie było w nim tego ani śladu. Wprawdzie wiele jeszcze lat wypadło mu przeżyć w ostrogu, ale bodaj czy kiedykolwiek pomyślał o wyjściu stamtąd. Ale czy jeśli pogodził się z rzeczywistością, to oczywiście nie z ochoty, tylko wskutek subordynacji, co zresztą dla niego znaczyło to samo. Był to dobry człowiek i nawet z początku pomagał mi radą, świadczył pewne usługi, ale niekiedy, wyznając, napędzał mi niesłychanej nudy, która jeszcze zwiększała ciężar gniotący mi duszę. A ja z nudów nawiązywałem z nim rozmowę. Pragnę, bywało, jakiegokolwiek żywego słowa, choćby żółciowego, niecierpliwego, chociażby jakiegoś gniewu: przynajmniej razem nakłębilibyśmy na nasze losy. A on milczy, klei swoje latarki albo opowie o tym, jaka to u nich była rewia w takim to roku, i kto był naczelnikiem dywizji, jak go zwano po imieniu i *otczestwu*¹⁵⁸, czy zadowolony był z przeglądu wojska, czy nie, jak strzelcom zmieniono sygnały itd. I wszystko to opowiedziane równym, statecznym głosem, rzekłbyś, woda spada kropla po kropli. Nie zapalał się nawet wtedy, gdy opowiadał mi, jak za udział w pewnej sprawie wojennej na Kaukazie zaszczycony został „świętą Anną”¹⁵⁹ na szpadzie. Tylko głos jego w tej chwili stawał się niezwykle poważny i uroczysty; obniżał się nawet do pewnej tajemniczości przy wymawianiu „świętej Anny”, i przez parę minut następnych. Akim Akimycz stawał się szczególnie poważny i milczący...

Bywały chwile w tym pierwszym roku (i zawsze nagle to przychodziło), kiedy zaczynałem prawie nienawidzić Akima Akimycza i w milczeniu przeklinałem los, który mnie umieścił razem z nim na narach, głowa przy głowie. Zwykle po godzinie już się za to strofowałem. Ale tak było tylko w pierwszym roku; potem się zupełnie pogodziłem w duszy z Akimem Akimyczem i wstydzilem się przeszłych głupstw. Na zewnątrz zaś, o ile pamiętam, nigdyśmy się ze sobą nie kłócili.

Oprócz tych trzech Rosjan, innych ze stanu szlacheckiego przebywało w moich czasach w ostrogu ośmiu ludzi¹⁶⁰. Z niektórymi z nich zawarłem ścisłą, a nawet przyjemną znajomość, ale nie ze wszystkimi. Najlepsi z nich byli to ludzie chorobliwie nastroszeni, odosobniający się i w najwyższym stopniu nietolerancyjni. Z dwoma przestałem potem rozmawiać. Ludzi wykształconych było wśród nich trzech tylko: B-ki, M-ki i starzec Ż-ki, który był niegdyś profesorem matematyki — starzec dobry, zacny, wielki dziwak i pomimo wykształcenia bardzo, jak mi się zdaje, ograniczony człowiek. Zupełnie inni byli M-ki i B-ki. Z M-kim od razu zawarłem ścisłą znajomość; nigdy się z nim nie kłóciłem, szanowałem go, ale pokochać go, przywiązać się do niego nigdy nie mogłem. Był to człowiek głęboko niedowierzający i rozdrażniony, ale umiejący doskonale panować nad sobą. Otóż ta zbyt wielka umiejętność panowania nad sobą nie podobała mi się w nim; można było odgadnąć, że ten człowiek nigdy i przed nikim całej swej duszy nie otworzy. Być może zresztą, że się mylę. Była to natura silna i w wysokim stopniu szlachetna. Nadzwyczajna, poniekąd nawet jezuicka¹⁶¹ zręczność i ostrożność w obęjściu z ludźmi zdradzała w nim głęboki, utajony sceptycyzm. A jednak była to dusza cierpiąca właśnie wskutek owej dwoistości: sceptycyzmu i głębokiej, niczym niezachwianej wiary w pewne swoje ideały i ich ziszczenie. Pomimo jednak całej swej zręczności towarzyskiej żył w zaciętej nieprzyjaźni z B-kim i jego przyjacielem T-kim. B-ki był chorowity, trochę skłonny do suchot, nerwowy i drażliwy, ale w gruncie rzeczy najlepszy człowiek, nawet wspaniałomyślny. Rozdrażnienie doprowadzało go niekiedy do nadzwyczajnej nietolerancji i kaprysów. Nie mogłem tego znosić i później rozstałem się z B-kim, alem go

¹⁵⁸*otczestwo* (ros.) — imię ojcowskie, w języku rosyjskim umieszczane pomiędzy imieniem a nazwiskiem, np. Iwan Aleksandrowicz (tj. syn Aleksandra) Chlestakow; używane razem z imieniem przy zwracaniu się z szacunkiem do innej osoby lub mówieniu o niej, np. „Iwanie Aleksandrowiczu”. [przypis edytorski]

¹⁵⁹*Order Świętej Anny* — order carski przyznawany w Imperium Rosyjskim; od 1831 na przedostatnim miejscu w hierarchii orderowej; dzielił się na cztery klasy. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*Oprócz tych trzech Rosjan, innych ze stanu szlacheckiego przebywało w moich czasach w ostrogu ośmiu ludzi* — Jak widać z różnych wskazówek rozrzuconych po wspomnieniach, autor mówi tu o Polakach. Patrz uwagę przy końcu rozdziału. [przypis tłumacza]

¹⁶¹*jezuicki* — właściwy jezuitom, taki jak u nich; *jezuici*: męski zakon katolicki, istniejący, aby bronić Kościoła katolickiego przed reformacją; jezuitom przypisywano zakłamanie, przewrotność i bezwzględność, stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

nigdy nie przestawał kochać; a z M-kim nie kłóciłem się, alem go nigdy nie polubił. Tak się zdarzyło, że zerwawszy stosunki z B-kim, natychmiast musiałem zerwać znajomość i z T-kim, z tym samym młodzieńcem, o którym wspominałem w poprzednim rozdziale, mówiąc o naszej pretensji. Bardzo mi to było przykro. T-ski, chociaż bez wyższego wykształcenia, był dobrym, mężnym, krótko mówiąc, dzielnym młodzieńcem. Przyczyną zerwania było to, że on tak kochał i czcił B-skiego, że tych wszystkich, którzy choć cokolwiek stronili od B-kiego, poczytywał prawie za swoich wrogów. Nawet z M-ckim, zdaje się, że poróżnił się potem z powodu B-kiego, choć długo starał się wytrwać w dobrym stosunku. Wszyscy oni zresztą byli moralnie cierpiący, żółciowi, rozdrażnieni, niedowierzający. Rzecz to łatwa do zrozumienia: było im bardzo ciężko, daleko ciężej niż nam. Byli daleko od ojczyznoego kraju; niektórzy z nich przysłani na długie lata katorgi, na lat dziesięć, dwanaście, a co najważniejsze, z głębokim uprzedzeniem patrzali na swoje otoczenie, widzieli w katorżnikach tylko zwierzęcość i nie mogli, nie chcieli w nich dojrzeć ani jednego dobrego rysu, nic ludzkiego. Ale i to rzecz zrozumiała: na to stanowisko los ich wprowadził, siłą okoliczności. Rzecz jasna, że gniołła ich tęsknota. Dla Czerkiesów, Tatarów, dla Żyda byli łaskawi i uprzejmi, ale ze wstrętem unikali reszty katorżników. Tylko jeden starodubowski starowiec zasłużył sobie na ich pełny szacunek. Rzecz zresztą godna uwagi, że nikt z katorżników przez cały czas mego przebywania w ostrogu nie wytykał im ani ich pochodzenia, ani sposobu myślenia, co się zdarza u naszego prostego ludu w stosunku do cudzoziemców, szczególnie Niemców, choć bardzo rzadko. Zresztą, co się tyczy Niemców, to się z nich tylko śmieją; Niemiec dla rosyjskiego społeczeństwa przedstawia się jako coś niezmiernie komicznego. Z naszymi zaś Polakami katorżnicy obchodzili się nawet z szacunkiem, daleko lepiej niż z nami ze szlachty rosyjskiej i wcale ich nie zaczepiali. Ale ci, jak się zdaje, nie chcieli nawet tego widzieć i brać pod uwagę.

Niemiec

Zacząłem mówić o T-wskim. To on, kiedy ich przeprowadzano z pierwszego miejsca wygnania do naszej fortecy, dźwigał na swych barkach B-kiego niemal przez całą drogę, jak tylko B., chory i słabowity, ustawał w pólętapu. Posłani byli naprzód do U-gorska¹⁶². Tam, powiadali, było im dobrze, to jest daleko lepiej niż w naszej fortecy. Ale przychwycono ich korespondencję, zupełnie zresztą niewinną, z innymi skazańcami w innym mieście i z tego powodu uznano za rzecz konieczną wysłać ich do naszej fortecy, bliżej pod oczy wyższej władzy. Trzecim towarzyszem był Ż-ki. Do czasu ich przybycia M-cki był sam jeden w ostrogu. Toż to musiał tęsknić w pierwszym roku swej katorgi!

Ten Ż-ki był to ów wiecznie modlący się Polak, o którym już wspominałem. Wszyscy nasi przestępcy polityczni byli to ludzie młodzi, niektórzy nawet bardzo; jeden Ż-ki miał już lat przeszło pięćdziesiąt. Był to człowiek, naturalnie, uczciwy, ale nieco dziwaczny. Towarzysze jego, B-ki i T-ki, bardzo go nie lubili, nawet nie rozmawiali z nim, utrzymując, że jest uparty i głupi. Nie wiem, ile prawdy było w ich twierdzeniu. W ostrogu, tak jak i wszędzie, gdzie ludzie gromadzą się nie z własnej ochoty, ale przymusowo, łatwiej, zdaje mi się, można pokłócić się a nawet wzajemnie zniechęcić niż w życiu wolnym. Wiele okoliczności pobudza do tego. Zresztą Ż-ki był rzeczywiście dość tępego umysłu i może nieprzyjemny. Wszyscy jego towarzysze nie żyli z nim w harmonii. Ja z nim się nigdy nie sprzeczałem, ale szczególnego zbliżenia między nami nie było. Swój przedmiot, matematykę, zdaje się, że znał. Pamiętam, jak silił się w łamanym języku rosyjskim objaśnić mi jakiś szczególny, przez siebie wymyślony system astronomiczny. Mówiono mi, że on to kiedyś wydrukował, ale w uczonym świecie pośmiano się tylko z niego. Całymi dniami modlił się na klęczkach, czym zjednał sobie ogólny szacunek katorgi i cieszył się nim do samej śmierci. Umarł w naszym szpitalu po ciężkiej chorobie, na moich oczach. Zresztą szacunek katorżników pozyskał przy samym wstąpieniu do ostroga, wskutek historii, którą miał w naszym majorem. W drodze z Ugorska do naszej fortecy nie gołono ich i tak obrośli, że kiedy ich przyprowadzono wprost do plac-majora, ten wpadł we wściekły gniew z powodu takiego naruszenia subordynacji, co zresztą nie było ani trochę ich winą.

Zesłaniec

— Jak oni wyglądają! — zaryczał. — To *brodiagi* (włóczędzy), rozbójnicy!

Ż-ki, który wtedy jeszcze niedobrze rozumiał rosyjską mowę i sądził, że ich pytają, kim oni są, włóczędzy czy rozbójnicy, odpowiedział:

¹⁶²U-gorsk — Ust-Kamienogorsk, miasto w Azji, nad rzeką Irtysz. [przypis edytorski]

— My nie *brodiagi*, ale polityczni przestępcy.

— Ja-a-k? Zuchwałstwo? Zuchwały! — zaryczał major. — Do kordegardy! Sto różeg natychmiast, w tej chwili!

Starca ukarano. Położył się pod różgi bez oporu, wsadził rękę między szczęki i wytrzymał karę bez najmniejszego krzyku lub jęku, ani drgnąwszy. Tymczasem B-ski i T-ski już weszli do ostrogu, gdzie M-cki oczekiwał ich u bramy i rzucił się im na szyję, choć przedtem nigdy ich nie widział. Oburzeni przyjęciem ze strony majora, opowiedzieli zaraz M-ckiemu, co się stało z Ż-kim. Pamiętam, jak M-cki powiadał mi o tym: „Traciłem przytomność — mówił — nie pojmowałem, co się ze mną dzieje i trząsałem się jak w febrze. Stanąwszy u bramy, czekałem na Ż-kiego, który miał przyjść wprost z kordegardy, gdzie go karano. Nagle otworzyła się furtka: Ż-ki, nie patrząc na nikogo, z bladą twarzą i bladymi, drżącymi wargami przeszedł przez tłum zgromadzonych na dziedzińcu katorżników, którzy już wiedzieli, że biją szlachcica, poszedł do kazarmy, wprost do miejsca dla siebie przeznaczonego i nie rzekłszy ani słowa, ukląkł i zaczął się modlić”. Katorżnicy byli zdziwieni, a nawet rozczuleni. „Kiedym zobaczył tego siwego starca — mówił M-ki — który zostawił w ojczyźnie żonę i dzieci, kiedym go zobaczył na klęczkach, haniebnie ukaranego i modlącego się, rzuciłem się za kazarmy i przez całe dwie godziny byłem jak nieprzytomny; szła mnie ogarniać”... Od tej chwili katorżnicy zaczęli bardzo poważać Ż-kiego i okazywali mu zawsze szacunek. Podobało się im szczególnie to, że nie krzyczał pod różgami.

Trzeba jednakże powiedzieć całą prawdę: z tego przykładu nie można sądzić w ogóle o obchodzeniu się władz w Syberii z zesłaną szlachtą, ktokolwiek by byli ci zesłani, Rosjanie czy Polacy. Ten przykład pokazuje tylko, że można natknąć się na złego człowieka i naturalnie jeżeli ten zły człowiek będzie gdzieś niezależnym, starszym komendantem, to dola zesłanego, szczególnie w razie gdyby się nie podobał komendantowi, będzie bardzo źle zabezpieczona. Ale należy przyznać, że najwyższa władza na Syberii, od której zależy ton i nastrój wszystkich komendantów, była dla szlachty zesłanej bardzo względna; niekiedy nawet — w porównaniu z innymi katorżnymi z prostego ludu — skłonna do pobłażania. Przyczyny bardzo zrozumiałe: naprzód ci wyżsi naczelnicy sami są szlachtą, po wtóre zdarzało się jeszcze dawniej, że niektórzy ze szlachty nie kładli się pod różgi i rzucali się na wykonawców, z czego wynikały straszne rzeczy; a po trzecie, i to jak mi się zdaje przyczyna główna, już dawno, trzydzieści pięć lat temu, zjawilo się na Syberii naraz mnóstwo zesłanej szlachty¹⁶³ i ci zesłani w ciągu trzydziestu lat umieli się tak postawić i zarekomendować w całej Syberii, że władza w moich czasach już wskutek dawnego, tradycyjnego zwyczaju, mimo woli innymi oczami patrzyła na szlachtę, przestępców wiadomej kategorii, niż na wszystkich innych zesłanych. Za wyższą władzą idąc, i niżsi komendanci przyzwyczaili się patrzeć na to takimi samymi oczami, rozumie się, przejmując ten pogląd i ton z góry, poddając się mu. Zresztą było wielu niższych komendantów ograniczonego umysłu, którzy krytykowali w duchu rozporządzenia wyższej władzy i bardzo, bardzo byliby radzi, gdyby im nikt nie przeszkadzał rządzić się po swojemu. Ale im niezupełnie na to pozwalano. Oto dlaczego jestem pewny, że tak było. Druga kategoria katogi, w której się znajdowałem, a która składała się z chłopskich aresztantów pod wodzą wojskową, była nierównie cięższa od dwu innych kategorii: trzeciej (w fabrykach) i pierwszej (w kolumnach). Cięższa była nie tylko dla szlachty, ale i dla wszystkich aresztantów, mianowicie dlatego, że władza ta była wojskowa i całe urządzenie wojskowe, bardzo podobne do aresztanckich rot w Rosji. Władza wojskowa surowsza, przepisy ściślejsze, zawsze w łańcuchach, zawsze pod konwojem, zawsze pod kluczem; a tego nie ma w tym stopniu w wielu innych kategoriach. Tak przynajmniej mówili wszyscy nasi aresztanci, a byli między nimi znawcy nie lada. Wszyscy oni z radością przeszliby do pierwszej kategorii, która w ustawach uważana była za najcięższą, i nawet często o tym roili. Przeciwnie, o aresztanckich rotach wszyscy nasi, którzy tam byli, mówili z przestrachem i zapewniali, że w całej Rosji nie ma gorszego miejsca od robót aresztanckich po fortecach i że w Syberii raj w porównaniu z tamtym życiem. Jeżeli zatem przy tak surowej dyscyplinie, jaka była w naszym ostrogu, przy władzy wojskowej, na oczach sa-

¹⁶³trzydzieści pięć lat temu, zjawilo się na Syberii naraz mnóstwo zesłanej szlachty — autor po raz pierwszy drukował *Wspomnienia* w r. 1861; 35 lat przedtem był rok 1826, w którym zesłano wielu dekabrystów do Syberii. [przypis tłumacza]

mego generał-gubernatora, na koniec wobec tej okoliczności, że niektóre postronne, ale urzędowe indywidua, czy to przez złość, czy ze służbowej gorliwości, gotowe były potajemnie donieść, dokąd należało, że takiej to kategorii przestępców tacy to niedobrze myślący komendanci pobłażają — jeżeli mówię, w takim miejscu na przestępców-szlachtę patrzano nieco innymi oczami niż na innych aresztantów, to tym względniej traktować ich musiano w pierwszej i trzeciej kategorii. Tak więc myślę, że z tego miejsca, gdzie sam byłem, mogę wnosić o całą Syberii pod tym względem. Wszystkie wieści i opowiadania, które mnie dochodziły od zesłanych pierwszej i trzeciej kategorii, potwierdzały ten mój wniosek. W rzeczy samej na wszystkich nas szlachtę w naszym ostrogu władza spoglądała uważniej, była z nami ostrożniejsza. Pobłażania pod względem roboty i utrzymania stanowczo nie było wcale; te same roboty, też kajdany, też zamki, jednym słowem to samo, co u wszystkich aresztantów. A nawet niełatwo było dać ulgę. Wiem, że w tym mieście w niedawnej przeszłości tyłu było donosicieli, tyle intryg, tylu kąpiących pod sobą wzajem doły, że władza naturalnie bała się donosów. A jakież straszniejszy mógł być w owych czasach donos nad ten, że łagodnie traktują wiadomej kategorii przestępców¹⁶⁴! Więc każdy lękał się i myśmy mieli życie takie, jak wszyscy katorżni, tylko pod względem kary cielesnej było trochę inaczej. Prawda, bardzo łatwo by nas oćwiczyli, gdybyśmy na to zasłużyli, to jest popełnili jakieś przestępstwo w ostrogu. Tego wymagał obowiązek służby i równość wobec kary cielesnej. Ale tak, bez ważnego powodu, lekkomyślnie by nas nie obili, a z prostymi aresztantami i tego rodzaju lekkomyślne postępowanie trafiało się, szczególnie ze strony niektórych podrzędnych naczelników, ochoczych do szerzenia postrachu przy każdej sposobności. Wiadomo nam było, że komendant, dowiedziawszy się o historii ze starym Ż-kim, bardzo się oburzył na majora i nakazał mu na przyszłość trzymać krócej ręce. Tak mi wszyscy opowiadali. Wiedziano też u nas, że sam generał-gubernator, który ufał naszemu majorowi i po części go lubił jako wykonawcę i człowieka z pewnymi zdolnościami, dowiedziawszy się o tej historii, robił mu także wymówki. I nasz major przyjął to do wiadomości. Chciało mu się, na przykład, dobrać się do M-kiego, którego nienawidził wskutek podszeptów A-wa, a jednak choć szukał pretekstu, choć go prześladował i prowokował, nie mógł go obić.

O nieszczęściu Ż-kiego wkrótce dowiedziało się całe miasto i opinia publiczna oświadczyła się przeciw majorowi; wielu robiło mu wymówki, niektórzy w sposób nieprzyjemny. Nas, to jest mnie i drugiego jeszcze zesłanego szlachcica, z którym razem wstąpiłem do katorgi, jeszcze w Tobolsku nastraszone opowiadania o nieprzyjemnym charakterze tego człowieka. Zesłańcy sprzed dwudziestu pięciu lat (dekabryści¹⁶⁵), którzy nas tu spotkali z głębokim współczuciem i przez cały czas naszego zatrzymania się w Tobolsku mieli z nami stosunki, ostrzegali nas przed przyszłym naszym komendantem i obiecali zrobić wszystko, co mogą, przez ludzi znajomych, aby nas ochronić od jego prześladowania. W istocie trzy córki generał-gubernatora, które przyjechały z Rosji i gościły wówczas u ojca, otrzymały od nich listy i wstawiły się, zdaje się, za nami. Ale cóż on mógł zrobić? Powiedział tylko majorowi, aby był cokolwiek oględniejszy.

O godzinie trzeciej po południu ja i mój towarzysz przybyliśmy do tego miasta (Omska) i konwojowi natychmiast poprowadzili nas do naszego władcy. Staliśmy w przedpokoju, oczekując go, a tymczasem posłano po więziennego podoficera. Gdy się ten zjawił, wyszedł i plac-major. Jego nalana krwią, opryszczona i gniewna twarz wywarła na nas przygniatające wrażenie: istny pajak, podbiegający ku biednej musze, która się dostała w jego pajęczynę.

— Jak się nazywasz? — zapytał mego towarzysza. Mówił prędko, dobitnie, urywanym głosem i widocznie chciał wyrzucić na nas efekt.

— Tak a tak.

— A ty? — ciągnął, zwracając się ku mnie i wymierzając na mnie swoje okulary.

— Tak a tak.

— Podoficer! Natychmiast wziąć ich do ostrogu, ogolić w kordegardzie po cywilnemu, niezwłocznie, pół głowy; jutro też zaraz przekuć kajdany. A to co za szynele? Skąd dostali? — spytał nagle, zwróciwszy uwagę na szare kapoty z żółtymi krągłymi naszyw-

¹⁶⁴wiadomej kategorii przestępców — to jest politycznych. [przypis tłumacza]

¹⁶⁵dekabryści — grupa rosyjskich rewolucjonistów szlacheckich, którzy wznieśli nieudane antycarskie powstanie 26 grudnia 1825. [przypis edytorski]

kami na plecach, które wydano nam w Tobolsku i w których stanęliśmy przed jego majestatem. — To nowa forma! To pewno jakaś nowa forma... Nowe jakieś projekty... z Petersburga — mówił, obracając nas po kolei.

— Czy mają coś ze sobą? — spytał nagle żandarma, który nas przyprowadził.

— Mają własną odzież, wasze wysokobłagorodie — odpowiedział żandarm, wyprostowawszy się w jednej chwili, nawet z pewnym drgnięciem. Wszyscy go znali, wszyscy o nim słyszeli i bali się go.

— Wszystko odebrać. Oddać im tylko bieliznę, i to tylko białą; kolorową, jeżeli jest, odebrać. Wszystko poza tym sprzedać na licytacji. Pieniądze zapisać do przychodu. Aresztant nie ma własności — mówił dalej, surowo popatrzawszy na nas. — Pamiętajcie dobrze się prowadzić! Żeby nie slyszal! Jeżeli nie... ka-ra cie-les-na! Za najmniejsze wykroczenie — r-r-ózy!

Nieprzywykły do takich przyjęć, przez cały ten wieczór byłem prawie chory. Wrażenie tego przyjęcia wzmogło się jeszcze wskutek tego, co ujrzałem w ostrogu; ale o pierwszym wejściu moim do ostrogu już opowiadałem.

Tylko co powiedziałem, że nam nie śmiano pobłażać i nie pobłażano, żeśmy w porównaniu z innymi aresztantami nie mieli żadnej ulgi w pracy. Raz jednak próbowano to uczynić: ja i B-ki (Polak) przez całe trzy miesiące chodziliśmy do kancelarii inżynierów w charakterze pisarzy. Ale zrobiono to cichaczem i zrobiła to władza inżynierska. Naturalnie, wszyscy inni, do których należało wiedzieć, wiedzieli zapewne o tym, ale udawali, że nie wiedzą. Działo się to jeszcze przy komendancie G-wie. Podpułkownik G-kow spadł nam jak z nieba, był u nas bardzo niedługo, jeżeli się nie mylę, nie więcej jak pół roku, a nawet jeszcze mniej, i odjechał do Rosji, wywarłszy nadzwyczajne wrażenie na wszystkich aresztantach. Mało powiedzieć, że go aresztanci lubili, oni go ubóstwiali, jeżeli można użyć tu tego wyrazu. Nie wiem, w jaki sposób tego dokonał, ale wiem, że podbił sobie ich serca od razu. „Prawdziwy ojciec, ojciec nie będzie lepszy!” — powtarzali co chwila przez cały czas, kiedy zarządzał oddziałem inżynierii. Hulaka, zdaje się, był straszliwy. Niewielkiego wzrostu, z zuchwałym, pewnym siebie spojrzeniem, z aresztantami był łaskawy, dochodził niemal do czułości i rzeczywiście lubił ich jak ojciec. Dlaczego tak lubił aresztantów, nie umiem tego objaśnić, ale wiem, że nie mógł spotkać się z aresztantem, ażeby mu nie powiedzieć łaskawego, wesołego słowa, nie pośmiać się z nim, nie pożartować, a nie było w tym ani odrobiny traktowania z góry, nic, co by wyglądało na łaskawość zwierzchnika. Umiał być z nimi jak towarzysz, jak człowiek równy. Pomimo jednak całego tego jego instynktownego demokratyzmu, aresztanci ani razu nie pozwolili sobie na jakąś poufalość, na brak szacunku wobec niego. Przeciwnie. Tylko twarz aresztanta rozkwitała, gdy spotykał się z komendantem i zdjawszy czapkę, patrzył już z uśmiechem na podchodzącego ku sobie naczelnika. A gdy ten przemówi — jak gdyby rublem obdarzył. Zdarzają się tacy popularni ludzie. Wyglądał na zucha, chodził prosto, żwawo. „Orzeł!” — mówili o nim aresztanci. Ulżyć im losu, naturalnie, nie mógł, zawiadywał tylko robotami inżynierskimi, które i przy wszystkich innych komendantach szły swoim zwyczajnym, legalnym porządkiem. Tyle tylko że, bywało, spotkawszy przypadkiem partię na robocie, a widząc, że robota skończona, nie trzymał jej niepotrzebnie i puszczał przed uderzeniem w bęben. Ale podobała się jego ufność ku aresztantom, brak drobiazgowej drażliwości, zupełny brak form obrażających, zwykłych w stosunkach z podwładnymi. Myślę, że gdyby zgubił tysiąc rubli, a najpierwszy z naszych złodziei je znalazł, to byłby mu je odniósł. Mam głębokie przekonanie, że tak by się stało.

Z jak wielkim współczuciem dowiedzieli się aresztanci, że ich orzeł-komendant pokłócił się na śmierć z naszym nienawistnym majorem. Stało się to zaraz pierwszego miesiąca po jego przybyciu. Nasz major służył kiedyś razem z nim. Spotkali się po długim niewidzeniu jak przyjaciele i zahulali razem. Ale nagle nastąpiło zerwanie i G-w stał się śmiertelnym wrogiem majora. Mówiono nawet, że pobili się przy tym zerwaniu stosunków, co być mogło, bo major często się bijał. Gdy o tym posłyszeli aresztanci, radości ich nie było końca. „Czy to ośmiokiemu żyć w zgodzie z takim! Ten nasz, a nasz”... i tu zwykle dodawano słówko niestosowne do druku. Ogromnie się interesowali, kto kogo pobił. Gdyby wieść o tej bójce okazała się była nieprawdziwa (co było możliwe), to zdaje mi się, że naszym aresztantom byłoby bardzo przykro. „Nie, to już pewne, że komendant był górą — mówili — on mały, ale chwyt, a tamten, słyhać, schował się przed nim

pod łóżko”. Ale G-kow prędko odjechał i aresztanci zapadli w dawny smutek. Prawda, że nasi naczelnicy inżynierijni wszyscy byli dobrzy: przy mnie zmieniło się ich trzech, czy czterech; „A jednak — mówili aresztanci — nie znajdzie się już takiego; orzeł był, orzeł i obrońca”.

Otóż ten G-kow bardzo lubił wszystkich nas szlachtę i przy końcu kazał mnie i B-kiemu chodzić niekiedy do kancelarii. Po jego odjeździe urządziło się to więcej prawidłowo. Wśród inżynierów byli ludzie (szczególnie jeden), którzy czuli do nas wielką sympatię. Chodziliśmy, przepisywaliśmy papiery, nawet nasze pismo zaczęło się doskonalić, gdy nagle nadszedł od wyższej władzy rozkaz, ażeby nas niezwłocznie odesłać do dawnej pracy: ktoś już zdążył donieść! Zresztą dobrze się stało, bo kancelaria zaczęła się nam bardzo przykrzyć. Przez dwa lata potem prawie nierozłącznie chodziliśmy z B-kim na roboty, najczęściej do warsztatu. Gawędziliśmy ze sobą, rozmawialiśmy o naszych nadziejach, przekonaniach. Dzielnym to był człowiek, ale jego przekonania były niekiedy bardzo dziwne, pełne wyłączości. Bywa to, że u pewnego rodzaju ludzi bardzo rozumnych ustalają się pojęcia wręcz paradoksalne. Ale tyle się za nie wycierpiało, tak wielkim kosztem się je nabyło, że oderwać się od nich zbyt boleśnie, prawie niepodobna. B-ki z bólem przyjmował każdy zarzut z mej strony i zgryźliwie mi odpowiadał. Zresztą w wielu rzeczach być może miał on więcej ode mnie słuszności, nie wiem tego; aleśmy się na koniec rozłączyli i to mnie bardzo bolało: przeżyliśmy już wiele razem.

Kondycja ludzka

Tymczasem M-cki stawał się z biegiem lat coraz smutniejszy i posępniejszy. Smutek go pożerał. W początkach mego pobytu w ostrogu był bardziej towarzyski, dusza jego częściej i więcej objawiała się na zewnątrz. Już trzeci rok żył w katordze, gdy do niej wstępowałem. Z początku zajmowało go bardzo wiele rzeczy, które przez te dwa lata stały się na świecie, a o których on nie miał wyobrażenia, siedząc w ostrogu; rozpytywał mnie, słuchał, oburzał się. Ale pod koniec, z upływem lat, wszystkie uczucia zaczęły się w nim koncentrować wewnątrz, w sercu. Żar pokrywał się popiołem, a nienawiść wciąż rosła. „*Je hais ces brigands*” — powtarzał mi często, z nienawiścią patrząc na katorżników, których ja już zdołałem lepiej poznać, i żadne dowody, które przetaczałem na ich korzyść, nie działały na niego. Nie rozumiał, co mówię; czasami zresztą jakby w roztargnieniu zgadzał się, ale nazajutrz powtarzał znowu: „*Je hais ces brigands*”. Nawiasem dodam, żeśmy często ze sobą rozmawiali po francusku i za to nas pewien dozorca przy robotach, żołnierz inżynierijny Dranisznikow, przezwany felczerami. M-ki ożywał się tylko, mówiąc o swojej matce. „Stara jest — mówił do mnie — chora, kocha mnie nade wszystko na świecie, a ja tu nie wiem nawet, czy żyje. Dość już było dla niej tego, że wiedziała, jak mnie pędzono przez strój”... M-ki nie był szlachcicem i przed zesłaniem ukarano go cieleśnie. Wspominając o tym, zaciskał zęby i starał się patrzeć w bok.

W ostatnich czasach coraz częściej przechadzał się samotnie. Pewnego razu około południa wezwano go do komendanta. Komendant wyszedł do niego z wesołym uśmiechem.

— No, M-cki, co ci się dziś w nocy śniło? — zapytał.

„Aż drgnąłem — opowiadał, wróciwszy do nas M-cki. — Jakby mi coś serce przeszło”.

— Śniło mi się, że list od matki otrzymałem — odpowiedział.

— Lepsze rzeczy, lepsze! — zawołał komendant. — Jesteś wolny! Matka prosiła... prośba jej wysłuchana. Oto jej list, a oto dekret o tobie. Natychmiast wyjdiesz z ostrogu.

Wrócił do nas błądy, jeszcze nie mogąc się opamiętać po otrzymanej wiadomości. Winszowaliśmy mu, a on nam ścisnął ręce swoimi drżącymi, chłodnymi z wrażenia dłońmi. Wielu aresztantów winszowało mu także i byli radzi jego szczęściu.

Wyszedł na posilenie i zamieszkał w naszym mieście. Wkrótce dano mu posadę. Z początku często przychodził do naszego ostrogu i udzielał nam rozmaitych nowin. Przede wszystkim polityczne bardzo go zajmowały.

Z pozostałych czterech, to jest oprócz M-go, T-go, B-go i Z-go, dwaj byli jeszcze bardzo młodymi ludźmi, przysłanymi na krótko. Mało mieli wykształcenia, ale byli zacni, prości, szczerzy. Trzeci, A-czukowski, zanadto był ograniczony i nic w sobie nie miał szczególnego, ale czwarty, B-m, człowiek już starszy, wywierał na nas wszystkich najprzykrzejsze wrażenie. Nie wiem, w jaki sposób dostał się między takich przestępców

(politycznych) i sam on przeczył temu. Była to gruba, małowieszczńska dusza, z narowami i zasadami kramarza, który doszedł szachrajstwem do majątku. Nie miał wcale wykształcenia i nic go nie zajmowało oprócz jego rzemiosła. Był to malarz pokojowy, i to malarz nie lada, wspaniały malarz. Prędko się władza dowiedziała o jego talencie i całe miasto zaczęło wykorzystywać B-ma do malowania ścian i sufitów. W ciągu dwóch lat wymalował wszystkie kwatery rządowe, za co płacili mu mieszkańcy tych kwater i żył dostatnio. Ale najlepszą rzeczą to było, że razem z nim na robotę zaczęto posyłać i jego towarzyszy. Z tych, co ciągle z nim chodzili, dwóch nauczyło się od niego tego rzemiosła i jeden z nich, T-rzewski, zaczął malować niegorzej od B-ma. Nasz plac-major, który także mieszkał w rządowym domu, z kolei wezwał do siebie B-ma i kazał mu wymalować wszystkie ściany i sufity. Tu już się B-m wysadził: nawet u generał-gubernatora nie było ścian tak pięknie wymalowanych. Dom był drewniany, jednopiętrowy, stary i z zewnątrz koślawo wyglądał; wewnątrz za to pomalowano go jak pałac i major był zachwycony... Zacierał ręce i mówił, że teraz musi się ożenić; „przy takim mieszkaniu nie można się nie żenić” — dodawał poważnie. Z B-ma był coraz więcej zadowolony, a dzięki niemu i z innych, którzy z nim pracowali. Malowanie ciągnęło się przez miesiąc. Przez ten miesiąc major zupełnie zmienił opinię o wszystkich naszych (tj. o politycznych przestępcach) i zaczął ich protegować. Doszło do tego, że pewnego razu wezwał do siebie z ostrogu Ż-kiego.

— Ż-ki — powiedział do niego — skrzywdziłem cię. Kazałem cię obić daremnie, wiem o tym. Żałuję tego. Czy ty to rozumiesz? Ja, ja, żałuję tego!

Ż-ki odpowiedział, że rozumie.

— Czy pojmujesz to, że ja, ja, twój naczelnik, wezwałem cię do siebie po to, aby cię przeprosić. Czy ty to czujesz? Ktożeś ty wobec mnie? Robak! Mniej niż robak, areztant! A ja z łaski Bożej¹⁶⁶ major. Major! Rozumiesz?

Ż-ki odpowiedział, że i to rozumie.

— Otóż teraz godzę się z tobą. Ale czy ty czujesz, czy odczuwasz to w całej pełni? Czyś zdolny to pojąć i odczuć? Wyobraź sobie tylko: ja, ja, major itd.

Sam Ż-ki opowiadał mi tę scenę. Więc jednak i w tym pijanym, głupim i nieporządnym człowieku było jakieś ludzkie uczucie. Biorąc pod uwagę jego wyobrażenia i poziom umysłowy, można by taki postępek nazwać prawie wspaniałomyślnym. Być może zresztą, że stan nietrzeźwy wiele się do tego przyczyniał.

Jego marzenie się nie spełniło: nie ożenił się, choć był już na to zupełnie zdecydowany, gdy skończono oporządzać jego mieszkanie. Zamiast na kobierzec ślubny dostał się pod sąd, po czym kazano mu się podać do dymisji. Wtedy już i wszystkie stare grzechy wylazły. Był on, zdaje się, przedtem w tym mieście horodniczym¹⁶⁷... Cios spadł na niego niespodzianie. W ostrogu wieść o tym niezmiernie wszystkich ucieszyła. Toż było święto, uroczystość! Major, powiadają, beczał jak baba i zalewał się łzami. Ale nie było rady. Wziął dymisję, sprzedał parę koni, potem resztę mienia i nawet popadł w biedę. Spotykaliśmy go potem w cywilnym wytartym surducie i w czapce z kokardką; gniewnie spoglądał na areztantów. Ale cały urok zniknął ze zdjęciem munduru. W mundurze wywoływał grozę, był bogiem; w surducie stał się nagle niczym i miał minę lokaja. Rzecz dziwna, czym jest mundur dla takich ludzi.

Uwaga tłumacza. *Drukowane obecnie w „Nowej Reformie” Wspomnienia Sybiraka*¹⁶⁸ (pamiętniki Józefa Bogusławskiego) pozwalają szczęśliwym trafem podać w całości nazwiska Polaków, o których mówi Dostojewski w swoich pamiętnikach, oznaczając te nazwiska tylko pierwszymi literami, z dodaniem czasami końcówek. Otóż pod literą Ż. ukrywa się profesor

¹⁶⁶ja z łaski Bożej... — Wyrażenie dosłowne, którego zresztą w moich czasach używał nie sam major, ale i wielu innych mniejszych komendantów, szczególnie ci, co wyszli z warstw niższych. [przypis autorski]

¹⁶⁷horodniczy — w państwie rosyjskim od 1775 do 1862: naczelnik władzy administracyjnej i policyjnej miasta powiatowego. [przypis edytorski]

¹⁶⁸Drukowane obecnie w „Nowej Reformie” „Wspomnienia Sybiraka” — pamiętniki J. Bogusławskiego, ukazujące się w odcinkach od października do grudnia 1896 w krakowskim dzienniku „Nowa Reforma”. [przypis edytorski]

*Żochowski*¹⁶⁹, pod T. — *Józef Tokarzewski*¹⁷⁰, pod M. — *Aleksander Mirecki*¹⁷¹, wreszcie pod B. sam autor *Wspomnień Sybiraka, Józef Bogusławski, który w r. 1848 wysłany był z Wilna do robót przymusowych na Syberii. Porównanie jednych wspomnień z drugimi, a przede wszystkim porównanie tego, jak się odzywa Dostojewski o Bogusławskim, a jak Bogusławski o Dostojewskim, byłoby rzeczą bardzo ciekawą, ale w krótkim przypisie nie da się należycie wykonać, zwłaszcza że pamiętniki Bogusławskiego w części dopiero są znane.*

XIV. WYJŚCIE Z KATORGI

Ostatni rok katorgi prawie tak samo jest mi pamiętny, jak pierwszy, szczególnie ostatnie chwile pobytu w ostrogu. Ale po co się wdawać w szczegóły. Powiem tylko, że pomimo iż niecierpliwie oczekiwałem terminu kary więziennej, łatwiej mi było żyć w tym roku, aniżeli we wszystkich poprzednich latach więzienia. A przede wszystkim miałem już wśród aresztantów wielu dobrych znajomych i przyjaciół, którzy stanowczo orzekli, że jestem dobrym człowiekiem. Wielu z nich było mi oddanych i szczerze mnie lubili. Pionier omal nie zapłakał, odprowadzając mnie i mego towarzysza przy wyjściu z ostrogu, i kiedyśmy potem przez cały jeszcze miesiąc mieszkali w tym mieście, w pewnym rządowym budynku, co dzień prawie zachodził do nas, tak tylko, aby na nas popatrzeć. Były jednak indywidua surowe i nieuprzejme do końca, którym ciężko było przemówić do mnie choć słowo, Bóg wie dlaczego. Zdawało się, że między nami wznosi się jakaś przegroda.

W ostatnich czasach w ogóle miałem więcej ulg aniżeli przez cały czas katorgi. W mieście wśród wojskowych znaleźli się moi znajomi, nawet dawni szkolni towarzysze. Wznowiłem stosunki z nimi. Dzięki nim mogłem mieć więcej pieniędzy, mogłem pisywać do rodziny, mogłem nawet otrzymywać książki. Od kilku lat nic nie czytałem i trudno mi zdać sprawę z tego dziwnego, wzbudzającego wrażenia, jakie wywarła na mnie pierwsza książka przeczytana w ostrogu. Pamiętam, zacząłem czytać z wieczora, kiedy zamknięto kazarmę, i czytałem przez całą noc do świtu. Był to zeszyt jakiegoś pisma periodycznego. Zupełnie jakby wieść z tamtego świata przyleciała do mnie; minione życie jasno i wyraziście stanęło przede mną i z tego, co przeczytałem, starałem się odgadnąć: czy bardzo się oddaliłem od tego życia? Czy wiele oni tam przeżyli beze mnie? Co ich teraz porusza, jakimi kwestiami się zajmują? Czepiałem się słów, czytałem między wierszami, szukałem tajemnego znaczenia, aluzji do przeszłości, odnajdowałem ślady tego, co przedtem, w moich czasach, poruszało ludzi i smutno mi było teraz przekonywać się, do jakiego stopnia byłem obcy nowemu życiu, jak stałem się odcięty strzępem. Trzeba było przywykać do nowych rzeczy, zaznajamiać się z nowym pokoleniem. Ze szczególną chciwością rzuciłem się na artykuł, pod którym znalazłem imię znajomego, bliskiego mi niegdyś człowieka... Ale już i nowe imiona rozbrzmiewały; zjawili się nowi działacze i rwałem się, aby ich poznać, i zły byłem, że mogę mieć tak mało książek, że tak trudno dostać się do nich. Przedtem zaś, przy dawniejszym plac-majorze, niebezpiecznie było nosić książki do katorgi. W razie rewizji byłoby niewątpliwie badanie: „Skąd książki? Gdzie je wziął? A więc masz stosunki?...” A cóż mogłem odpowiedzieć na takie pytania. I dlatego, żyjąc bez książek, mimo woli zagłębiałem się sam w siebie, zadawałem sobie pytania, usiłowałem je rozwiązać i one męczyły mnie niekiedy... Ale wszystkiego tego nie sposób opowiedzieć!...

W zimie wstąpiłem do ostrogu, dlatego zimą miałem wyjść na wolność, tego samego miesiąca i dnia, którego przybyłem. Z jaką niecierpliwością oczekiwałem zimy, z jaką rozkoszą patrzyłem przy końcu lata na liście wędnące na drzewach, na trawę usychającą na stepie. Ale oto już przeszło lato, zawył wiatr jesienny; oto już pierwszy śnieg zaczął

¹⁶⁹*Żochowski, Józef* (1801–1851) — profesor matematyki na Uniwersytecie Warszawskim; za swoje rewolucyjne przemówienie w 1848 został skazany na śmierć; wyrok zamieniono na 10 lat katorgi. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*Józef Tokarzewski* — chodzi jednak o *Szymona Tokarzewskiego* (1823–1890), który za udział w spisku księdza Ściegiennego i powstaniu roku 1846 został aresztowany, skazany na 10 lat katorgi; w 1857 dzięki amnestii z okazji objęcia tronu przez Aleksandra II powrócił do kraju; w 1862 został powtórnie aresztowany za udział w ruchu patriotycznym i zesłany na katorgę, skąd powrócił w 1883 na mocy amnestii związanej z wstąpieniem na tron Aleksandra III; łącznie spędził w więzieniach, na katordze i na wygnaniu 37 lat życia; jego wspomnienia zostały wydane drukiem już po jego śmierci. [przypis edytorski]

¹⁷¹*Mirecki, Aleksander* (ur. ok. 1820) — inżynier; w 1846 skazany na 10 lat katorgi „za udział w spisku”, tj. za udział w przygotowaniach trójzaborowego powstania roku 1846. [przypis edytorski]

prószyć... Nadeszła na koniec dawno oczekiwana zima! Serce moje niekiedy zaczynało bić głucho i mocno, czując bliską swobodę. Ale rzecz dziwna: im więcej czas upływał, im bliższy był termin wyzwolenia, tym coraz cieplejszy się stawałem. W ostatnich dniach aż mnie to zadziwiło i robiłem sobie wyrzuty; zdawało mi się, że zupełnie zubożałem. Wielu aresztantów, spotykając mnie na dziedzińcu w czas wolny, nawiązywało rozmowę ze mną, wieszając mi:

— Otóż już wyjdziecie, *batiuszka* Aleksander Pietrowicz, na *słobodę*, prędko, prędko. Zostawicie nas biedaków.

— A cóż, Martynow, a wy czy już prędko wyjdziecie? — pytam w odpowiedzi.

— Ja? No, co tam mówić! Siedem lat jeszcze się przemęcę...

I westchnie, zatrzyma się, popatrzy roztargnionym wzrokiem, jakby zaglądając w przyszłość... Tak, wielu szczerze i radośnie mi wieszowało. Zdawało mi się, że wszyscy zaczęli się ze mną uprzejmie obchodzić. K-czyński, Polak i szlachcic, spokojny i dobry młodzieniec, podobnie jak i ja, lubił w czasie wolnym chodzić dużo po dziedzińcu. Chciał czystym powietrzem i ruchem ocalić zdrowie i zrównoważyć zły wpływ dusznych nocy w kazarmach. „Niecierpliwie oczekuję pańskiego wyjścia — powiedział mi z uśmiechem, spotkawszy się ze mną na przechadzce. — Pan wyjdiesz i ja już wtedy będę wiedział, że równo rok jeszcze pozostanie mi do wyjścia”.

Nawiasem muszę dodać, że wskutek ciągłych rojeń i długiego odwyknięcia wolność u nas w ostrogu wydawała się czymś większym od rzeczywistej wolności, to jest tej, do której wzdychano. Aresztanci mieli przesadzone wyobrażenie o wolności, a rzecz to tak naturalna, tak właściwa każdemu więźniowi. Jakiś obdarty dieńszczyk oficerski wydawał się nam niemal królem, niemal ideałem wolnego człowieka w porównaniu z aresztantami, dlatego tylko, że nie miał ogolonej głowy, chodził bez kajdan i bez konwoju.

W wigilię ostatniego dnia, o zmroku, obszedłem *po raz ostatni* cały nasz ostróg wokoło pod palami. Ile tysięcy razy robiłem to samo koło w ciągu tych wszystkich lat? Tu, za kazarmami, błąkałem się w pierwszym roku mojej katorgi sam, opuszczony, przybity na duchu. Pamiętam, jak liczyłem wtedy, ile tysięcy dni mam jeszcze tu przeżyć. Boże, jak to dawno było! Oto tu w tym kącie żył nasz uwięziony orzeł; tu znów spotykał mnie często Pietrow. On i teraz szukał mego towarzystwa. Podbiegnie ku mnie i jakby zgadując moje myśli, w milczeniu idzie koło mnie i, rzekłbyś, dziwi się czemuś sam w sobie. Pożegnałem się w myśli z tymi poczerniałymi zębami naszych kazarmów. Jak niemile raziły wzrok mój wtedy, w owe pierwsze czasy. Zapewne i one się przez ten czas postarzały, ale tego nie mogłem zauważyć. I ileż to w tych ścianach zagrzebano bezowocnie młodości, ile wielkich sił zginęło tu daremnie! Bo trzeba już wszystko powiedzieć: ten lud więzienny wszakże to byli ludzie niezwyčajni. Wszak to były może najzdolniejsze, najsilniejsze żywioły z całego naszego ludu. Ale zginęły bezowocnie potężne siły, zginęły nienormalnie, bezprawnie. A kto temu winien?

Otóż to, kto winien?

Nazajutrz rano, jeszcze przed wyjściem aresztantów na roboty, jak tylko zaczynało świtać, obszedłem wszystkie kazarmy, żeby się pożegnać ze wszystkimi aresztantami. Wiele silnych, spracowanych rąk wyciągnęło się uprzejmie ku mojej dłoni. Niektórzy ścisnęli ją zupełnie po koleżeńsku, ale takich było niewiele. Inni już dobrze rozumieli, że ja za chwilę będę zupełnie odmiennym od nich człowiekiem. Wiedzieli, że mam w mieście znajomości, że natychmiast stąd udam się do panów i zasiądę z tymi panami jak równy. Rozumieli to i żegnali się ze mną wprawdzie uprzejmie i grzecznie, ale bynajmniej nie jak z towarzyszem, raczej jak z panem. Inni odwracali się ode mnie i surowym milczeniem odpowiadali na moje pożegnanie; niektórzy nawet spoglądali na mnie z nienawiścią.

Umilkł bęben, wszyscy ruszyli na roboty, a ja pozostałem w domu. Suszyłow tego dnia wstał bodaj czy nie wcześniej od wszystkich i dokładał wszelkich starań, ażeby mógł mi jeszcze zrobić herbatę. Biedny Suszyłow! Zapłakał, gdy mu ofiarowałem swoje znozione aresztanckie rzeczy i trochę pieniędzy. „Mnie nie o to, nie o to chodzi! — mówił, z drżącymi od płaczu wargami. — Ale jak to ja was utracę, Aleksandrze Piotrowiczu? Przy kim się ja tu bez was zostanę!”

Po raz ostatni pożegnałem się i z Akimem Akimyczem.

— Ot już i wam prędko! — powiedziałem do niego.

— Mnie tu długo, mnie tu bardzo długo jeszcze siedzieć — mamrotał, ściskając mi rękę. Rzuciłem się mu na szyję i pocałowaliśmy się.

W dziesięć minut po wyjściu aresztantów wyszliśmy i my z ostrogu, aby nigdy już do niego nie wrócić — ja i mój towarzysz, z którym tu przybyłem. Trzeba było iść naprzód do kuźni, aby nam zdjęto kajdany. Ale konwojowy z bagnetem już nam nie towarzyszył, poszliśmy z podoficerem. Nasi aresztanci rozkuli nas w warsztacie inżynieryjnym. Czekałem, dopóki nie rozkują towarzysza, a potem sam podszedłem do kowadła. Kowale obrócili mnie tyłem do siebie, podnieśli z tyłu moją nogę, położyli ją na kowadle... Było dużo krzątany, chcieli to zrobić jak najręczniejszy, jak najlepiej.

— Zatyckę, zatyckę, mówię, obróć nasamprzód!... — komenderował starszy. — Ustaw ją, tak dobrze... A teraz bij młotem...

Kajdany opadły. Podniosłem je... Chciałem potrzymać je trochę w ręku, popatrzeć na nie po raz ostatni. Dziwno mi było, że przed chwilą były na moich nogach.

— No, z Bogiem! Z Bogiem! — odezwały się urywane, grube, ale jakby z czegoś zadowolone głosy aresztantów.

Tak, z Bogiem! Swoboda, nowe życie, zmartwychpowstanie... Co za szczęśliwa chwila!

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/dostojewski-wspomnienia-z-martwego-domu>

Tekst opracowany na podstawie: Teodor Dostojewski, *Wspomnienia z martwego domu*, Towarzystwo Wydawnicze "Rój", Warszawa 1929.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6159-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.